

STEPHENIE  
MEYER

# zmierzch



**ROMANS Z WAMPIREM – ŚWIATOWY BESTSELLER**

Wydawnictwo Dolnośląskie



# ZMIERZCH

Mojej starszej siostrze Emily, bez której być może nigdy nie ukończyłabym tej książki

*Ale z drzewa poznania dobra i zła nie wolno ci jeść, bo gdy z niego spożyjesz, niechybnie umrzesz.*  
Księga Rodzaju 2, 17 (BT)

Nigdy wcześniej nie zastanawiałam się nad tym, jak chciałabym umrzeć - nawet mimo wydarzeń ostatnich miesięcy. Ale choćbym próbowała, z pewnością nie wpadłabym na coś podobnego.

Sparaliżowana wpatrywałam się w ciemne oczy drapieżcy stojącego na przeciwległym końcu długiego pomieszczenia, a on przyglądał mi się z uśmiechem.

Oto miałam oddać życie za kogoś innego, za kogoś, kogo kochałam. To dobra śmierć, bez wątplenia. Szlachetny postępek. Coś znaczącego.

Gdybym nie przeniosła się do Forks, nie stałabym teraz oko w oko z mordercą, wiedziałam o tym dobrze, ale mimo to nie potrafiłam zmusić mego kołającego serca do pożałowania decyzji o przeprowadzce. Właśnie tu spotkało mnie szczęście, o jakim nawet nie marzyłam, i nie warto było rozpaczać, że słodki sen dobiegał końca.

Nie zmieniając przyjaznego wyrazu twarzy, mroczny łowca ruszył w moją stronę, by zadać ostateczny cios.





Gdy tak się im przyglądałam, najmlodszy chłopak a więc jeden z Cullenów, podniósł głowę i nasze oczy się spotkały. Tym razem jego mina niewątpliwie zdradzała zainteresowanie. Odwróciłam wzrok ale miałam wrażenie, że spodziewał się po mnie jakiejś innej reakcji.

- Ten z rudawymi włosami i to, który? - spytałam. Kątem oka widziałam, że nadal na mnie patrzy, ale nie gapi się nachalnie tak jak inni wcześniej. Wydawał się czymś odrobinę zmartwiony. Po raz kolejny spuściłam wzrok.
- To Edward. Wiem, wygląda zabójczo, ale nie zwracaj nim sobie głowy. Nie chodzi o randki. Najwyraźniej - zachnęła się, rozszalona - żadna z miejscowych dziewczyn u niego dostatecznie ładna.

Zaczęłam się zastanawiać, kiedy mógł odrzucić jej załoty, i musiałam przygryźć wargę, żeby ukryć uśmiech. Edward siedział teraz odwrócony do nas bokiem, ale wydawało mi się, że ma uniesiony policzek jakby też się właśnie uśmiechał.

Po kilku minutach cała czwórka się oddaliła. Podobnie jak Alice, poruszeni się z niezwykłą gracją - nawet ten z mięśniami ciężarowca. Trudno było patrzeć na to spokojnie. Edward już więcej na mnie nie zerkał.

Siedziałam w stołówce z Jessicą i jej znajomymi dłużej, niż gdybym była sama, nie chciałam jednak spóźnić się pierwszego dnia na żadną lekcję. W końcu okazało się, że jedna z moich nowych znajomych, która inteligentnie przy pomniała mi, że ma na imię Angela, chodzi ze mną na biologię, więc poszłyśmy razem. Nic rozmawiałyśmy po drodze - ona też była nieśmiała.

Kiedy weszłyśmy do klasy, Angela usiadła przy jednym ze stołów laboratoryjnych z czarnym blatem, takich samych jak w mojej szkole w Phoenix. Niestety, miała już sąsiadkę. Właściwie to wszystkie miejsca były zajęte z wyjątkiem jednego na środku - koło Edwarda Cullena, którego rozpoznałam po oryginalnym kolorze włosów.

Podchodząc do biurka nauczyciela, żeby się przedstawić i poprosić o podpisanie arkusza, przyglądałam się chłopakowi ukradkiem. Kiedy go miałam, cały zeszytniał i, co dziwne, rzucił mi rozszciewione spojrzenie. Zaskoczona natychmiast odwróciłam wzrok i oblałam się rumieńcem. Potknęłam się o jakąś książkę i musiałam się podeprzeć o stół, żeby nie upaść. Siedząca przy nim dziewczyna na zachichotała.

Zauważyłam, że oczy Edwarda były czarne jak węgiel.

Pan Banner podpisał mój arkusz i wydal mi podręcznik, nie zaprzytając sobie głowy jakimś idiotycznym przedstawianiem mnie klasie. Poczulałam, że będzie nam się dobrze współpracować. Oczywiście, nie mając wyboru, musiał poprosić mnie, żebym usiadła koło Cullena. Nie wiedząc, co myśleć o wrogiej reakcji chłopaka, starałam się wcale na niego nie patrzeć.

Położyłam swój podręcznik na stole i zajęłam miejsce. Zauważyłam przy tym kątem oka, że mój sąsiad zmienił w tym czasie pozycję. Odsunął się, jak mógł najdalej, niemal już spał z krzesła i odwrócił twarz jakbym wydzielała jakąś niemiłą woń. Dyskretnie powąchałam swoje włosy, ale czułam tylko ulubiony szampon o zapachu truskawek. Trudno było uwierzyć, że kogoś to odrzuca. Odgarnęłam włosy na prawe ramię, tak, żeby w jakiś sposób nie oddzielały, i starałam się skupić na tym, co mówił nauczyciel.

Niestety, lekcja dotyczyła budowy komórki, którą już znałam. Mimo to robiłam staranne notatki.

Nie mogłam się powstrzymać i od czasu do czasu zerkałam na Edwarda zza kurty ny włosów. Przez całą godzinę się nie rozluźnił i nadal siedział na samym skraj u ławki. Zauważyłam, że lewą dłoń oparł na udzie i zacisnął w pięść tak mocno, że widać było ścięgna. Tego uściśku także nie rozluźnił. Miał na sobie białą bluzę z długimi rękawami, ale te podwinął do łokci. Jego ręce okazały się z bliska zaskakująco mocne i muskularne. Wzięłam go wcześniej za chucherko pewnie, dlatego, że siedział koło brata - ciężarowca.

Lekcja zdawała się dłuższa niż inne. Może byłam już trochę zmęczona, a może czekałam na to, aż chłopak wreszcie rozluźni dłoń? Jak długo mógł ją tak ścisnąć? Do tego siedział całkiem nieruchomo i chyba wcale nie oddychał. O co chodziło? Zawsze się tak zachowywał, czy jak? Zaczęłam dochodzić do wniosku, że źle oceniam Jessicę. Może jej niechęć nie wynikała ani z zazdrości, ani z odrzucenia?

To nie mogło mieć ze mną nic wspólnego. Ten facet widział mnie pierwszy raz w życiu.

Po raz kolejny zerkałam w jego stronę i natychmiast tego pożałowałam. Znow na mnie patrzył, a jego czarne oczy pełne były obrzydzenia. Cała się skurczyłam, a do głowy przyszło mi wyrażenie „gdby spojrzenia mogły zabijać”.

W tym samym momencie zabrzączał dzwonek i aż podskoczyłam na krześle. Edward Cullen zerwał się z miejsca kocim ruchem, cały czas odwrócony do mnie plecami - okazało się, że jest o wiele wyższy, niż mi się wcześniej wydawało - i wypadł na dół, zanim kłokolwiek inny w klasie zdążył choćby wstać.

Siedziałam sparalizowana, wpatrując się półprzytomnie w drzwi, za którymi zniknął. Co to za psychopata? To nie było *fair*. Zaczęłam powoli pakować swoje rzeczy. Starałam się pohamować przy tym narastający we mnie gniew, bałam się, bowiem, że z oczu pociekną mi łzy. Nie wiedzieć, czemu, jedno z drugim było u mnie powiązane. To żenujące, ale często płakałam ze zdenerwowania.

- Jesteś Isabella Swan, prawda? - zapytał męski głos. Podniosłam wzrok. Koło mnie stał śliczny chłopak o słodkiej twarzy elfa i jasnych włosach pozepliany ch żelem w pedantycznie rozmieszczone kolce. Ten tu z pewnością nie uważał, że śmieszny.

- Bella Swan - uściśliłam z uśmiechem.
- Mike.
- Cześć, Mike.

- Może pomóc ci znaleźć następną salę?

- Idę do sali gimnastycznej, więc raczej nie powinnam mieć kłopotów z trafieniem.

- O, ja też mam WF. - Wydawał się tym zbiegiem okoliczności podekscytowany, choć w lak malej szkole nie było to przecież nic takiego.

Poszliśmy razem. Gadał jak najęty, za co właściwie byłam mu wdzięczna. Do dziesiątego roku życia mieszkał w Kalifornii, więc wiedział, jak musi mi brakować słońca. Dowiedziałam się, że chodzi też ze mną na angielski. Był najsmpatywniejszą osobą, jaką poznałam tu do tej pory.

Ale gdy wchodziliśmy już do szatni, spytał:

- Co to było z Edwardem Cullenem? Dźgnęłaś go ołówkiem, czy co? Zachowywał się jak wariat.

Wzdrygnęłam się. A więc nie tylko ja to zauważyłam. A jego reakcja odbiegała od normy. Postanowiłam udać, że nie wiem, o co chodzi.

- To ten, obok którego siedziałam na biologii?

- Zgadza się. Wyglądał, jakby go coś bolało, czy co.

- Hm... Nawet się do niego nie odezwałam.

- To dziwny gość. - Mike zatrzymał się na chwilę, zamiast iść do swojej szatni. - Gdyby to ja miał fuksa siedzieć koło ciebie, na pewno bym cię zagadnął.

Pożegnałam go uśmiechem. Był miły i bez wątpienia mu się spodobałam, ale na Cullena nadal byłam wściekła.

Nauczyciel WF - u, pan Clapp, uświadomił mnie, że w tym stanie jego przedmiot jest obowiązkowy w każdej klasie liceum. W Arizonie wystarczyło zaliczyć dwa lata. Pobyt w Forks miał być najwyraźniej moją drogą krzyżową.

Trener znalazł dla mnie strój w odpowiednim rozmiarze, ale dzięki Bogu nie kazał mi się przebrać. Przyglądałam się, więc tylko czterem meczom siatkówki rozgrywanym jednocześnie, wspominając, ileż to razy odniosłam obrażenia - i ilu innych cz zawodników uszkodziłam - uprawiając tę uroczą dyscyplinę. Na samą myśl o niej zbierało mi się na wymioty.

W końcu doczekałam się dzwonka i poczłapałam do sekretariatu oddać arkusz z podpisami. Nie padało już, ale przybrał na sile chłodny wiatr. Objęłam się rękoma. Wszedłszy do przytulnego biura, zbaraniałam i zapragnęłam natychmiast się wycofać. Przy kontuarze stał nie, kto inny, jak Edward Cullen. Rozpoznałam go po rozczochranych miedzianych włosach. Na szczęście nie zwrócił uwagi na to, że do pomieszczenia weszła nowa osoba. Przycisnęłam się do ściany, czekając na swoją kolej. Chłopak wyłkociał się o coś z sekretarką. Miał niski, pociągający głos. Z zasłyszanych strzępków szybko zorientowałam się, w czym rzecz. Usiłował zmienić swój plan lekcji tak, aby chodzić z inną grupą na biologię.

Trudno mi było uwierzyć, że to wszystko przeze mnie. Musiała istnieć jakaś inna przyczyna, coś wydarzyło się w sali od biologii zanim do niej weszłam. To, dlatego, a nie przeze mnie, był taki wzburzony. Przecież nie mógł, ot tak, zapalać do mnie nienawiścią.

Ktoś otworzył drzwi i podmuch zimnego wiatru, który wpadł do sekretariatu, przekartkował dokumenty i pozostawił moje włosy w nieładzie. Nowo przybyła odłożyła tylko kartkę do jednego z koszyczków i zaraz wyszła, ale Edward Cullen zeszytniał. Obrócił się powoli i nasze oczy się spotkały. Jego twarz nadal była piękna - zważywszy na sytuację, absurdalnie piękna - ale wzrok miał przepełniony mieszaniną agresji i wstrętu. Przez chwilę bałam się, że się na mnie rzuci. Ciarki przebiegły mi po plecach. Spojrzenie chłopaka zmroziło mnie bardziej niż szalejąca za oknami wichura. Wszystko to trwało tylko kilka sekund.

- Trudno - powiedział do sekretarki aksaminym głosem, odwróciwszy się do mnie na powrót plecami. - Widzę, że rzeczywiście nic nie da się zrobić. Dziękuję za fatygę. - I wyszedł, nie patrząc w moją stronę.

Podeszłam do kontuaru na miękkich nogach i podałam kobiecie arkusz z podpisami. Twarz musiała mieć białą jak prześcieradło.

- I jak ci minął pierwszy dzień, złotko? - spytała sekretarka opiekuńczym tonem.

- Dobrze - skłamałam słabym głosem, Nie wyglądała na przekonaną.

Kiedy wsiadałam do samochodu, parking był już niemal zupełnie pusty\*. Za kierownicą poczułam ulgę. Zdążyłam się już przywiązać do swojej furgonetki, była dla mnie namiastką domu w tej zarośniętej krzakami dziurze. Siedziałam tak przez jakiś czas pograżona w myślach, ale wkrótce w sfoferce zrobiło się chłodno, więc odpałiłam silnik. Całą drogę powrotną walczyłam z ciszącymi się do oczu łzami.







- Cóż - skwitował po chwili namysłu. - W takim razie dobrze się złożyło, że siedzicie razem. - Odchodząc, wymamrotał coś jeszcze. Powróciłam do gryzolenia po ołdakce zeszytu.

- Szkoda, że że śniegu nic nie zostało, prawda? - spytał Edward. Odniosłam wrażenie, że zmusza się do rozmowy. Paranoja znów dawała mi się we znaki. Zaczęłam się bać, że podsłuchał, jak rozmawiałam z Jessicą przy lunchu, i teraz będzie próbował przekonać mnie do zimowej aury.

- Ja tam się cieszę - odpowiedziałam szczerze, zamiast udawać normalną. Wszytko, dlatego, że nie mogłam się skupić, wciąż gnębiona idiotycznymi podejrzeniami i.

- Nie lubisz zimna. - To nie było pytanie.

- Ani wilgoci.

- Musisz się tu męczyć.

- Nawet nie wiesz, jak bardzo.

Dziwnie, ale wydał się tym zafascynowany. Jego twarz mnie rozpraszała. Postanowiłam ograniczyć kontakt wzrokowy z rozmówcą do absolutnego minimum.

- To, dlaczego tu przyjechałaś?

Nikt wcześniej nie zadał mi tego pytania, a przynajmniej nie tak beceremonialnie.

- To trochę skomplikowane.

- Chyba się nie pogubię - naciskał.

Zamyśliłam się na chwilę, a potem popędziłam błąd - odwróciłam głowę i nasze oczy się spotkały. Zmieszana odpowiedziałam bez namysłu:

- Moja mama ponownie wyszła za mąż.

- To akurat nie jest zbyt skomplikowane - wtrącił, ale zaraz dodał zaskakująco przyjaznym tonem terapeuty: - Kiedy dokładnie?

- We wrześniu. - Zdziwiłam się, słysząc smutek we własnym głosie.

- A ty nic przepadasz za ojczyzną? - zasugerował delikatnie Edward.

- Nie, jest w porządku. Może trochę za miody, ale miły.

- Dlaczego nadal z nimi nie mieszkasz?

Nie wiedziałam, czemu go to tak interesuje. Przyglądał mi się badawczo, jakby historia mojego życia była dla niego czymś niezwykle ważnym.

- Phil dużo podróżuje. Jest zawodowym baseballistą.

Uśmiechnęłam się blade.

- Czy istnieje możliwość, że znam jego nazwisko? - spytał, odwzajemniając uśmiech.

- Raczej nie. Nie jest jakiś specjalnie dobry. Nigdy nie trafił do pierwszej ligi. Często się przeprowadza.

- I matka przysłała cię tutaj, żebyś miała z nim jeździć. - Znów było to stwierdzenie, a nie pytanie.

Wysunęłam brodę do przodu.

- Nikt mnie nie przysyłał. Sama się przysłałam.

Zmarszczył czoło.

- Nie rozumiem - przyznał. Nie wiedzieć, czemu, najwyraźniej był tym faktem zmartwiony.

Westchnęłam. Po co w ogóle zaczęłam mu to wszystko tłumaczyć? Nadal przyglądał mi się z nieukrywanym zaciekawieniem.

- Z początku została ze mną, ale tęskniła. Było jej ciężko. Postanowiłam, że będzie lepiej, jeśli nareszcie spędzą trochę czasu z Charliem. - To ostatnie zdanie powiedziałam już niemal grobowym tonem.

- Ale teraz tobie jest ciężko - przyznał mi.

- No to co? - spytałam prowokująco.

- To chyba nie *fair*. - Wzruszył ramionami, ale w jego oczach zarzyły się iskiereki buntu.

Zaśmiałam się gorzko.

- Nikt cię jeszcze nie uświadomił? Takie jest życie.

- Chyba coś obilo mi się o uszy - przyznał chłodno.

- Życie nie jest *fair* i tyle - podsumowałam, zastanawiając się, po kiego licha się we mnie tak wpatruje.

Patrzył się teraz tak, jakby mnie oceniał.

- Robisz dobrą miętę do zlej gry - oświadczył, starannie dobierając słowa. - Ale załóż się, że nie dajesz po sobie poznać, jak bardzo tak naprawdę cierpisz.

Skrzywiłam się tylko i odwróciłam wzrok, choć miałam ochotę pokazać mu język niczym pięcioletka.

- Czy się mylę? Próbowałam go zignorować.

- Nie sądzę - dodał pewnym tonem.

- Co cię to w ogóle obchodzi? - warknęłam poirytowana, nie patrząc w jego stronę. Nauczy cię nadal krążyć po klasie, sprawdzając wyniki poszczególnych par.

- Dobre pytanie - szepnął tak cicho, jakby sam zaczął zastanawiać się, co nim kieruje. Spodziewałam się jakiejś odpowiedzi, ale po kilku sekundach ciszy zorientowałam się, że nic z tego.

Westchnęłam i wlepiłam wzrok w tablicę.

- Drażnię cię? - spytał. Wydawał się rozbawiony.

Po raz kolejny zerknęłam na niego nierozważnie, w rezultacie mówiąc prawdę.

- Niezupełnie. Jestem raczej zła na siebie. Takłatwo się czerwienię. Mama zawsze powtarza, że moja twarz to otwarta księga. - Nachmurzyłam się.

- Wręcz przeciwnie. Trudno mi cię przejrzeć. - Chociaż tyle mu o sobie opowiedziałam i tyłu rzeczy domyślił, o dziwo, zabrzmiało to szczerze.

- Pewnie zwykle nie masz z tym kłopotów.

- Zazwyczaj nie. - Uśmiechnąłem się szeroko, odsłaniając rząd prościutkich, śnieżnobiałych zębów.

Na szczęście pan Banner poprosił klasę o uwagę i z ulgą odwróciłam się w jego stronę. Trudno mi było uwierzyć, że ten piękny, dziwny chłopak, którego stosunek do mnie pozostawał zagadką, dopiero, co nakłonił mnie do zwierzeń.

Dziwnie - choć wydawał się zaabsorbowany naszą rozmową, widziałam teraz kątem oka, że znów odsunął się ode mnie jak najdalej, a obie dłonie zacisnął nerwowo na kancie blatu.

Bezsłownie próbowałam skupić uwagę na wyświetlanych właśnie przez nauczyciela na ścianie poszczególnych fazach mitozy, których rozróżnianie nie nastręczało mi trudności nawet przez mikroskop.

Kiedy zabrzączał upragniony dzwonek, Edward poderwał się i wyszedł przed wszystkie, podobnie jak to zrobił tydzień wcześniej, a ja, tak jak wtedy, odprowadziłam go do drzwi pełnym zdumienia spojrzeniem.

Mike znalazł się w okamgnieniu u mego boku i zaczął pakować moje rzeczy. Brakowało mu tylko merdającego ogona.

- Co za koszarne ćwiczenie - jęczał. - Wszytkie wyglądały identycznie. Szczęściara z ciebie, że miałaś Cullena do pomocy.

- Wcale nie potrzebowałam pomocy - palnęłam obruszona i ugryzłam się w język - Już to przerabiałam - dodałam natychmiast, żeby nie wyjść na samochwałę.

- Cullen był dziś milusi, prawda? - zauważył Mike, wkładając kurtkę. Nie był raczej tym spostrzeżeniem zachwycony.

- Nie mam pojęcia, co go naszło w zeszły poniedziałek - powiedziałałam kłamliwie obojętnym tonem.

Idąc z moim wiernym towarzyszem do sali gimnastycznej, nie potrafiłam skoncentrować się na tym, co mówi, a i lekcja WF - u nic wyrwała mnie z zamyślenia. Dzięki Mike'owi, który grał ze mną w jednej drużynie i pilnował rycersko także mego kawałka boiska, mogłam fantazjować do woli, przerywając jedyne na serwy. Pozostali zawodnicy, nauczeni doświadczeniem, umykali wówczas przezornie na boki.

Gdy szłam na parking, myślałam tylko delikatnie, ale i tak z ulgą zamknęłam się w suchej szoferce. Włączając ogrzewanie, po raz pierwszy nie przejmowałam się rykiem silnika. Rozpięłam kurtkę, spuściłam kaptur na plecy i rozczesałam palcami włosy, strosząc je przy tym nieco, żeby łatwiej było im wyschnąć w drodze do domu.

Rozjeżdżałam się, żeby sprawdzić, czy nie nie jedzie. Nagle zauważyłam nieruchomą postać w bieli. Edward Cullen stał trzy auta dalej, opierając się o przednie drzwiczki swojego volvo, i nie spuszczał ze mnie wzroku. Natychmiast spojrzałam w inną stronę i pospiesznie wrzuciłam wsteczny - mało brakowało, a staranowałabym rdzewiejącą toyotę corolle. Na szczęście w porę wcisnęłam hamulec. Taką toyotę moja solidna furgonetka jak nic rozmiosłaby na strzępy. Nadal ignorując chłopaka, wzięłam głęboki wdech i ostrożnie ponowiłam manewr. Tym razem poszło lepiej. Opuściłam parking ze wzrokiem wbitym w jezdnię, ale mogłabym przysiąc, że kiedy mijaliśmy volvo, Edward się śmiał.



W tym samym momencie na horyzoncie pojawił się lekarz i chcąc nie chcąc rozdziawiłam usta. Przy tym porażająco prostym i blondynie wysiadali wszyscy znani mi gwiazdorzcy filmowi. Miał jednak bladą, zmęczoną twarz i ciemne sińce pod oczami. Sądząc z opisu Charliego, musiał być to nie, kto inny jak doktor Cullen.

- A zatem, panno Swan - powiedział niezwykle sympatycznym tonem. - Jak się czujemy?
  - Dobrze - odparłam, mając nadzieję, że już nikt nie zada mi dziś tego pytania.
- Mężczyzna podszedł do podświetlanej tablicy wiszącej nad moim łóżkiem, włączył ją i przyjrzał się rentgenowi.
- Wygląda ładnie - stwierdził. - Głowa cię nie boli? Edward mówił, że naprawdę mocno się uderzyłaś.
  - Nic mi nie jest - westchnęłam zmęczona, zerkając na chłopaka z wyrzutem.

Lekarz zaczął naciskać różne punkty na mojej czaszce swoimi chłodnymi palcami. Zauważyłam, że się skrzywiłam.

- Boli?
  - Nie za bardzo. Bywało gorzej.
- Edward się zachnął. Podniosłam wzrok i zobaczyłam, że uśmiecha się z wyższością. Miałam go powyżej uszu.
- No cóż, twój ojciec czeka na zewnątrz - może cię zabrać do domu. Ale wróć, jeśli będziesz miała zawroty głowy albo jakieś kłopoty ze wzrokiem.
  - Nie mogę wrócić na lekcje? - spytałam, wyobrażając sobie Charliego, jak stara się być opiekuńczy.
  - Chyba powinnaś sobie dzisiaj odpuścić. Zerknęłam na jego syna.
  - A on wraca do szkoły?
  - Ktoś musi zanieść im dobrą nowinę. Żyjemy - wtrącił się Edward, jakby koniecznie chciał mnie zdenerwować.
  - W samej rzeczy, większość uczniów czeka na zewnątrz - poinformował nas doktor Cullen.
  - O nie - jęknęłam, zakrywając twarz dłońmi. Lekarz uniósł brwi.
  - Chcesz zostać?
  - Nie, nie! - zaprotestowałam, wyskakując pospiesznie z łóżka. Zatoczyłam się i mężczyzna był zmuszony mnie przytrzymać. Nieco go to zaniepokoiło.
  - Nic mi nie jest - powtórzyłam. Nie było sensu tłumaczyć, że zawsze mam takie problemy z koordynacją.
  - Weź Tylenol, jakby mocno bolało - doradził.
  - Nie jest tak źle.
  - Wszystko wskazuje na to, że miałaś wielkie szczęście - powiedział doktor Cullen, składając zamaszty podpis na mojej karcie.
  - Miałam szczęście, że Edward stał tuż obok - poprawiłam go, rzucając mojemu wybacwcy spojrzenie pełne niechęci.
  - Ach, no tak - lekarz przyznał mi rację, przeglądając z nagłym zapalem trzymane w ręku papiery, po czym, unikając mojego wzroku, przeszedł do kolejnego pacjenta. Intuicja podpowiadała mi, że to kolejny dowód - ojciec

Edwarda dobrze wiedział, jak było naprawdę.

- Obawiam się - informował właśnie Tylera - że jeśli o ciebie chodzi, będziesz musiał zabawić u nas nieco dłużej.

I zabrał się do oglądania jego zdrapań. Gdy tylko odwrócił się do mnie plecami, podeszłam do Edwarda.

- Możemy pogadać? - szepnęłam. Chłopak zrobił krok do tyłu i zacisnął nerwowo szczęki.
- Ojciec na ciebie czeka - wycedził. Zerknęłam na Tylera i doktora Cullena.
- Chciałabym rozmówić się z tobą na osobności, jeśli nie masz nic przeciwko - naciskałam.

Sporządził na mnie gniewnie i ruszył do drzwi, nie patrząc, czy idę za nim. Musiałam niemal biec, żeby dotrzeć do mu kroku. Gdy tylko znaleźliśmy się w jakimś odosobnionym korytarzu za rogiem, obrócił się na pięcie i zmierzył mnie wzrokiem.

- Czego chcesz? - spytał chłodno.

Jego wrogość nieco mnie wystraszyła i nie udało mi się odezwać do niego podobnie surowym tonem.

- Obiecałeś mi wszystko wyjaśnić - przypominałam.
- Uratowałem ci życie. Starczy.

Rzucił to z taką niechęcią w głosie, że niemal się skuliłam.

- Obiecałeś.
- Bello, uderzyłaś się w głowę, pleciesz jakieś bzdury. - Chciał się mnie pozbyć.

Doprowadzona do szewskiej pasji, nie dawałam za wygraną.

- Z moją głową jest wszystko w porządku.
- Co chcesz ode mnie wyciągnąć? - Jego oczy rzucały gniewne błyski.
- Chcę poznać prawdę - powiedziałam. - Chcę wiedzieć, dlaczego kazałeś mi kłamać.
- A co według ciebie się niby wydarzyło? - burknął.

- Wiem tylko, że wcale nie stałeś tak blisko - zaczęłam wyrzucać z siebie pospiesznie wszystkie swoje spostrzeżenia. - Tyler też cię nie widział, więc nie mów, że uderzyłam się w głowę i miałam omamy. A potem Van pędził prosto na nas, ale mimo to nas nie staranował, a twoje dłonie zostały w jego bólu wgniecenia. W tym drugim aucie też zresztą zrobiliś wgniecenie. I nic ci się nie stało. A potem van mógł zwalić się na moje nogi, ale go podniosłeś... - Przerwałam, zawstydzona tym, jakie niestworzone historie wygaduję. Byłam taka wściekła, że oczy nabiegły mi łzami, Aby nie popłynęły po policzkach, zacisnęłam żęby. Edward wpatrywał się we mnie z politowaniem. Ale coś w jego warzy mówiło mi, że jest spięty.

- Uważasz, że podniosłem vana? - spytał z pogardliwym niedowierzaniem. W tonie jego głosu było jednak coś podejrzanego, sztucznego, jakby to aktor wygłaszał swoją kwestię.

Skinęłam głową w milczeniu.

- Przecież wiesz, że nikt ci nie uwierzy - dodał nieco prześmiewczym tonem.
- Nie zamierzam tego rozgłaszać - powiedziałam powoli, starając się opanować gniew.

Zaskoczyłam go.

- Więc po co to wszystko?
- Dla mnie samej - wyjaśniłam. - Nie lubię kłamać, a skoro muszę, wołałabym poznać powód.
- Nie możesz mi po prostu podziękować i zapomnieć o sprawie?
- Dziękuję. - Spodziewałam się, że coś mi się wynagrodzi.
- Nie masz zamiaru sobie odpuścić, prawda?

- Nie.
  - W takim razie... Mam nadzieję, że lubisz rozczarowania.
- Mierzyliśmy się wzrokiem jak dwa psy przed walką. Odezwałam się pierwsza, pilnując, żeby nie rozproszyła mnie ta jego cudowna, piękna twarz mrocznego anioła.

- Po co w ogóle się fatygowałaś? - spytałam ostro.

Przez chwilę wyglądał na zbitego z tropu, jakby zabrakło mu argumentów.

- Nie wiem - wyszeptał.

A potem odwrócił się i odszedł.

Byłam taka zła, że przez kilka minut stałam jak sparaliżowana. Gdy już odrobinę ochłonęłam, ruszyłam powoli w stronę wyjścia.

W poczekalni było gorzej, niż się spodziewałam. Zdawało się, że są tu wszyscy, absolutnie wszyscy ludzie z Forks, jakich znałam choćby z widzenia, i gapią się na mnie. Charlie natychmiast do mnie podbiegł, ale nie miałam ochoty na publiczną demonstrację uczuć.

- Nic mi nie jest - zapewniłam go sucho. Nadal byłam wzburzona, nie nadawałam się do pogawędki.
- Co powiedział lekarz?

- Zbadał mnie doktor Cullen, nic nie znalazł i zwolnił do domu - westchnęłam. Kątem oka dostrzegłam Mike'a, Jessicę i Erica skorych do rozmowy. - Chodźmy już - popędziłam ojca.

Charlie objął mnie ramieniem, ledwie mnie dotykając, i wyprowadził przez szklane drzwi. Pomachałam nieśmiało do kolegów i koleżanek, mając nadzieję, że ten gest ich uspokoi. Po raz pierwszy ucieszyłam się, że wsiadłam do radiowozu.

Jechaliśmy w milczeniu. Pograżona w rozmyślaniach, ledwo zdawałam sobie sprawę z obecności taty. Byłam przekonana, że agresywne zachowanie Edwarda na korytarzu potwierdza trafność moich wcześniejszych spostrzeżeń, choć w to, co widziałam, nadal trudno mi było uwierzyć.

Charlie odezwał się dopiero pod domem.

- Hm... Powinnaś teraz zadzwonić do Renee. - Tato zwiesił głowę zawstydzony.
- Powiedziałeś jej! - Wiedział, że się rozgniewam.
- Przepraszam.

Wysiadając, trzęsłam drzwiczkami samochodu nieco mocniej, niż to było konieczne.

Mama oczywiście odchodziła od znysłów. Nim się uspokoiła, musiałam, co najmniej trzydzieści razy powtórzyć, że nie, ale to nie mi nie jest. Błagała mnie, żebym wróciła do domu - choć ten stał teraz pusty - ale odmówiłam jej z zadziwiająco łatwością, ponieważ zerała mnie ciekawości. Chciałam poznać tajemnicę młodego Cullena, a i on sam nie pozostawał mi obojętny. Głupia gęś. Wariatka. Idiotka. Każdy zdrowy na umyśle uciekby z Forks, gdzie pieprz rośnie. Ale nie ja.

Postanowiłam wcześniej położyć się do łóżka. Charlie przyglądał mi się wciąż z niepokojem, wołałam, zatem zejść mu z oczu. W łazience lyknęłam trzy tabletki Tylenolu. Pomogły. Ból zelżał i zasnęłam bez kłopotów.

Tej nocy po raz pierwszy śniłam o Edwardzie Cullenie.





- Powiedziałem, że lepiej będzie, jeśli nie będziemy utrzymywać ze sobą bliższych kontaktów, a nie, że nie chcę ich utrzymywać.

- Dzięki, teraz już wszystko rozumiem - rzuciłam z sarkazmem. Zorientowałam się, że znowu przystanęliśmy. Tym razem jednak przed deszczem chronił nas daszek nad wejściem do stolówki i mogłam uważniej przyjrzeć się memu rozmówcy. Co rzecz jasna, nie pomogło mi w koncentracji.

- Byłoby ... rozropniej, gdybyśmy nie zostali przy jaciółmi - wyjaśnił. - Ale mam już dość zmuszania się do ignorowania ciebie, Bello.

Przy tym ostatnim zdaniu w jego oczach pojawiło się jakieś silne, nienazwane uczucie. Niski głos amanta pieścił uszy. Zapomniałam, jak się nazywam.

- Pojedziesz ze mną do Seattle? - spytał takim tonem, jakby chodziło o oświadczyzny.

Mowę mi odjęło, więc skinęłam tylko głową. Po jego twarzy przemknął uśmiech, ale szybko przybrał poważną minę.

- Co nie zmienia faktu, że naprawdę powinnaś się trzymać ode mnie z daleka - ostrzegł. - Do zobaczenia na biologii.

Odwrócił się i odszedł w kierunku, z którego przyszliśmy.









Zignorował jednak to pytanie, a zadał kolejne - Uważasz, że można by się mnie bać? - Uniósł jedną brew, jego twarz rozświetlił delikatny uśmiech. Zastanowiłam się, czy lepiej będzie skłamać, czy powiedzieć prawdę. Zdecydowałam się na to drugie.

- Hm... Myślę, że tak, gdybyś się postarał.
- A teraz się mnie boisz? Nagle znów spowaźniał na twarzy.
- Nie. - Ale odpowiedziałam zbyt szybko. Kpiarski uśmiech powrócił.
- To, co, może teraz ty opowiesz mi o swojej rodzinie? - Tym razem to ja zmieniłam temat. - Z tego, co wiem, twoja historia bije moją na głowę.

Zrobił się podejrzliwy.

- Co chciałabyś wiedzieć?
- Cullenowie cię adoptowali, tak? - upewniłam się.
- Tak

Zawahałam się przez chwilę.

- Co stało się z twoimi rodzicami?
- Zmarli wiele lat temu. - Nie wydawał się tym faktem poruszony.
- Przykro mi - wymamrotałam.
- Nie pamiętam ich za dobrze. Od lat za rodziców mam Carlies'a i Esme.
- I kochasz ich. - Nie było to pytanie. Dało się to wyczytać z jego głosu.
- Tak - Uśmiechnął się. - To para ludzi najlepszy ch pod słońcem.
- Masz szczęście.
- Wiem.

- A twoje rodzeństwo? - zerknął na zegar na desce rozdzielczej.

- Moje rodzeństwo, a także Jasper i Rosalie, nie będą zachwyceni, jeśli każę im czekać w deszczu.
- Och, przepraszam. Już mnie nie ma. - Mogłabym tu tak siedzieć godzinami.
- I pewnie chcesz, żeby twoja furgonetka wróciła przed komendantem Swanem, żebyś nie musiała opowiedzieć mu o tym incydencie na biologii? - Uśmiechnął się.
- Pewnie już wie. W Forks nie da się mieć tajemnic - westchnęłam.
- Zaśmiał się, jakbym powiedziała coś bardzo zabawnego.
- Mniej zabawy nad morzem. Oby pogoda bardziej sprzyjała opalaniu. - Spojrzał znacząco na ścianę deszczu za oknem.
- Nie zobaczymy się jutro?
- Nie. Robimy sobie z Emmetem długi weekend.
- Jakie macie plany? - Chyba jako potencjalnej przyjaciółce wypadało mi zadać to pytanie? Miałam też nadzieję, że Edward nie słyzy, jak bardzo jestem zawiedziona.
- Jedziemy na Kozie Skały, to na południe od Rainier. Rzeczywiście, Charlie wspominał, że Cullenowie często robią takie wypadki.
- No to bawcie się dobrze. - Zdobyłam się na odrobinę entuzjazmu w głosie, ale nie sądzę, żeby dał się zwięd. W kącikach jego ust czaił się złośliwy uśmiešek.
- Zrobisz coś dla mnie w ten weekend? - Spojrzał na mnie, wykorzystując w pełni moc swojego spojrzenia.

Bezwolna pokiwałam głową.

- Nic obrażaj się, ale sprawiasz wrażenie osoby, która przyciąga wypadki jak magnes, więc postaraj się i nie wpadnij do oceanu albo pod samochód czy coś tam, dobra? - Posłał mi szelmowski uśmiech.

Moje rozmarzenie ustąpiło rozdrażnieniu.

- Zobaczę, co da się zrobić - burknęłam, wysiadając. Lało jak z cebra. Zatrzasnęłam z hukiem drzwiczki.

Edward odjechał z uśmiechem na twarzy.









że nadchodzący weekend spędzę, włącząc się samotnie po sklepach Seattle. Edward by mnie chyba powiadomił, gdyby chciał wszystko odwołać.

Po szkole wpadłam na chwilę do domu zostawić książki i liścik dla Charliego, w którym objaśniałam jeszcze raz, co może zrobić sobie na obiad. Wyszczotkowawszy szybko włosy, przełożyłam wyświechtany portfel z plecaka do rzadko używanej torebki a Jessica podjechała po mnie swoim starym białym fordem. Następnym przystankiem był dom Angeli. Choć entuzjazm wzbiera we mnie od końca lekcji, poddałam się temu uczuciu na dobre dopiero, gdy minęłyśmy granice miasteczka.











- Też mit.

- A co ze spaniem w trumnach?

- Mit - Zawałał się przez chwilę, po czym dodał zmienionym głosem: - Ja nie śpię. - - Wcale?

- Nigdy. - Ledwie go było słychać. Spojrzał na mnie ze smutkiem - Zapomniałam, nad czym się zastanawiam, i zatonęłam w jego złotych oczach. Ocknęłam się dopiero, gdy odwrócił wzrok.

- Nie zadawałaś mi najważniejszego pytania - oświadczył grobowym tonem.

Zamrugalałam kilkakrotnie, nadal odrobinę oszołomiona.

- To znaczy?

- Nie interesuje cię moja dieta? - naigrywał się ze mnie.

- Ach, to - mruknęłam.

- Tak, to. Nie chcesz wiedzieć, czy piję krew? Wzdrygnęłam się.

- Jacob coś wspominał...

- Co powiedział?

- Ze... że nie polujecie na ludzi. Stwierdził, że ponoć nie jesteście niebezpieczni, ponieważ ograniczacie się do zwierząt.

- Powiedział, że nie jesteście niebezpieczni? - powtórzył z głębokim szeptem.

- Niezupełnie. Ze ponoć nie jesteście niebezpieczni. Ale plemię Quileute na wszelki wypadek nie wpuszcza was na swój teren.

Edward znów spojrzał przed siebie. Chyba nie zwracał uwagi na jeźdźnię.

- To prawda? Nie polujecie na ludzi? - Staralam się zachować spokój.

- Quileuci mają dobrą pamięć - wyszeptał Edward.

Potraktowałam to jako odpowiedź twierdzącą.

- Tylko się z tego powodu nie rozluźnij - ostrzegł. - Dobrze robią, trzymając się od nas z daleka. Jesteśmy nadal niebezpieczni.

- Nie rozumiem.

- Staramy się, jak możemy - wyjaśnił powoli - i zazwyczaj nam wychodzi. Czasami jednak popełniamy błędy. Tak jak na przykład ja, pozwalając ci być ze mną sam na sam.

- To błąd? - Zasmuciałam się. Nie byłam pewna, czy to zauważył.

- Błąd, który może nas drogo kosztować.

Zamilkliśmy. Obserwowałam poblask światła volvo, biorąc przed nami zakręty. Co rusz pojawiał się nowy. Tempo było szaleńcze, czułam się jak w grze komputerowej. Wiedziałam, że wkrótce dojedziemy do Forks, i bałam się strasznie, że już nigdy więcej nie będziemy mogli ze sobą tak otwarcie porozmawiać. - Tymczasem Edward uznał najwyraźniej temat za zakończony.

Nie mogłam się z tym pogodzić, nie chciałam tracić ani minuty.

- Opowiedz coś więcej - poprosiłam błagalnym tonem, byle tylko choć raz jeszcze usłyszeć jego głos. Zerkałam na mnie zadziwiony tą zmianą.

- Co jeszcze chciałabyś wiedzieć?

- Może powiedz - zasugerowałam - dlaczego polujecie na zwierzęta zamiast na ludzi. - Mój głos nadal brzmiał jękliwie, a oczy miałam pełne łez. Spróbowałam powstrzymać ogarniającą mnie rozpacz.

- Nie chcę być potworem - powiedział cicho.

- Ale same zwierzęta nie wystarczą?

Zamyślił się.

- Oczywiście nie mogę mieć pewności, ale można by to chyba przyrównać do żywienia się serkiem tofu i mlekiem sojowym - w żartach nazywamy siebie wegetarianami. Taka dieta głodu, czy też raczej pragnienia, do końca nie zaspokaja, ale mamy dość siły, by nie ulegać pokusom. Zazwyczaj - sprostował złowieszczo.

- Czasem jest naprawdę ciężko.

- Czy teraz musisz walczyć z sobą?

Westchnął.

- Muszę.

- Ale teraz nie jesteś głodny - oświadczyłam z przekonaniem.

- Dlaczego tak uważasz?

- Zgaduję po oczach. Mówiłam ci już, mam pewną teorię. Zauważyłam, że ludzie, a zwłaszcza mężczyźni, robią się drażliwi, kiedy doskwiera im głód. Edward parsknął śmiechem. Jesteś spostrzegawcza, nie ma co!

Nie odpowiedziałam. Rozkoszowałam się tylko jego śmiechem, starając się zapisać ten cudowny dźwięk w swej pamięci.

- Czy w weekend polowałeś z Emmettem? - spytałam zamilk.

- Tak - Zawałał się na moment, ale postanowił jednak z czegoś się zwierzyć. - Nie miałem ochoty wyjeżdżać, ale to było konieczne. Latwiej mi z tobą przebywać, gdy nie odczuwam pragnienia.

- Czemu nie chciałeś wyjechać?

- Jestem... jestem nieswoj, kiedy... nie ma cię w pobliżu. - Gdybym stała, zmiękłyby mi kolana. - Nie kąpiem, prosząc w czwartek, żebyś nie wpadła do oceanu lub pod samochód cały weekend martwiłem się o ciebie. A po tym, co cię dzisiaj spotkało, zdziwił się, że zdołała przetrwać kilka dni bez żadnych obrażeń. - Nagle coś sobie przypomniał i dodał: - No, niezupełnie.

- O co ci chodzi?

- O twoje dłonie. - Spojrzałam w dół. Otarcia z soboty były już niemal niewidoczne. Nie się przed nim nie ukryło.

- Przewróciłam się - westchnęłam.

- Tak też myślałem. - Kąciaki jego ust uniósł się lekko. - Ale, jako że ty to ty, mogło ci się przytrafić coś znacznie gorszego. Przez cały wyjazd nie dawało mi to spokoju. To były okropne trzy dni. Biedny Emmett miał ze mną piekło.

- Trzy? Nie wróciłeś dzisiaj?

- Nie, w niedzielę.

- To czemu nie pojawiliście się w szkole? - jęknęłam. Prawie się rozniewalam na wspomnienie owej serii bolesnych rozczarowań.

- No cóż, pytałaś, czy słońce nam szkodzi. Nie szkodzi, ale nie możemy wychodzić na dwór w wyjątkowo słoneczne dni - a przy najmniej nie przy świadkach.

- Dlaczego?

- Kiedyś ci pokażę - obiecał.

Przez chwilę zastanawiałam się nad tym, z czego mi się zwierzył.

- Mogłeś do mnie zadzwonić - zdecydowałam.

Zdziwił się.

- Przecież wiedziałem, że nic ci nie grozi.

- Ale ja nie wiedziałam, co się z tobą dzieje. Widział... - Spuściłam oczy - Co takiego? - ośmielił mnie aksamitnym głosem. Było mi źle. Że cię nie widuję. Też czułam się nieswojo. - Zawstydziałam się własnej szczerości i poczerwieniałam. Milczał. Zerkałam z obawą i dostrzegłam w jego oczach ból.

- A więc tak to wygląda - szepnęła. - To bardzo niedobrze. - Co ja takiego powiedziałam? - Nie wiedziałam, o co mu chodzi.

- Nie pojmujesz, Bello? To, że ja się zadreczam, to jeszcze nie takie, ale jeśli i ty jesteś tak zaangażowana uczuciowo... - Spoglądał teraz na jeźdźnię, a mówił tak sztywno, że trudno było mi za nim nadążyć. - Nawet nie chcę o tym słyszeć - rzucił cichym, acz stanowczym głosem. - Tak nie może być. To niebezpieczne. Ja jestem wściebny do głowy, dziewczyno. - Jego słowa ranily moje serce.

- Przeastań. - Staralam się z całych sił nie wyglądać jak nadąsane dziecko.

- Nie żartuję.

- Ja też nie. I powtarzam - to, kim jesteś, nie ma dla mnie raczenia. Już za późno, by coś zmienić.

- Nigdy tak nie mów - warknął.

Przyszyłam wargę. Dobrze, że nie potrafił czytać mi w myślach i nie wiedział, jak mocno to przeżyłam. Wyjrzałam przez okno.

Jechałszy tak szybko, że lada chwila powinniśmy być na miejscu.

- O czym myślisz? - spytał. Nadął był wzburzony. Nie mając pewności, czy jestem w stanie wykrzusić, choć słowo, pokręciłam przecząco głową. Czulałam na sobie jego spojrzenie, ale mimo to nie odwróciłam wzroku.

- Płaczesz? - Wydawał się tym faktem zgorzogniony. Nie zdawałam sobie sprawy, że łzy, które jakiś czas temu napłynęły mi do oczu, ściekały już po policzkach, zdradzając mój stan ducha. Otarłam je prędko wierzchem dłoni.

- Nie - burknęłam łamiącym się głosem.

Wyciągnął ku mnie powoli rękę, ale wstrzymał się i odłożył ją z powrotem na kierownicę.

- Wybacz - Przemawiała przez niego ogromna żalność. Wiedziałam, że przeprasza za coś więcej niż tylko raniące słowa.

Za oknami auta przesuwała się w ciszy ciemność.

- Wyjaśnij mi coś - odezwał się po paru minutach. Słychać było, że zmusza się do przybrania łżejszego tonu.

- Tak?

- Powiedz mi, o czym myślałaś tam, na ulicy, tuż przed tym, jak wyjechałem zza rogu? Twoja mina mnie zaskoczyła. Nie wyglądałaś na wystraszoną, tylko jakbyś próbowała się na czymś intensywnie skoncentrować.

- Usiłowałam przy pomnieć sobie, jak unieszkodliwić napastnika - no wiesz, podstawy samoobrony. Zamierzałam wgnieść temu gościowi nos w mózg. - Wspomnienie bruneta przepełniło mnie nienawiścią.

- Chciałaś się z nimi bić? - zdenerwował się. - Mogłaś po prostu rzucić się do ucieczki.

- Często się potykałam i przewracam - wyznałam.

- A co z krzykiem „ratunku”?

- Właśnie się do tego zabierałam.

Pokręcił głową z dezaprobatą.

- Miałaś rację. Sprzeciwiam się przeznaczeniu, próbuję utrzymać cię przy życiu.

Westchnęłam. Gdy minęliśmy granicę miasteczka, Edward wreszcie zwolecił. Trasę z Port Angeles pokonałszy w niespełna dwadzieścia minut.

- Jutro będziesz już w szkole?

- Będzie, będę. Też mam wypracowanie do oddania. - uśmiechnął się. - Zajmę dla ciebie miejsce w stołówce.

- Było mi głupio, że po tym wszystkim, co razem przeszliśmy owego wieczora, właśnie ta błaża obietnica poruszyła mnie najbardziej? Na chwilę zaparło mi dech w piersiach.

Podjeżdżaliśmy już pod dom Charliego. W oknie świeciła lampa, na podjeździe stała moja furgonetka - wszystko to było takie realne, takie normalne. Poczułam się jak osoba wybudzona z głębokiego snu. Edward zatrzymał wóz, ale nie było mi spieszo wsiadać.

- Słowo honoru, że będziesz jutro w szkole?

- Słowo.

Zastanowiwszy się nad tym przez chwilę, poikiwałam głową, po czym zdjęłam pożyzoną kurtkę, wachając ją po raz ostatni.

- Zatrzymaj ją. Nie będziesz miała, w co się rano ubrać - przypomniał mi Edward.

- Nie chcę się tłumaczyć przed Charliem - wyjaśniłam.

- Jasne - prychnął.

Nadął nie wysiadałam, choć trzymałam już dłoń na klamce, próbując jakoś przedłużyć nasz wspólny wieczór.

- Bello? - spytał zmienionym, poważnym tonem. Znów nie był pewien, czy może być wobec mnie szczerzy.

- Tak? - odwróciłam się w jego stronę z przesadną gorliwością.
- Obiecasz mi coś?
- Oczywiście. - Natychmiast pożałowałam tej przedwczesnej zgody. Co, jeśli pragnął, żebym trzymała się od niego z daleka? Takiej obietnicy nie potrafiłabym dotrzymać.
- Nie chodź sama po lesie, dobrze. - Tego się nie spodziewałam.
- Ale dlaczego?
- Nie jestem jedyną niebezpieczną istotą w okolicy. Nie więcej nie musisz wiedzieć. Wzdrygnęłam się, ale i poczułam ulgę. Tego zalecenia łatwo było mi przestrzegać.
- Nie ma sprawy.
- Do jutra - rzucił. Zrozumiałam, że mam już sobie iść.
- Cześć. - Z niechęcią zabrałam się do otwierania drzwi.
- Bello? - Odwróciłam się. Pochylił się w moją stronę, aż nasze twarze dzieliło zaledwie kilka centymetrów. Zamarłam.
- Miłych snów - powiedziała i owionął mnie jego oddech. Poczułam ten sam cudowny zapach, który wydzielała kurtka, tyle, że jeszcze bardziej intensywny. Oszołomiona przez chwilę nie wiedziałam, co się ze mną dzieje.

Tymczasem Edward powrócił do poprzedniej pozycji.

Musiałam poczekać, aż mój mózg zacznie ponownie działać. Potem wysiadłam niezdarnie, wspierając się na stopniu. Wydawało mi się, że usłyszałam za sobą chichot, ale dźwięk był zbyt cichy, by mieć całkowitą pewność. Edward zapalił silnik, gdy dowlokłam się do ganku. Obserwowałam, jak srebrne auto znikła za rogiem. Dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, jak bardzo jest mi zimno.

Machinalnie sięgnęłam po klucz i otworzyłam drzwi.

- To ty, Bella? - zawołał Charlie z salonika.
- Cześć, tato. - Weszłam do pokoju, żeby się przywitać. Oglądał mecz baseballowy. - Wcześniej wróciłaś.
- Naprawdę? - odparłam zdziwiona.
- Jeszcze nie ma ósmej. I co, bawiliście się dobrze?
- Tak, było super. - Nadal kręciło mi się w głowie. Spróbowałam sobie przypomnieć, co właściwie robiłam z dziewczynami. - Obie kupiły sukienki.
- Wszystko w porządku?
- Jestem tylko zmęczona. Dużo chodziłam.
- Może połóż się dziś wcześniej - doradził z troską w głosie. Zastanowiłam się, jak też musi wyglądać moja twarz.
- Tylko zadzwonię do Jessiki.
- Przecież przed chwilą się z nią widziałaś.
- Tak, ale... zostawiłam w jej aucie kurtkę. Muszę jej przypomnieć, żeby przyniosła mi ją jutro do szkoły.
- No cóż, może najpierw daj jej wrócić do domu?
- No tak - przyznałam mu rację.

Poszłam potem do kuchni i padłam na krzesło. Nadal nie mogłam dojść do siebie. Może to spóźniony szok powypadkowy, pomyślałam. Ach, weź się w garść, dziewczyno.

Nagle zadzwonił telefon i aż podskoczyłam. Halo? - wybąkałam sparaliżowana.

- Bella, to ty?
- Cześć, Jess. Właśnie miałam do ciebie dzwonić.
- Już w domu? - Zdawała się pokrzepiona tą wiadomością, ale i... zaskoczona.
- No tak. Wiesz, zostawiłam u ciebie w samochodzie kurtkę. Przyniosłabyś mi ją może jutro?
- Jasne. Ale błagam, zdradź mi teraz trochę szczegółów.
- Ehm, lepiej w szkole. Na trygonometrii? Co powiesz? Zrozumiała od razu.
- Ach, twój tata? - Właśnie.
- Dobrze, w takim razie pogadamy jutro. Hej! - Słysząc było jednak, że jest zniecierpliwiona.
- Cześć.

Weszłam powoli po schodach, coraz bardziej zamroczone, i jak automat zaczęłam się sztywnieć do snu. Dopiero parząca woda prysznicowa otężyła mnie na tyle, że ponownie poczułam przenikający mnie chłód. Ślałam tak kilkanaście minut targana gwałtownymi dreszczami, czekając, aż wysoka temperatura rozluźni moje zeszywniałe mięśnie. I tak byłam zbyt zmęczona, by ruszyć się z miejsca.

W końcu musiałam wyjść, bo skończyła się ciepła woda. Owinąwszy się zaraz starannie ręcznikiem, licząc na to, że nie stracę szybko ciepła, więc dreszcze nie wrócą. W tym samym celu, przebrawszy się pośpiesznie w piżamę, skuliłam się niczym embriom pod kołdrą. Zadrżałam jeszcze kilkakrotnie, ale słabiej.

Głowę wypełniał mi chaotyczny korowód obrazów i faktów, z których części nie rozumiałam, a o części pragnęłam jak najszybciej zapomnieć. Z początku nie nie układało się w logiczną całość, ale przekraczając granicę snu, byłam już absolutnie pewna kilku rzeczy.

Po pierwsze, Edward pochodził z rodziny wampirów po drugie, dręczyło go pragnienie - na ile był je w stanie pohamować, tego nie wiedziałam - pragnienie, by posmakować mojej krwi. Po trzecie wreszcie, byłam w tym wampirze bezwarunkowo i nieodwołalnie zakochana.







- Wpadnij kiedyś na sałę, jak będę miała WF, to zrozumiesz. - Czy Zbysł pila do tego, że nie potrafisz pokonać bez pokniętego odcinka - gładkiej, stabilnej nawierzchni?

- Oczywiście.

- Żaden kłopot - odparł z przekonaniem. - W tańcu wszystko zależy od tego, jak prowadzi partner. - Widząc, że chce zaprotestować, dodał szybko: - To w końcu jak? Jedziemy do Seattle czy robimy coś innego?

Skoro obie wersje zakładały wspólnie spędzoną sobotę, było mi wszystko jedno.

- Jestem otwarta na propozycje - oświadczyłam - pod jednym wszakże warunkiem.

Jak zawsze w takich sytuacjach, zrobił się nieco podejrzliwy.

- Jakim?

- Możemy pojechać moim wozem?

- Dlaczego twoim? - skrzywił się.

- Głównie przez wzgląd na Charliego. Spytał, czy jadę do Seattle sama i potwierdziłam, bo tak to wtedy wyglądało. Jeśli spyta jeszcze raz, raczej nie skłamię, tyle, że jest mało prawdopodobne, że jeszcze raz spyta, a gdybym zostawiła furgonetkę, musiałabym się ze wszystkiego niepotrzebnie tłumaczyć. A poza tym panicznie boję się twojego stylu jazdy. Edward wyrzucił oczami.

- Tyle rzeczy grozi ci z mojej strony, a ty boisz się akurat mojego stylu jazdy - stwierdził zniechęcony. - Nie powiesz ojcu, że jedziesz ze mną? - Czułam, że w tym pytaniu kryje się jakieś drugie dno.

- Tak już jest, że lepiej nie mówić mu wszystkiego. - Co do tego nie miałam najmniejszych wątpliwości. - A tak w ogóle, to, dodaj się wybieramy?

- Zapowiada się ładny dzień, więc będę trzymał się z dala od ludzi. Możesz potrzymać się z dala od nich ze mną... jeśli chcesz. - Dawał mi wolną rękę.

Pokażesz mi, co się dzieje z wami w słońcu? - Byłam podekscytowana możliwością poznania kolejnej tajemnicy.

- Jasne. - Uśmiechnął się, a potem dodał poważnym tonem - Ale jeśli ci to nie odpowiada, wolałbym mimo wszystko żebyś nie jechała sama do Seattle. Ciarki mnie przechodzą na myśl co mogłoby ci się przytrafić w tak dużym mieście.

- Phoenix ma trzy razy więcej mieszkańców - obruszyłam się - A jeśli chodzi o powierzchnię...

- Tyle że w Phoenix - wtrącił - śmierć nie była ci jeszcze wyraźnie pisana. Wolałbym, więc, żebyś była blisko. - Znowu wypróbował na mnie nieświadomie magnetyczną moc swoich oczu.

Trudno było z tym spojrzeniem czy z pobudkami Edwarda walczyć, zresztą żadna decyzja jeszcze nie zapada.

- Nie martw się, sobota sam na sam z tobą najzupełniej mi odpowiada.

- Wiem - westchnął ciężko - ale lepiej powiedz Charliemu.

- Po co?

Twarz Edwarda zmieniała się.

- Dzięki temu będę miał trochę większą motywację, żeby pozwolić ci wrócić do domu.

Przełknęłam głośno ślinę, ale już po chwili byłam gotowa odpowiedzieć:

- Sądzę, że podejmę to ryzyko.

Lypnął na mnie gniewnie i odwrócił wzrok.

- Może porozmawiamy, o czym innym? - zasugerowałam.

- O czym byś chciała porozmawiać? - Nadal był wzburzony Rozejrzałam się, wokół, aby się upewnić, że nikt nas nie podsłucha, i odkryłam, że siostra Edwarda, Alice, patrzy prosto na mnie. Reszta rodzeństwa przyglądała się

swemu bratu. Odwróciłam się pospiesznie w jego stronę i zadałam pierwsze pytanie jakie przyszło mi do głowy:

- Po co pojechaliście w zeszły weekend do Kozich Skał? Polować? Charlie mówił, że to nie najlepsze miejsce na biwak, bo roi się tam od niedźwiedzi.

Mina Edwarda świadczyła o tym, że przegapiłam coś oczywistego.

- Niedźwiedzie? - wykrztusiłam. Uśmiechnął się. - To nie sezon polowań - dodałam surowym tonem, by ukryć to, jak bardzo jestem zszokowana.

- Przeczytaj i przekonaj się sama - poradził. - Przepisy zakazują polowań z zastosowaniem broni. - Przyglądał mi się z rozbawieniem ciekawym, jak zareaguję na ukrytą w tym zdaniu aluzję.

- Niedźwiedzie? - powtórzyłam.

- To Emmett gustuje w grizzly - rzucił niby od niechcienia, choć musiał martwić się, czy to mnie nie wystraszy.

Postanowiłam wziąć się w garść, ale potrzebowałam trochę czasu.

- No, no - powiedziałam, sięgając po pizzę. Jedząc nie musiałam na niego patrzeć. Żułam niespiesznie, a potem napiłam się jeszcze coli. Kiedy w końcu podnosiłam wzrok, Edward zaczął już się niepokoić. - A ty w czym gustujesz?

Widać było, że nie spodobało mu się to pytanie.

- W pumach.

- Ach tak - odparłam grzecznie acz obojętnie, po czym wróciłam do picia coli.

- Rzecz jasna - ciągnął, imitując ton mojego głosu - to, że nie przestrzegamy prawa łowieckiego, nie zwalnia nas od trosk o środowisko naturalne. Staramy się koncentrować na obszarach z nadwyżką drapieżników. Zawsze też łatwo o sarnę lub łosia. Nadają się, ale to żadna zabawa. - Tu uśmiechnął się prowokująco.

- W istocie, żadna - mruknęłam dystygnowanie znad pizzy. Najlepsza pora na niedźwiedzie to według Emmetta właśnie wczesna wiosna. Dopiero co przebudziły się ze snu zimowego, więc są bardziej drażliwe. - Przyłknęłam oczy, wspominając jakieś wesole wydarzenie. - Ach, nie ma to jak rozdrażniony grizzly. Ubaw po pachy. - Pokiwałam głową ze znanstwem. Prychnął.

- Proszę, powiedz, co naprawdę o tym wszystkim myślisz.

- Usiłuję to sobie wyobrazić, ale nie potrafię - wyznałam. Jak można polować na niedźwiedzie bez broni?

- Och, mamy broń. - Na sekundę obnażył swoje lśniące bielą zęby. Już miałam się wdrygnąć, ale powstrzymałam się, żeby nie okazać lęku. - Tyle że prawo łowieckie nie bierze jej pod uwagę. A jeśli masz kłopoty z wyobrażeniem sobie Emmetta w akcji, przypomnij sobie, jak wygląda atak niedźwiedzia, jeśli widziałas takowy w telewizji.

Kolejnego wdrygnięcia nie udało mi się już opanować. Zerknęłam na Emmetta, dziękując Bogu, że nie patrzy akurat w moją stronę. Jego silnie umięśnione ramiona i muskularny tors niemal, że napawały mnie przerażeniem.

Edward też zerknął na brata i znowu prychnął. Spojrzałam na niego poruszona.

- Czy też atakujesz jak niedźwiedź? - spytałam cicho.

- Ponoć bardziej przypominam pumę - oświadczył pogodnie. - Być może ma to coś wspólnego z preferencjami smakowymi.

- Być może. - Zmusiłam się do łagodnego uśmiechu. Nadal trudno mi było się z tym wszystkim pogodzić. - Mogę kiedyś zobaczyć takie polowanie?

Zbladł raptownie.

- W żadnym wypadku! - warknął rozszczęcony. Odskoczyłam do tyłu. Nigdy bym się przed nim do tego nie przyznała, ale przeraziła mnie tak gwałtowna reakcja. Edward też się cofnął, splótłszy ręce na piersi.

- Za duży szok jak dla mnie? - spytałam, gdy już doszłam do siebie.

- Gdyby chodziło tylko o szok - powiedział cierpko - wziąłbym cię do lasu choćby dzisiaj. Powinnaś się wreszcie porządnie przestraszyć. Wyszedł ci to na zdrowie.

- Więc czemu? - drążyłam z uporem, ignorując jego rozdrażnienie.

Wpatrywał się we mnie jakiś czas w milczeniu.

Później ci wyjaśnię. - Ani się obejrzałam, już stał. - Spójmy się. Zdałam sobie sprawę, że stołówka jest niemal pusta. Przy Edwardzie nigdy nie zwracałam uwagi na czas i otoczenie. Poderwałam się z miejsca, podnosząc wiszącą na oparciu krzesła torbę.

Niech będzie później. - Byłam gotowa poczekać.

Gdy podchodziliśmy do naszej ławki w sali od biologii, wszyscy pozostali uczniowie się na nas gapili. Zrezygnowawszy z siedzenia przy najdalszym kątku stołu, Edward przysunął swoje krzesło tak blisko mojego, że niemal stykaliśmy się ramionami.

Pan Banner, jak zwykle punktualny, pojawił się w klasie chwilę po nas. Ciągnął za sobą wysoką metalową szafkę na kółkach, mieszczącą masywny, przestarzały telewizor oraz wideo. Lekcja z filmem! Wszystkie od razu poprawił się humor.

Nauczyciel wsunął kasetę do stawiającego opór otworu odtwarzacza, po czym podszedł do ściany, żeby zgasić światło, ciemność wyostriła moje zmysły. Byłam teraz, co mnie zdziwiło jeszcze bardziej świadoma bliskości Edwarda. Moja skóra stała się jakby naelektryzowana, a ciało przeszływały przrywnie, dreszcze. Owładnęło mną przemożne pragnienie, by choć raz musnąć dłonią policzek mojego sąsiada. Nie chcąc się mu poddać skrzyżowałam ręce na piersiach, a obie dłonie, mocno zacisnięte wetknęłam pod pachy. Byłam blisko sąsiedztwa. Na ekranie telewizora pokazała się czółowka filmu, co rozjaśniło nieco mrok. Natychmiast mimowolnie spojrzałam na Edwarda. Uśmiechnęłam się nieśmiało, widząc, że przyjął identyczną obronną pozycję i także zerka w moją stronę. On też się uśmiechnął, jego oczy nawet w ciemnościach zachowały swoją porażającą moc, musiałam, więc szybko spuścić wzrok, by uniknąć palpitacji serca. Było mi strasznie głupio, że tak na niego reaguję.

Lekcja ciągnęła się w nieskończoność. Nie potrafiłam skoncentrować się na filmie - nie wiedziałam nawet, o czym właściwie jest. Próbowałam się rozluźnić, ale bez powodzenia. Od czasu do czasu pozwalałam sobie zerknąć na Edwarda, wiedziałam, więc, że i on nadal siedzi sztywno. I wciąż bila od niego ta elektryzująca aura. Mimo upływu czasu pragnienie, by go dotknąć, nie słabło aż w końcu zaczęły mnie boleć zacisnięte karczowo palce. Gdy nareszcie rozbrzyśły światła, odetchnęłam z ulgą i wyprostowawszy przed sobą ręce, zaczęłam przebierać w powietrzu zeszytwniały mi palcami. Edward prychnął.

- Nie ma co, ciekawe doświadczenie - mruknął ponuro.

- Ehm. - Tylko tyle byłam w stanie z siebie wydusić.

- Idziemy? - spytał, podnosząc się z miejsca jednym zwinnym ruchem.

Niemal jęknęłam: nadeszła pora WF - u. Wstałam ostrożnie, nie mając pewności, czy owa dziwna chwila bliskości w ciemnościach nie wpłynęła negatywnie na mój zmysł równowagi.

Edward odprowadził mnie do samych drzwi sali gimnastycznej. Odwróciłam się, żeby się pożegnać, i poraził mnie wyraz jego twarzy. Malowało się na niej jakieś wewnętrzne rozdarcie, na granicy bólu, a była przy tym tak oszalamiąco piękna, że znów musiałam walczyć ze sobą, by jej nie dotknąć. Słowa pożegnania uwieżyły mi w gardle.

Edward podniósł z wahaniem rękę, podejmując jakąś niezwykle trudną decyzję. Wreszcie opuszkami palców musnął przelotnie mój policzek. Skórę miał jak zawsze lodowatą, ale jego dotyk dziwnie rozgrzewał - jakbym się oparzyła, tylko nie czuła jeszcze bólu. Zaraz potem odszedł szybko bez słowa.

Weszłam do środka półprywatnej toalety, slaniając się na nogach. Nawet nie wiem, jak znalazłam się w szatni, przebierałam się jak zwykle w transie ledwie świadoma obecności innych ludzi. Ocknęłam się dopiero, gdy wręczono mi rakiętkę do badmintona. Nie była ciężka, ale i tak bałam się, że zrobię nią komuś krzywdę - kilka osób rzuciło mi zresztą pełne obawy spojrzenia.

Pan Clapp kazał nam dobrać się w pary, miałam jednak szczęście, bo Mike nadal był gotowy trwać wiernie u mego boku. Chcesz tworzyć ze mną drużynę? - zaoferował się. - Dzięki, ale pamiętaj, nie musisz tego robić. - Spokojna głowa. - Uśmiechnął się. - Będę się trzymał od ciebie z daleka. Czasami naprawdę łatwo było go darzyć sympatią. Oczywiście nie obyło się bez wpadki. Udało mi się zdzielić się rakiętą po głowie i zahaczyć o ramię Mike'a dosłownie za jednym zamachem. Resztę godziny lekcyjnej spędziłam w tylnym rogu kortu z rakiętą schowaną dla bezpieczeństwa za plecami. Z drugiej strony, mimo tego utrudnienia, mój partner poradził sobie świetnie, wygrał, bowiem trzy spośród czterech rozegranych meczów. Kiedy zaś gwizdkiem ogłoszono koniec lekcji, przybił ze mną piątkę, na co zupełnie sobie nie zasłużyłam. - A więc to oficjalne? - spytał po zejściu z boiska.

- Co takiego?

- No wiesz, ty i Cullen. - Nie wydawał się z tego zadowolony. Moja sympatia wyparowała bez śladu.

- Nic ci do tego - warknęłam, przeklinając w duchu gadatliwość Jessiki, ale Mike zignorował to ostrzeżenie.

- Ten facet mi się nie podobą. - I nie musi.

- Patrzy na ciebie tak... tak... - ciągnął - jakbyś była czymś do zdjedzenia.

Zduślałam wybuch histerycznego śmiechu, ale nie powstrzymałam chichotu. Mike spojrzął na mnie ponuro. Pomachałam mu na pożegnanie i umknęłam do szatni, gdzie w okamgnieniu zapomniałam o naszej krótkiej rozmowie.

Miałam teraz ważniejsze rzeczy na głowie, przebierając się aż dygotałam ze strachu i podesłcytowania zarazem. Czy Edward będzie na mnie czekał przy wyjściu czy w samochodzie? A co, jeśli będzie tam jego rodzeństwo? Tu po raz pierwszy przestraszyłam się zupełnie na poważnie. Czy Cullenowie wiedzą, że ja wiem? Czy powinniśmy wiedzieć, że wiedzą, że wiem, czy też nie?

Wychojąc z szatni, postanowiłam, że najlepiej będzie jeśli pójdę do domu pieszo, nawet nie zerkając na parking. Okazał się jednak że zadreczęcałam się niepotrzebnie. Edward czekał na mnie oparty o ścianę zaraz za drzwiami, a jego cudowny chryślowy głos już przedtem szpecił już żaden grymas. Od razu poczułam się lepiej.

- Hej.

- Cześć. - Jego uśmiech był porażający. - Jaktam WF? Odrobinię zrzęda mi mina.

- W porządku - skłamałam.

- Na pewno? - Nie dał się zwieść. Nagle zauważył kogoś za moimi plecami i zacisnął zęby. To Mike zniknął właśnie za zakrętem.

- O co chodzi?

Przeniósł wzrok na mnie, ale usta nadal miał pogardliwie wykrzywione.

- Ten Newton działa mi na nerwy.

- Czy tałaś w jego myślach? - Nie spodobało mi się to. Dobry nastrój prysł niczym bańka mydlana.

- Głowa już nie boli? - spytał Edward z niewinną troskliwością w głosie.

- Jesteś niemożliwy! - Odwróciłam się na pięcie i ruszyłam w stronę parkingu, choć wciąż nie wykluczałam, że będę musiała iść pieszo.

Z łatwością dotrymałam mi kroku.

- Sama wspominałaś, że powinniśmy zobaczyć, jak ci idzie na WF - ie. Byłam ciekawy. - Nie kajał się, więc puściłam to mimo uszu.

Gdy doszliśmy do samochodu, jeszcze mu nie wybaczyłam. Tak właściwie nie doszliśmy do samego auta, ponieważ wokół bil się tłum chłopców. Volvo nic się jednak nic stało - chodzilo im rzecz jasna o kabriolet Rosalie. W oczach gapiów płonęło pożądanie; nawet nie podnieśli wzroku, gdy Edward zaczął się przepychać się do drzwiczek od strony kierowcy. Pospiesznie zajęłam swoje miejsce również niezauważona.

- Robi wrażenie - skwitowała.

- Co to w ogóle za auto?

- M3.

- Czyli?

- BMW - Nie patrząc na mnie, przewrócił oczami. Nawet on musiał się teraz nieco skąpić, żeby nikogo nie przejechać przy wycofywaniu. Pokiwałam głową. Tę nazwę znam.

- Wciąż się gniewasz? - spytał, manewrując.

- Gniewam. Westchnął.

- Wybaczysz mi, jeśli przeproszę?

- Może. Pod warunkiem, że to nie będą udawane przeprosiny. I jeśli obiecasz, że to się nie powtórzy.

- A co powiesz - oświadczył przebiegle - jeśli przeproszę szczerze, a do tego pozwolę ci prowadzić w sobotę?

Doszłam do wniosku, że nic więcej nie wskóram, odrzekłam więc:

- Umowa stoi.

- Przepraszam, zatem, że sprawiłem ci przykrość - powiedział ze szlachetnym wyrazem twarzy, po czym uśmiechnął się szelmowsko i dodał: - A w sobotę rano stawię się pod twoim domem. - Będę musiała się tłumaczyć przed Charliem, czyż to volvo.

- Nie mam zamiaru przyjechać volvo - odparł pobłażliwym tonem.

- Więc jak?

- Tym się nie kłopot. Będę ja, volvo nie będzie. Dałam sobie spokój. Inne sprawy czekały na wyjaśnienie. Czy już jest później? - W moim pytaniu kryła się pewna aluzja.

Zmarszczył czoło.

- Sądę, że tak.

Czekałam z grzeczną miną na jakąś dalszą wypowiedź. Edward zatrzymał wóz. Zaskoczona wyjrzałam przez okno. No tak, staliśmy już pod domem Charliego, zaraz za furgonetką. Latwiej mi było jeździć volvo bez spoglądania na drogę. Gdy przeniosłam wzrok powrotem na Edwarda, przyglądał mi się badawczo.

- Nadal chcesz wiedzieć, czemu nie możesz zobaczyć, jak poluję? - Był poważny, choć wyczuwałam w jego głosie nutkę rozbawienia.

- Cóż, bardziej zaciękała mi twoja reakcja na moją prośbę.

- Przestraszyłam cię? - Tak, to na pewno było rozbawienie.

- Nie - skłamałam, ale nie uwierzył.

- Przepraszam, że cię przestraszyłam. - Rozbawienie ustąpiło z troską, uśmiechał się jednak delikatnie. - Sama myśl, że mogłabyś się znaleźć w naszym pobliżu... - Spochmurnał.

- Groziłoby mi niebezpieczeństwo?

- Ogromne - wycedził.

- Bo...

Wziął głęboki oddech i wyjrzał przez okno na gęste zwały chmur, których masa zdawała się ciężką ku ziemi niemal na wyciągnięcie ręki.

- Kiedy polujemy - zaczął wolno, niechętnie - nie jesteśmy w pełni świadomi, dajemy się porwać zmysłom. Zwłaszcza z zmysłompowonienia. Gdyby m w tym stanie wyczuł, że jesteś gdzieś w pobliżu... - Zasepony pokręcił głową, wpatrując się w szare niebo.

Zerknął na mnie ciekawym mojej reakcji, ale spodziewałam się tego i cały ten czas robiłam wszystko, co w mojej mocy, żeby zachować spokojny wyraz twarzy. Nie był wprawdzie w stanie czytać moich uczuć, ale gdy nasze oczy się spotykały, coś się zmieniło. To zaczęła mi bardziej ciężko wisząca w powietrzu cisza, a od Edwarda znów popłynął ku mnie ów znany mi już prąd. Zaparło mi dech w piersiach, zakreślił mi się w głowie. Wreszcie, nabierając głośno powietrza do płuc, chcąc nie chcąc, przerywałam tę magiczną chwilę. Zamknął oczy. - Bello sądzi, że powinnaś już iść do domu - szepnął surowym tonem, wzrok wbił w chemuriy.

Gdy otworzyłam drzwiczki, nieco otrzeźwił mnie mroźny powiew wiatru, nie na tyle jednak, żeby m nie bała się wywrócić. Wysiadłam ostrożnie, nie patrząc za siebie, i doszłam tak do samego domu, gdyby nie dźwięk spuszczonej automaty cznie szyby. - Bello, jeszcze coś - zawolał spokojniej. Siedział pochylony ku otwartemu oknu i uśmiechał się delikatnie. - Tak? - jutro moja kolej.

- Kolej na co?

- Wyszczerezył zęby.

- Na zadawanie pytań. - Volvo znikło za rogiem, nim zdążyłam wymyślić ripostę. Uśmiechnęłam się. Jedno było pewne - mieliśmy się jutro zobaczyć.

Tej nocy Edward jak zwykle pojawił się w moich snach, ale zmieniła się panująca w nich atmosfera - były teraz przesycone ową elektryzującą aurą. Przewracałam się z boku na bok i często budziłam. Męczące majaki pozwoliły mi usnąć spokojnie dopiero przed świtem.

Rano byłam zmizerowana i podenerwowana. Z westchnieniem włożyłam brązowy golf i standardowe tu już dzinsy - tak bardzo tęskniłam za szortami i bluzeczkami na ramiączkach. Do śniadania zasiedliśmy z Charliem, rzecz jasna, w milczeniu. Usmażył sobie jajka, a ja zabrałam się do mojej codziennej porcji płatków, zastanawiałam się, czy nie zapomniał o sobocie, ale sam podjął ten temat, wstawszy od stołu.

- Co do soboty... - zaczęłam, odkręcając kurek przy zlewie, a jednak, pomyślałam z niechęcią.

- Tak, tato?

- Nadal wybierasz się do Seattle?

- Tak był plan. - Miałam nadzieję, że nie zmusi mnie wypytywaniem do uwikłania się w sieć kłamstw.

Charlie zaczął szorować gąbką skropiony płynem do mycia naczyń talerz.

- Jesteś pewna, że nie uda ci się wrócić w porę na bal?

- Nie idę na bal. - Zaczynał działać mi na nerwy.

- Nikt cię nie zaprosił? - Próbował ukryć z troską, płucząc swój talerz wyjątkowo starannie.

- Tym razem to dziewczyny wybierają - udało mi się wyplatać.
- Ach tak - Zamilkł, zbity z tropu.

Rozumiałam jego ojcowskie rozterki, musiało być mu trudno. Z jednej strony żył w strachu, że znajdę sobie chłopaka, z drugiej martwił się, że go sobie nie znajdę. Jak strasznie musiały się czuć gdyby zaczął choćby podejrzewać, w jakim tydzień mężczyzna, czy też raczej stworzył, gustuję. Wzdrygnęłam się na samą myśl o tym.

Charlie wyszedł, pomachałszy mi na pożegnanie, a ja poszłam na górę umyć zęby i zabrać rzeczy do szkoły. Gdy usłyszałam, że odjeżdża, nie mogłam się powstrzymać i zaledwie po kilku sekundach doskoczyłam do okna. Nie zawiadłam się - miejsce samochodu ojca zajmowało już srebrne volvo. Czym prędzej zbiegłam na dół, zastanawiając się po drodze, jak długo jeszcze Edward ma zamiar wozić mnie do szkoły. Miałam nadzieję, że do końca świata. Byłam w takim stanie, że nawet nie zamknęłam drzwi na klucz.

Czekał w aucie, najwyraźniej nie patrzył, czy idę. Otworzyłam nieśmiało drzwi i wślizgnęłam się do środka. Jak zwykłe poraził mnie swoją urodą. Był uśmiechnięty i rozluźniony.

- Dzień dobry - przywitał mnie aksamitnym głosem. - Jak się miewasz? - Przyjrzał mi się uważnie, jakby nie chodziło mu o zwykłą grzeczność, lecz konkretne informacje.
- Dobrze, dziękuję. - Przy nim zawsze czułam się dobrze, wręcz fantastycznie.

Zauważyłam, że mam podkrążone oczy.

- Wyglądasz na zmęczoną.

Nie spałam najlepiej - przyznałam, machinalnie zasłaniając mankamenty profilu włosami.

- Ja też nie - zartował, odpalając silnik. Przyzwyczaiłam się do cichego pomruku volvo. Byłam pewna, że przestraszyłabym się warkotu furgonetki, gdybym miała się teraz do niej z powrotem przejechać.

- Sądzę, że spałam tylko odrobinę dłużej niż ty.
- Założył się, że tak właśnie było.
- I co porabiałeś ubiegłej nocy? - O, nie, nie. Dzisiaj to ja zadaję pytania.
- Rzeczywiście. W takim razie, co chciałbyś wiedzieć? - Zachodziłam w głowę, co mogłoby go interesować.
- Jaki jest twój ulubiony kolor? - spytał ze śmiertelnie poważną miną.

Wywróciłam oczami.

- To zmienia się z dnia na dzień.
- No to, jaki jest twój ulubiony kolor dzisiaj?
- Chyba brązowy. - Miałam w zwyczaju ubierać się zgodnie ze swoim nastrojem.

Edward zarzucił powagę i prychnął.

- Brązowy?

- Czemu nie? To taki ciepły kolor. Tu w Forks bardzo mi go brakuje. Wszystko, co powinno być brązowe - pożałowałam - pnie drzew, skały, ziemia... wszystko pokrywa taki zielony, wilgotny nalot. Mech czy inne paskudztwo.

Wydawał się zafascynowany moim *zrządzeniem*. Przez chwilę zastanawiał się nad tym, co powiedziałam, patrząc mi w oczy.

- Masz rację - stwierdził z powagą. - Brąz jest ciepły. - Szybkim gestem, choć jednak było w nim jakieś wahanie, odgarnął mi włosy za ramię, odsłaniając policzek.

Parkowaliśmy już przed szkołą.

- Jakiego CD jest teraz w twoim odtwarzaczu? - spytał takim tonem jakby żądał ode mnie przyznania się do morderstwa.

Uświadomiłam sobie, że nie wyjęłam jeszcze albumu, który dostałam od Phila. Kiedy rzuciłam nazwę zespołu, Edward uśmiechnął się szelmowsko i tajemniczo zarazem, po czym sięgnął do schowka i podał mi jedną z około trzydziestu upchanych tam płyt. Był to ten sam album.

- To i Debussy? - spytał, unosząc jedną brew.

Trwało to cały dzień. Czy to przed angielskim, po hiszpańskim, na lunchu, nieprzerwanie zasyptał mnie blahymi pytaniami. Opowiadałam mu więc o swoich ulubionych i nienawidzonych filmach, o tych paru miejscach, w których byłam, i o tym, które chciałyby zobaczyć, a przede wszystkim o książkach, po prostu bez końca.

Nie pamiętałam, kiedy ostatni raz mówiłam tak dużo. Często robiło mi się głupio, byłam, bowiem przekonana, że go nudzę. Edward wydawał się jednak skąpiony, a jego ciekawość nie słabła nie przerywałam, więc przesłuchania. Większość pytań była zresztą łatwa, tylko przy kilku spłoszowałam, ale i każdy rumieniec prowokował dalszą ich serię.

W jednym z przypadków chodziło o mój ulubiony kamień szlachetny. Gdy zagapiłam się i bezmyślnie palnęłam „topaz”, Edward natychmiast zasyptał mnie gradem pytań. Czułam się niczym osoba biorąca udział w jednym z tych testów psychologicznych, w których należy odpowiadać pierwszym skojarzeniem. Byłam pewna, że nie dopytwałyby się tak, gdyby nie moja reakcja, a splekłam raka, ponieważ do niedawna moim ulubionym kamieniem był granat. Wpatrując się w miódzowe oczy Edwarda, nie sposób było zapomnieć, co wywołało tę zmianę. On z kolei za wszelką cenę pragnął dowiedzieć się, skąd to zawstyżenie.

- Powiedz mi - rozkazał, gdy nie pomogły perswazyje - a nie pomogły perswazyje - a nie pomogły perswazyje, bo spuściłam przed siebie wzrok.

Poddałam się.

- Takiego koloru są dziś twoje oczy - westchnęłam, bawiąc się nerwowo kosmykiem włosów. - Spytał mnie za dwa tygodnie, to pewnie odpowiem, że onyks. - Wyjawiłam mu więcej, niż zamierzałam, co zmartwiło mnie bardzo, ponieważ do tej pory, gdy dawałam po sobie poznać, jak bardzo obsesyjnym uczuciem go darzę zawsze reagował atakiem furii.

Tym razem jednak zamilił tylko na sekundę, a potem spytał o moje ulubione odmiany kwiatów. Odetchnęłam z ulgą. Mogliśmy kontynuować naszą dziwną sesję bez przeszkód. W końcu znaleźliśmy się w sali od biologii, gdzie przesłuchanie trwało aż do przyjścia nauczyciela. I tu pojawił się problem - pan Banner znów ciągnął za sobą sprzęt audio - wideo. Nim zgąszył światła zauważyłam, że Edward odrobinę się ode mnie odsunął. Nie pomogło. Gdy tylko sala pogrążyła się w ciemnościach, podobnie jak poprzedniego dnia, poczułam, że moje ciało przebiega prąd i zapragnęłam z całej mocy pogłaskać Edwarda po chłodnym policzku.

Aby sobie pomóc, oparłam brodę o złożone na stole ręce, z całej siły zaciskając palce na kancie stołu. W dodatku ani razu nie zerknęłam w bok Gdybym odkryła, że i on na mnie patrzy, jeszcze trudniej byłoby mi zwalczyć pokusę. Oprócz poskramiania romantycznych odruchów, starałam się też skoncentrować na treści filmu, ale mimo szerezy chęci znów nie zapamiętałam.

Gdy nareszcie włączono światło, natychmiast spojrzalam na Edwarda. Spoglądał na mnie z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Podniósłszy się w milczeniu, poczekał, aż się spażuję, po czym odprowadził pod salę gimnastyczną, gdzie znów poznałam sobie słów czułym gestem - poglaskał mnie wierzchem dłoni od skroni aż po wargi.

Lekcja WF - u minęła mi szybko na oglądaniu jednoosobowego show Mike'a na boisku. Mój partner nie odzywał się dziś do mnie. Albo dał mi spokój, bo wyglądałam na półprzemysłową, albo obraził się, że nie biorę sobie do serca jego ostrzeżeń. Gdzieś w głębi ducha miałam z tego powodu wyrzuty sumienia, ale byłam zbyt podświadomie, żeby przejmować się jego osobą.

- W szatni, śpięta, spieszyłam się bardzo, chcąc jak najrybciej dołączyć do Edwarda. Zdenerwowanie potęgowało wrodzoną niezdarność, ale w końcu wypadłam na dwór. Podobnie jak wczoraj, odetchnęłam z ulgą na jego widok, a twarz opromienił mi szeroki uśmiech. Edward też się uśmiechnął, a następnie wznowił przesłuchanie.

Pytania, które teraz zadawał, były inne, wymagały bardziej przemyślnych odpowiedzi. Chciał wiedzieć, czego mi w Forks brakuje, i upierał się, bym opisywała mu wszystko, z czym nie był zaznajomiony. Siedzieliśmy w zaparkowanym przed dom Charliego aucie długie godziny. Tymczasem niebo pociemniało i zerwała się gwałtowna ulewa.

Chcąc nie chcąc, musiałyśmy opowiadać o rzeczach tak trudnych do opisanias, jak wysokie odgłosy wydawane w lipcu przez cykady, ledwie opierzona nagość drzew, ogrom rażącego czy stołeczki błękitu nieba, zapach kreozotu - gorzki, odrobinę żywiczny, lecz mimo to przyjemny - czy prosta linia horyzontu zakłócona jedynie przez niskie góry pokryte fiołowymi ni wulkanicznymi skalami. Największy problem sprawiało mi wystłomaczenie, dlaczego to wszystko wydawało mi się takie piękne - urok krajobrazu Arizony nie opierał się przecież na roślinności, którą reprezentowały głównie nieleciące, jakby na wpół umarłe sukulenty, ale raczej na braku wszelkich ozdób, co wysuwało na pierwszy plan samo uształtowanie terenu - płytke masy dołin otokone pasmami skalistych wzgórz - oraz sposób, w jaki ziemia poddawała się słońcu. W pewnym momencie zorientowałam się, że w opisie wspomagam się gestami.

Edward, choć natarciwy wy, przepytwał mnie z dużą delikatnością, dzięki czemu rozluźniłam się i rozgadałam, nie wstydząc się już być w centrum uwagi. Wreszcie, gdy skończyłam opisywać szczegółowo mój zagracony pokój w Phoenix, nie padło żadne nowe pytanie.

- Co to, koniec? - ucieszyłam się.
- Do końca jeszcze daleko, ale twój ojciec wkrótce wróci do domu.
- Charlie! - Zupełnie zapominałam o jego istnieniu. Spojrzałam na pociemniałe od nawałnicy niebo, ale nie znalazłam na nim odpowiedzi. - Która to już? - Zerknęłam na samochodowy zegar.

Rzeczywiście, przyznałam zaskoczona, Charlie powinien być łała chwila.

- Zmierzcha - szepnął Edward refleksywnie, spoglądając ku zachodowi na przesłonięty chmurami horyzont. Myślałam i wydawał się być daleko stąd.

Wpatrywałam się w niego jak zaczarowana. Po pewnym czasie przeniósł wzrok na mnie.

- To dla nas najbezpieczniejsza pora dnia - odpowiedział na malujące się w moich oczach pytanie. - Najłatwiejsza. Ale poniekąd najsmutniejsza... Kolejny dzień dobiega końca, nastaje noc. Mrok jest tak przewidywalny, prawda? - Uśmiechnął się smutno.

- Lubię noc. Gdyby nie ciemność, nigdy nie zobaczyłybyśmy gwiazd. Choć tu akurat chyba zbyt często ich się nie widuje - westchnęłam.
- Edward parsknął śmiechem i zaraz zrobiło się trochę weselej.

- Cóż, za parę minut wróci Charlie, więc jeśli nie chcesz, żebyś powiedział mi o sobie...
- Nie chcę, nie. Czas na mnie. - Zaczęłam się zbierać. Dopiero teraz zdałam sobie sprawę, jak bardzo zeszywniałam od długiego siedzenia w bezruchu. - Czy w takim razie jutro moja kolej na zadawanie pytań?
- Ani się waż! - udał wzburzenie.

- Mówiłem ci, jeszcze z tobą nie skończyłem.
- O co tu się jeszcze pytać?
- Jutro zobaczysz. - Wyciągnął się przede mną, żeby otworzyć drzwi i serce zaczęło mi bić od tej bliskości jak szalone. Nie nacisnął jednak klamki.
- Niedobrze - mruknął.

- Co jest? - Ze zdziwieniem zauważyłam, że zacisnął zęby, a w oczach miał niepokój.

Zerknął na mnie przełotnie.

- Kolejna komplikacja - odparł ponuro.

Otworzył drzwi do jednego z mieszkań, szybko ruchem i odsunął się natychmiast, jakby bał się, że coś go ugryzie.

W strugach deszczu zaślniły światła obcego czarnego samochodu, który zatrzymał się właśnie przy krawężniku dwa metry przed nami.

- Charlie jest już za rogiem - ostrzegł mnie Edward nie spuszczając z oczu nieznanego mi pojazdu.

Nie wiedząc, co o tym wszystkim myśleć, wyskoczyłam szybko z wozu. Krople głośno odbijały się od mojej kurtki.

Usiłowałam dostrzec pasażerów auta, ale bez powodzenia - było za ciemno. Za to jego reflektory dobrze oświetlały Edwarda. Siedział nieruchomo wpatrzony w kogoś lub coś, czego nie dane mi było zobaczyć. Na jego twarzy malowała się frustracja przemieszana z pogardą.

A potem ruszył z piaskiem opon i już go nie było.

- Cześć, Bella - zawołał ktoś z czarnego samochodu znajomym, ochryplym głosem.
- Jacob? - zdumiałam się, usiłując dostrzec go przez deszcz. W tym samym momencie, oświetlając twarz przybyszów, nadjechał Charlie.

Jacob już wsiadał, a jego szeroki uśmiech był widoczny nawet mimo mroku. Na miejscu pasażera siedział z kolei jakiś starszawy tęgi mężczyzna o zapadających w pamięć rysach twarzy - Policzki wylewały mu się na ramiona, a poorana zmarszczeniami, miedzią skóra przywodziła na myśl znoszoną kowbojską kurtkę - No i te oczy, zaskakująco znajome, jednocześnie zbyt młode i zbyt sędzive jak dla tej twarzy.

Mężczyzną tym był Billy Black, ojciec Jacoba. Chociaż nie widziałam go od ponad pięciu lat, a kiedy Charlie wspomniał po raz pierwszy o furgonietce, nie wiedziałam, o kogo chodzi, teraz poznałam go od razu. Przyglądał mi się uważnie, więc uśmiechnęłam się nieśmiało. Zorientowałam się jednak, że jest czymś bardzo poruszonej, przestraszony lub zszokowany - i mój uśmiech szybko zgasł.

„Kolejna komplikacja” powiedział Edward. Billy nie spuszczał mnie wzroku. Zaczęłam się martwić. Czy zbył rozpoznał Edwarda? Czy naprawdę wierzył w owe niesamowite legendy, z których śmiał się jego własny syn?

Tak właśnie było. Mina Indianina nie pozostawiała, co do tego najmniejszych wątpliwości.

- Billy! - zawołał Charlie serdecznie, gdy tylko wysiadł z samochodu.
- Skłaniając się do Jacoba, wślizgnęłam się pod daszek ganku, ojciec tymczasem witał głośno gości.
- Tym razem przyklnę oko na to, że kierowaleś. Jake - powiedział do chłopca z dezaprobatą w głosie.
- W rezerwacji wydadają prawo młodszemu - zarzucił Jacob. Przysłuchując się, otworzyłam drzwi i zapaliłam lampę nad wejściem.
- Jasne - zaśmiał się Charlie.
- Muszę się jakoś przemieszczać - usprawiedliwił się Billy.
- Jego głos z miejsca przeniósł mnie do krainy dzieciństwa. Mimo upływu tylu lat nie się nie zmieniał.
- Wszłam do środka, zostawiając za sobą otwarte drzwi.
- A przed zdjęciem kartki zapaliłam światło. Potem wróciłam na próg i widziałam, jak Charlie i Jacob sadzają Billy'ego na wózku inwalidzkim. Po chwili cała trójka była już w sieni i strząsała kropki deszczu.
- Co za niespodzianka - powiedział ojciec.
- Za długo zwlekaliśmy - przyznał Billy. - Mam nadzieję, że nie zjawiliśmy się nie w porę. - Nasze oczy znów się spotkały, ale nie byłam w stanie stwierdzić, o czym myśli.
- Skąd, bardzo się cieszę. Mam nadzieję, że zostaniecie na mecz.
- Poniekąd o to nam chodziło. - Jacob uśmiechnął się lobuzersko. - Telewizor już od tygodnia nie działa.
- No i rzecz jasna Jacob nie mógł się doczekać kolejnego spotkania z Bella - Billy odplacił mi miłą mą za nadobne. Chłopiec rzucił ojcu gniewne spojrzenie i zmieszany odwrócił głowę, ja zaś starałam się zdusić wyrzuty sumienia.

Może na plaży byłam jednak zbyt przekonująca?

- Głodni? - spytałam, ruszając w kierunku kuchni. Nie miałam ochoty na to, żeby Billy dłużej mi się przyglądał.
- Nic, dzięki - odezwał się Jacob. - Jedliśmy tuż przed wyjściem.
- A ty, Charlie? - zawołałam już z kuchni.
- Jasne. - Słychać było, że przechodzi do saloniku, a w ślad za nim jedzie wózek Billy'ego.
- Zrobiłam grzanki z serem, które wrzuciłam na patelnię, i kroilałam właśnie pomidora, kiedy zorientowałam się, że ktoś za mną stoi.
- Jakleci? - spytał Jacob.
- Nie narzekam. - Uśmiechnęłam się. Dobry nastrój chłopaka był zaraźliwy. - A co u ciebie? Wykończyłeś już ten samochód.
- Nie. - Spochmurniał. - Wciąż brakuje mi części. Ten czarny jest pożyczony. - Skłonił głowę w stronę podjazdu.
- Szkoła, że nie mamy tego tam... co to było?
- Cylinder. - Znów się szeroko uśmiechnął. - Z furgonetką wszystko w porządku?
- Tak a co? - zdziwiłam się.
- Nic, zastanawiałam się tylko, dlaczego nią nie jeździsz - Wbiłam wzrok w patelnię, sprawdzając stan spodu grzanki.
- Kolega mnie podwiózł.
- Niezła bryka. - W głosie Jacoba słychać było szczery zachwyt. - Nie rozpoznałem kierowcy. Dziwne, myślałem, że znam wszystkich.
- Machinalnie pokiwalałam głową, obracając grzanki. - ale tato go chyba skądś zna - dodał Indianin. - Byłbyś tak miły i podał mi talerz? Są w szafce nad zlewem. - Już się robi.

Miałam nadzieję, że to koniec tematu. Kto to był, ten gość? - spytał Jacob, stawiając koło mnie dwa talerze. Podałam się z westchnieniem. - Edward Cullen.

- Ku mojemu zdziwieniu chłopak parsknął śmiechem. Podniosłam wzrok. Wyglądał na nieco zażenowanego.
- To wszystko wyjaśnia - stwierdził. - Zachodziłem w głowę, czemu tato tak dziwnie na niego reaguje.
- No tak - Udałam niewiniątko. - On przecież nie przepada za Cullenami.
- Jak on, karczę, przesydny - mruknął Jacob pod nosem.
- Jak sądzisz, nie powie nic Charlie'emu, prawda? - szepnęłam nie mogąc się powstrzymać.
- Jacob przyglądał mi się przez krótką chwilę z nieodgadniętym wyrazem twarzy.
- Raczej nie - odpowiedział w końcu. - Ostatnim razem naprawdę porządną się o tych Cullenów pokłócili. Prawie ze sobą nie rozmawiają od tamtego czasu. Ta nasza dzisiaj wizyta to symboliczne wyciągnięcie ręki na zgodę.

Małe szanse, żeby poruszył ten temat.

- Acha - rzuciłam niby to niezbyt zainteresowana.
- Zaniósłszy Charlie'emu jedzenie, zostałam w saloniku i udawałam, że oglądam mecz, przysłuchując się paplaninie Jacoba, tak naprawdę śledziłam jednak rozmowę obu mężczyzn. Starałam się wyczuć moment, w którym Billy będzie chciał zdradzić moją tajemnicę zastanawiając się jednocześnie, jak go powstrzymać jeśli już zacznie.
- Zaczynałam się już niecierpliwic. Robiło się późno, miałam dużo za dane, ale bałam się opuścić posterunek. Wreszcie mecz dobiegł końca.
- Wybierasz się może wkrótce znów ze znajomymi na plażę? - spytał Jacob, manewrując wózkiem ojca nad progiem drzwi frontowych.
- Jeszcze nie wiem - wykręciłam się.
- Dzięki za miły wieczór, Charlie - powiedział Billy.
- Wpadnijcie i na następny mecz - zachęcił go tato.
- Z przyjemnością. No to jesteśmy umówieni. Dobranoc. - Indianin przeniósł wzrok na mnie, a uśmiech zniknął z jego twarzy.
- Uważaj na siebie, dziecko - doradził mi poważnym tonem.
- Jasne - wymamrotałam, patrząc gdzieś w kąt.

Gdy Charlie machał gościom na pożegnanie, ruszyłam w kierunku schodów.

- Bella, czekał no - zawołał za mną.
- Zamartam. Czyżby Billy zdążył mu coś przekazać, zanim przyszedłam z grzankami?
- Obróciwszy się, zrozumiałam jednak, że nie o to chodzi. Zadowolona mina ojca świadczyła o tym, że nadal przeżywa niezapowiedzianą wizytę Blacków.
- Nie miałem okazji zamienić z tobą ani słowa. Jak ci minął dzień?
- Dobrze. - Poszukałam w pamięci jakiegoś neutralnego wydarzenia, o którym mogłabym mu opowiedzieć. - Moja drużyna w badmintonie wygrała wszystkie cztery mecze.
- No, no. Nic wiedziałem, że umiesz grać w badminton.
- Tak właściwie to nie umiem, ale mój partner świetni radzi.
- A z kim jesteś w parze? - zapytał z wyraźnym zainteresowaniem.
- Z... z Mikiem Newtonem - odpowiedziałam niechętnie.
- Ach tak, wspominałaś, że się kolegujecie - ożywił się. - Porządna rodzina. - Zastanawiał się nad czymś przez chwilę, po czym dodał: - A może byś tak jego zaprosiła na ten bal? - Tato! - jęknęłam. - Mike kręci z Jessicą, są już niemal parą. A po za tym, wiesz dobrze, że nie umiem tańczyć.

- A tak - strapił się, a potem uśmiechnął przepraszając. - Chyba to jednak dobrze, że cię nie będzie w sobotę. Umówiliśmy się ryby z chłopakami z komisariatu. Ma być ponoć naprawdę ładnie - Ale gdybyś wolała przełożyć ten wyjazd, tak żeby mógł pojechać z tobą ktoś ze szkoły, zostaną w domu. Wiem, że za dużo siedzisz tu sama.

- Nie martw się, wcale mnie nie zaniepokujesz - pocieszyłam go, mając nadzieję, że nie widzi, jak bardzo się ucieszyłam na wieść o tych rybach. - Lubię być sama, wrodziłam się w ciebie. - Posłałam mu perskie oko, a on odpowiedział tym uroczym uśmiechem, przy którym miał zmarszczyć wokół oczu.

Tej nocy spałam lepiej, zbyt zmęczona, by śnić, a rano niebo powitało mnie perlową szarością. Obudziłam się w wyśmienitym nastroju. Billy wygadał mi się już niegroźny i postanowiłam nie zaprztać sobie głowy jego osobą. W łazience, spinając włosy kłamię, pogwiadywałam wesoło, a później zbiegłam w podskokach na dół. Nic uszło to uwadze Charliego.

- Widzę, że humor ci dziś dopisuje - stwierdził przy śniadaniu.
- Jest piątek - Rozłożyłam ręce: piątek, co poradzić, spieszyłam się ze wszystkim, żeby móc wyjść tuż po nim, ale mimo, że wypadłam z domu zaraz po tym, jak zniknął za zakrętem, lśniący wóz Edwarda stał już na podjeździe, a nawet miał wyłączony silnik i spuszczone szyby.
- Tym razem nie zawahałam się przed wsiadaniem, byle tylko jak najrybciej zobaczyć jego twarz. Na mój widok uśmiechnął się szelmowsko, co po raz kolejny zaparło mi dech w piersiach. Nie wierzyłam, że anioły mogą być piękniejsze. W Edwardzie już nic nie dałoby się udoskonalić.
- Jak się spało? - spytał, zapewne nieświadomy tego, jaka rozkoszą dla uszu jest jego głos.
- Doskonale. A tobie jak minęła noc?
- Przyjemnie. - Wydał się rozhabawiony. Poczuliśmy się tak jakbyśmy przegapiła coś dowcipnego.
- Czy mogę spytać, co robiłeś?
- Nie. - Uśmiechnął się jeszcze szerzej. - Dziś nadal m kolej.

Tym razem wypytywałam mnie o ludzi: o Renee, jej zainteresowania i to, jak spędzałyśmy razem czas; o moją babcię, jedyną, którą znałam; o nielicznych znajomych z poprzedniej szkoły. Zawstydziłam mnie pytaniem o to, z kim umawiałam się na randki. Właściwie to cieszyłam się, że nigdy nie miałam chłopaka, bo dzięki temu nie było teraz, o czym opowiadać. Edward zdziwił się tylko, podobnie jak Jessica i Angela, że w moim dotychczasowym życiu brakowało romantycznych chudeń.

- Nigdy nie spotkałaś nikogo, z kim chciałaś się chodzić? - spytał poważnym tonem, który kazał mi się zastanowić, do czego też mój rozmówca zmierza.
- W Phoenix nie - sprostowałam z wymuszoną szczerością.
- Zamilk, zaciśnij usta.
- Korzystając z chwili przerwy, wgrzyłam się w bągla, byliśmy bowiem w stołówce. W oczekiwaniu na kolejne spotkanie lekcje mijały nadszczaj szybko - zaczęłam się już do tego nowego porządku dnia przyzwyczajać.
- Powinienem był ci pozwolić pojechać dziś do szkoły furgonetką - oznajmił Edward ni stąd, ni zowąd.
- Dlaczego?
- Po lunchu zabieram Alice i już nie wracam.
- Och. - Byłam zaskoczona i rozczarowana. - Nic nie szkodzi przejdę się, nie mam znowu tak daleko.

Zdenerwował się nieco, że mam o nim takie mniemanie. - Nie mam zamiaru zmuszać cię do spaceru. Podstawimy dla ciebie furgonetkę pod szkołę.

Nie mam przy sobie kluczyków - westchnęłam. - Naprawdę, przejdę się nie ma sprawy. - Załowałam tylko, że mieliśmy się już nie zobaczyć. - Edward pokręcił głową. Furgonetka będzie stała pod szkołą z kluczykami w stacyjce. Chyba że się boisz, że ktoś ją ukradnie. - Zaśmiał się na tę myśl. - No dobra. - Wrzuciłam ramionami. Byłam niemal stu procentowo pewna, że kluczyki są w kieszeni dzinsów, które miałam na sobie w środę, te zaś leżą w pralni pod stosem brudów. Nawet gdyby Edward włamał się do mojego domu, czy co tam planował, za nic nie byłby w stanie ich znaleźć.

- Wyczuł, że nie wierzę w powodzenie jego misji, i spojrział na mnie z wyższością.
- A do kąd się wybieracie? - spytałam jak najspokojniej.
- Na polowanie. - Spochmurniał. - Skoro mam być z tobą w sobotę długo sam na sam, muszę zachować wszelkie środki ostrożności. Możesz jeszcze wszystko odwołać - dodał niemal błagalnie.
- Spuściłam wzrok, bojąc się przekonującej siły jego oczu. Uporczywie odpuściłam od siebie myśl o tym, że mogłabym się go bać, bez względu na to, jak wielkie groziło mi niebezpieczeństwo. Powtarzałam sobie, że to nie ma znaczenia.
- Nie - szepnęłam, patrząc mu w twarz. - Nie mogę.
- Może masz i rację - mruknął ponuro. Miałam wrażenie, że jego oczy zaczęły przybierać ciemniejszą barwę. Postanowiłam zmienić temat. - O której się jutro spotkamy? - spytałam. Płakać mi się chciało na myśl, że dopiero

utro.

- To zależy. Nie wolałabym spaść trochę dłużej w weekend?
- Odpowiedziałam tak szczerze, że się nie uśmiechnął.
- W takim razie, o tej, co zawsze. Czy Charlie będzie w domu?
- Jedzie na ryby - poinformowała Edwarda uradowana.

Zareagowałam ostro.

- A co sobie pomyśli, gdybyś nie wróciła?
  - Nie mam pojęcia - odparłam, nie tracąc rezonu. - Wie, że planowałam duże pranie. Może stwierdzi, że wpadłam do pralki.
- Edward rzucił mi gniewne spojrzenie. Odpowiedziałam mu tym samym. W jego wykonaniu robiło to znacznie większe wrażenie.
- Na co będziesz polować? - odezwał się, gdy już zyskałam pewność, że przegrałam ten krótki pojedynek
  - Na to, co się napatoczy, Nie jedziemy daleko. - Wydawał się odrobinę zawstydzony swobodą, z jaką wypyty wałam go o jego sekretne życie.
  - Dlaczego akurat z Alice? - zainteresowałam się.
  - Jest bardzo... To ona z rodziny najbardziej mnie wspiera, - Zasepił się odrobinę.
  - A pozostał? - spytałam nieśmiało.
  - Przeważnie są pełni sceptycyzmu.

Zerknęłam przez ramię na stolik czwórki. Każde wpatrywało się w inny punkt sali, zupełnie jak za pierwszy raz, gdy ich zobaczyłam. Zmieniło się tylko jedno - ich miedziano włosy brat siedział teraz przede mną z zaskakującą miną.

- Nie lubią mnie.
- Nie o to chodzi - zaproponował, ale przesadnie. - Nie pojmują, dlaczego nie potrafisz zostawić się w spokoju.

Uśmiechnęłam się krzywo.

- No to witam w klubie.

Edward pokręcił głową, wywracając oczy.

- Już ci tłumaczyłem, że nie potrafisz ocenić siebie obiektywnie. Tak bardzo się wyróżniasz - nigdy nie spotkałem kogoś takiego jak ty. Fascynujesz mnie.

Przyglądałam mu się z powątpiewaniem, pewna, że się niagrywa.

Zauważył to i uśmiechnął się.

- To jeszcze łatwo wyjaśnić - ciągnął - ale reszta... reszta wy myka się opisowi. Sądzę...

Spojrzałam gdzieś w boki moje oczy znów zatrymały się na pozostałych Cullenach. Wypowiedź Edwarda zawstydzila mnie, pozostały mi nie dała satysfakcji. A więc stanowili tylko ciekawy obiekt badań? Chciało mi się śmiać z własnej naiwności. Byłam żalona, spodziewając się czegoś więcej.

- To jeszcze łatwo wyjaśnić - ciągnął - ale reszta... reszta wy myka się opisowi. Sądzę...

Czułam, że patrzy na mnie, ale bałam się, że jeśli się odwróci, zorientuje się, jak bardzo jestem rozgoryczona. Gdy mówił, nadal wpatrywałam się w jego rodzeństwo. Nagle spojrzała na mnie siostra Rosalie, ta oszałamiająca urodą blondynka. „Spojrzała” to za łagodne określenie, przeszła przede mną łodziem, przesyłała mi swoje poruszyć i wydał z siebie gniewny pomruk niemal syk Rosalie odwróciła głowę. Byłam wolna. Spojrzałam mu prosto w twarz, wiedząc, że muszę wyglądać na zdezorientowaną i wystraszoną. On sam wydawał się spięty. - Bardzo cię przepraszam za zachowanie siostry. Po prostu się martwi. Widzisz... nie tylko ja wpakuję się w niecie tarapaty, jeśli się najpierw będę się z tobą wszędzie pokazywał, a potem... - puścił wzrok

- Co potem?

- A potem coś ci się stanie. - Schował twarz w dłoniach, tak jak wtedy wieczorem w Port Angeles. Widać było, że cierpi, i z całego serca pragnęłam go pocieszyć, nie wiedziałam jednak jak się do tego zabrać. Odruchowo wyciągnęłam w jego stronę rękę, ale zrezygnowałam w pół drogi, obawiając się, że czuły gest tylko pogorszy sprawę. Stopniowo dotarło do mnie, że powinnam się była przestraszyć, tymczasem zamiast paralizującego lęku czułam współczucie. Współczucie i jeszcze może frustrację. Byłam zła, że Rosalie przerwała Edwardowi w tak ciekawym momencie. Nic nie wskazywało na to, żeby miał zamiar dokończyć swoją myśl, a nie mogłam raczej o to poprosić wprost. Nadal nic zmieniało pozycji.

- Musisz jechać tak wcześnie? - spytałam jak najbardziej roztóżnionym tonem.

- Tak. - Podniósł wzrok Przez chwilę był poważny, ale zaraz się uśmiechnął. - Tak chyba będzie najlepiej. Na biologii zostało jeszcze piętnaście minut tego nieszczęsnego filmu. Nie sądzę bym zdołał na nim wysiedzieć w spokoju.

Zniemacka u boku Edwarda pojawiła się Alice. Az podskoczyłam, tak było to niespodziewane. Elfią twarz dziewczyny otaczała aureola krótkich, kruczoczarnych włosów. Była drobna i nawet, gdy stała zupełnie nieruchomo, wyglądała jak zadowolona baletnica.

- Witaj, Alice - powiedział Edward, nie spuszczać ze mnie wzroku.

- Witaj, Edwardzie - odpowiedziała melodyjnym sopranem. Jej głos był niemal równie uroczy, co jego.

- Alice, poznaj Belle. Bello, to Alice - przedstawił nas, wspomagając się ruchami rąk z ni to smutną, ni to lekko rozbawioną miną.

- Cześć. Miło cię wreszcie poznać - przywitała się grzecznie. Jej oczy koloru obsydianu były nieprzeniknione, ale uśmiech przyjazny. Mimo to Edward spojrzał na nią karcący.

- Hej - wymamrotałam nieśmiało.

- Gotowy? - zwróciła się do brata.

- Prawie - odparł takim tonem, jakby chciał dać jej do zrozumienia, że nie powinna go popędzać. - Spotkamy się przy sam chodzie.

Odwróciła się na pięcie i odeszła bez słowa. Na widok jej zwinnych ruchów ogarnęła mnie zawiść.

- Czy popelnisz straszne *fawc pas*, życząc ci milej zabawy? - spytałam, przenosząc wzrok na Edwarda.

- Nie, może być - zgodził się ze śmiechem.

Na to milej zabawy. - Staralam się, żeby zabrzmiało to serdecznie, ale Edward oczywiście przejrzał mnie na wyłot.

- Zrobic co w mojej mocy - Nadal się uśmiechał. - A ty uważaj na siebie.

- Piątek w Forks bez obrażeń? Cóż za wyzwanie.

- Dla ciebie tak - Spozwanił. - Obiecuję. - Przyrzekam mieć się na baczności - wyrecytowałam posłusznie - Mam w planach duże pranie. To niemal sport ekstremalny. - Tylko nie wpadnij do bębna.

- Postaram się.

- Wstałiśmy oboje.

- Do jutra - westchnęłam.

- Wydaje ci się, że to wieczność?

Ponuro pokiwalam głową.

- Będę czekał na ciebie rano - obiecał z tak ukochanym przeze mnie szelmowskim uśmiechem. Na pożegnanie pogląskał mnie po twarzy. Odprowadziłam go wzrokiem.

Miałam wielką pokusę, aby iść na wagary, a przy najmniej uciec z lekcji WF - u, ale powstrzymała mnie pewna myśl. Mike i inni jakim doszliby do wniosku, że jestem z Edwardem, jego zaś martwiłyby podobne skojarzenia. A jeśli coś by mi się stało...? Powstrzymałam się od drażenia tego tematu, a w zamian postanowiłam skoncentrować się na unikaniu sytuacji, które mogłyby zaszkodzić nie mnie, a Edwardowi właśnie.

Intuicja podpowiadała, że nasze jutrzejsze spotkanie będzie przełomowe i że Edward także zdaje sobie z tego sprawę. Dłuższe lawirowanie wśród nieodmówień nie miało racji bytu. Mogliśmy albo zostać parą, albo przestać się spotykać raz na zawsze, a decyzja należała wyłącznie do niego. Z mojej strony kłamka zapadła już dawno, jeszcze zanim podjęłam świadomy wybór. By wcielić swój plan w życie, byłam gotowa na wszystko, wiedziałam, bowiem, że nie nigdy nie sprawi mi takiego bólu i nie przepelnia taką rozpacz jak rozstanie z Edwardem. Nie mogłam samej sobie wyobrazić czegoś takiego.

Weszałam do sali od biologii z poczuciem, że spełniam swój obowiązek, ale przez całą godzinę lekcyjną nie miałam pojęcia, co się wokół mnie dzieje. Potrafiłam myśleć wyłącznie o tym że co może się jutro wydarzyć. Na WF - ie Mike zyczył mi, żebym dobrze bawiła się w Seattle, okazując tym samym, że nie jest już obrażony. Wyjaśniłam, że zrezygnowałam z wycieczki z obawy, że moja furgonetka jej nie wytrzyma.

- A więc - Mike spochmurniał - pewnie wybierasz się z Cullenem na bal?

- Nie wybieram się na bal ani z nim, ani z nikim innym.

- To co będziesz robić? - zapytał zainteresowany.

Miałam ochotę coś panąć, ale skłamałam tylko zgrabnie:

- Pranie, a potem pouczę się na test z trygonometrii, bo inaczej go zawałam.

- Cullen będzie ci pomagał w matmie?

- Edward - poprawiłam. - Nie, nie będzie mi pomagał. Wyjechał dokądś na cały weekend. - Zauważyłam że zdziwienie, że kłamanie przychodzi mi łatwiej niż zwykle.

- Och - ozywił się Mike. - To może pójdziesz z nim na bal? Będzie fajnie. Obiecuję, że wszyscy z tobą zatańczymy.

Wyobraziłam sobie minę Jessiki, przez co odpowiedziałam zbyt ostrym tonem:

- Nie idę na żaden bal, rozumiano?

- Dobra, dobra. - Znów posmutniał. - Tylko proponowałam.

Po lekcjach poszłam bez entuzjizmu na parking. Tak naprawdę nie uśmiechał mi się spacer do domu, a nie wierzyłam, że Edwardowi udało się sztuczka z kluczykami. Dopiero zaczęłam przyzwyczajając się do myśli, że nic nie jest dla niego niemożliwe. Okazało się jednak, że powinnam pokładać większą wiarę w jego siłę, bo furgonetkę zastałam w tym samym miejscu, gdzie rano zostawiłiśmy volvo. Otworzyłam drzwiczki kręcąc z niedowierzaniem głową. Kluczyki czekały wetknięte w stacyjkę.

Na siedzeniu kierowcy leżała złożona kartka papieru, Usiadłam do kierownicą i odczytałam wiadomość. Były to trzy starannie wykaligrafowane słowa: *Uważaj na siebie*

Tak jak myślałam, warkot zapalnego silnika nieźle mnie wystraszył. Prychnęłam śmiechem i wyjechałam na szosę. Drzwi frontowe do domu zastałam zatrzaśnięte, ale nie zamknięte na klucz - tak jak je zostawiłam rano. Pierwsze kroki skierowałałam do pralni i tam nic od rana się nie zmieniło. Wygrzebałam ze stosu ubrań noszone w środę dzinsy, żeby sprawdzić kieszenie. Były puste.

Może jednak odwiesiałam kluczyki na miejsce, pomyślałam.

Kierując się tym samym instynktem, który nakazał mi skłamać przy Mike'u, zadzwoniłam teraz do Jessiki pod pretekstem, że chce życzyć jej udanego balu, a kiedy wyraziła nadzieję, że i ja będę się dobrze bawić z Edwardem, poinformowałam ją o zmianie planów. Była bardziej rozczarowana, niż przy stało na osobę postronną. Zamieniła z nią jeszcze tylko kilka słów, po czym szybko zakończyłam rozmowę.

Podczas obiadu Charlie był mocno zamyślony. Być może miał jakieś problemy w pracy, niepokoiła go sytuacja w tabeli po ostatnich rozgrywkach albo po prostu rozmarzył się nad wyjątkowo smaczną zapienką - był takim miłośnikiem, że trudno było odgadnąć.

- Wiesz co, tato - zaczęłam, przerywając jego rozmyślenia.

- Co, Bell?

- Myślę, że masz rację z tym Seattle. Poczekam i zabiorę się z Jessiką czy jeszcze kims innym.

- Och. - Zaskoczyłam go. - No, dobra. To co, mam zostać w domu?

- Nie, nie. Nie chcę, żebyś zmieniłał plany. Mam masę rzeczy do załatwienia: lekcje, pranie... Muszę zrobić małe zakupy i iść do biblioteki. Będę wychodzić z domu... Naprawdę, jedź z kolegami i baw się dobrze.

- Jesteś pewna?

- Jedź, jedź. Poza tym w zamrażarce zaczyna już brakować ryb. Zapasy starczą na góra dwa, trzy lata.

- Nie ma co, łatwo się z tobą mieszka pod jednym dachem - Uśmiechnęłam się.

- I *vice versa*. - Udałam tylko, że się śmieję, ale nie.

Nie zwrócił na to uwagi. Poczulałam tak silne wyrzuty sumienia, że niemal posłuchałam rady Edwarda i powiedziałam mu, z kim spędzę cały dzień. Ale nie puściłam pary z ust.

Po obiedzie zajęłam się składaniem ubrań i suszeniem kolejnych ich porcji w suszarkę.

Niestety, praca ta zajmowała wyłącznie ręce. Moje myśli mogły hasać wolno, a emocje sięgały zenitu i zaczęłam tracić nad nimi kontrolę. Z jednej strony niecierpliwie wyczekiwałam jutra z drugiej mimo wszystko

zaczynałam się bała. Musiałam sobie przypominać, że podjęłam decyzję, i nie zamierzalam się wycofać. Częściej niż to było potrzebne sięgалам po lićki Edwarda, aby do rozkładu rozpoczął jego słowa. Nie chce, żeby była mi się krzywda, powtarzałam sobie bez końca. Musiałam wyrobić w sobie głębokie przekonanie, że właśnie to pragnienie przeważa. Bo i cóż mi innego pozostawało? Miałabym go ignorować? Byłoby to nie do zniesienia. Odłąd przeprowadziłam się do Forks, wokół Edwarda kręciło się całe moje życie.

A jednocześnie cichy głosik w zakamarkach mej duszy zadawał pytanie, czy będzie bardzo bolało, jeśli... coś pójdzie nie tak?

Ucieszyłam się, gdy zrobiło się na tyle późno, że wypadalo mi już isć spać. Wiedziałam, że z nerwów i tak nie zasnę, posunęłam się, więc do czegoś, czego jeszcze nigdy wcześniej nie robiłam. Zazylałam silny środek nasenny, taki, który miał mnie zmorzyć aż na pełne osiem godzin. W innej sytuacji nie pozwoliłabym sobie na podobne zachowanie, ale uznałam, że będzie lepiej, jeśli w tak ważnym dniu nie wstanę półprzymtomna. Czekaając, aż tabletki zaczną działać, wysuszyłam bardzo starannie włosy, obmyslając, w co by się tu ubrać.

Przygotowawszy wszystko na rano, położyłam się do łóżka ale byłam tak podekscytowana, że nie mogłam przestać się wiercić. W końcu wstałam, pogrzeblałam chwilę w pudełku po butach, które służyło mi za pojemnik na CD, i wybrałam płytę z noturnami Chopina. Nastawiwszy ją bardzo cicho, wróciłam do łóżka, gdzie próbowałam koncentrować uwagę na różnych częściach swojego ciała z osobna, i mniej więcej w połowie tego ćwiczenia odpłynęłam.

Dzięki zażytemu nieco lekkomyślnie środkowi nasennemu spałam jak zabita, bez snów czy zbędnych pobudek. Ocknęłam się o świcie. Przez chwilę czułam się mile wypoczęta, ale wkrótce wróciło znane mi z poprzedniego wieczora rozdygotanie.

Ubrałam się w pośpiechu, nerwowo wygladając kołnierzyki kilkakrotnie obciążając na sobie jasnobrązowy sweterek, tak żeby wreszcie leżał na dzinsach jak należy. Wyjrzałam przez okno.

Chiałego już nie było, a niebo przesłaniała przejrzysta warstwa chmur, które wyglądały tak jakby łała chwila miały się rozpieczchnąć.

Śniadanie zjadłam objętna na smaki i zapachy, a zaraz potem zabrałam się do zmywania. Ponownie wyjrzałam przez okno. Nic się nie zmieniło. Dopiero, gdy umyłam zęby i schodziłam po schodach, usłyszałam od strony ganłu ciche pukanie.

Serce zaczęło mi walić jakosława. Rzuciliłam się do drzwi.

Miałam pewien kłopot z zamknięciem, ale w końcu udało mi się je otworzyć i zobaczyłam Edwarda. Zdenerwowanie znikło bez śladu. Odetchnęłam z ulgą - teraz, gdy stał przede mną, wszystkie wczorajsze obawy wydawały się bezzasadne.

Z początku minę miał pełną powagi, ale obejrzwszy mnie od stóp do głów, wyraźnie się rozpozodził.

- Dzień dobry - przywitał się chichocząc.

- Co jest - Zerknęłam w dół, żeby sprawdzić, czy czasem nie zapomniałam włożyć czegoś istotnego, takiego jakbuty czy spodnie.

- Jesteśmy identycznie ubrani - wyjaśnił z uśmiechem. Rzeczywiście dopiero teraz zauważyłam, że miał na sobie błękitne Dzinsy i jasnobrązowy sweter, spod którego wystawał biały kołnierzyk koszuli. Też się zaśmiałam, choć jednocześnie zrobiło mi się trochę przykro - czemu on wyglądał jak model, AT ja w tym samym stroju nie?

Zamknęłam drzwi na klucz, a Edward podszedł do furgonetki. Czekał tam na mnie z miną męczennika. Nietrudno go było zrozumieć.

- Umówiliśmy się - przypomniałam, wsłakując do szoferki i otwierając mu od środka drzwiczki od strony pasażera. - Dokąd jedziemy?

- Najpierw zapnij pasy. Już się denerwuję. Posłuchałam go, ale i zmroziłam wzrokiem.

- Sto jedynką na północ - poinformował.

Nie spodziewałam się, że aż tak trudno będzie mi prowadzić, czując na sobie jego spojrzenie. Nie potrafiąc dostatecznie skoncentrować się na drodze, musiałam jechać ostrożniej niż zwykle, mimo że trasa o tej porze wciąż świeciła pustkami.

- Czy planując wyprawę do Seattle, liczyłaś na to, że uda ci się wyjechać z Forks przed zapadnięciem zmroku?

- Trochę więcej szacunku - odparowałam. - Moja furgonetka mogłaby być babcia twojego volvo.

Wbrew obawom Edwarda wkrótce przekroczyliśmy granice miasteczka, a przydomowe trawniki ustąpiły miejsca gęstej roślinności.

- Skręć w prawo w sto dziesiątkę - usłyszałam, gdy właśnie miałam się o to zapytać - i jedź tak długo, aż skończy się asfalt.

Wyczuwałam, że się uśmiecha, ale nie odważyłam się na niego zerknąć, by to sprawdzić, że strachu, że zahaczę kołami o poboczne udowadniając tym samym, jaki ze mnie beznadziejny kierowca.

- A dalej?

- A dalej zaczyna się szlak

- Będziemy chodzić po lesie? - Dzięki Bogu, miałam na nogach tenisówki.

- A co? - spytał takim tonem, jakby spodziewał się, że zaprotestuję.

- Nic nic. - Miałam nadzieję, że nie widać po mnie zdenerwowania. Myślał, że moja furgonetka jest powolna? Niech tylko zobaczy mnie na szlaku!

Nie martw się, to tylko jakieś osiem kilometrów i nigdzie nie będziemy się spieszyć. Osiem kilometrów? Milczałam, żeby nie wyczuł w moim głosie narastającej paniki.

- Osiem kilometrów zdraдлиwych korzeni i swobodnie leżących kamieni, które tylko czyhały na moje stopy i inne części ciała a - Zapowiadał się dzień pełen upokorzeń. Przez chwilę jechaliśmy w zupełnej ciszy. Rozmyślałam o tym, co mnie czeka. - O czym myślisz? - spytał zniecierpliwiony Edward. - Zastanawiam się, dokąd wiedzie ten szlak - skłamałam.

- Do pewnego miejsca, które lubię odwiedzać, gdy dopisuje pogoda. - Oby dwoje spojrzeliśmy na niebo. Chmury stopniowo się przeczesały.

- Charlie mówił, że będzie ciepło - przypomniało mi się.

- Powiedziała mu, jakie masz na dzisiaj plany?

- Nic.

- Ale jest jeszcze Jessica, prawda? - Edward próbował się pocieszyć. - Myśli, że pojechalimy razem do Seattle.

- Powiedziałał jej przez telefon, że się wycofał. Poniekąd nie skłamałam.

- Więc nik tnie wie, że jesteś teraz ze mną? - Był coraz bardziej rozszoszczony.

- Czy ja wiem... Zakładam, że powiedziałaś Alice?

- Naprawdę, bardzo mnie wspierasz, Bello.

Puściłam tę sarkasty czną uwagę mimo uszu.

- Czy Forks działa na ciebie aż tak depresyjnie, że postanowiłaś targnąć się na własne życie?

- Sam mówiłeś, że możesz mieć kłopoty, jeśli będziemy często pokazywać się razem.

- Ach, więc boisz się, że to mnie będzie coś groziło po tym, jak znikniesz w tajemniczych okolicznościach? Ha!

Pokiwałam głową, patrząc przed siebie.

Zaczęłam mamrotać coś niewyraźnie pod nosem, ale tak szybko że nic z tego nie rozumiałam.

Resztę drogi pokonałimy w milczeniu. Edward był na mnie wściekły, a ja nie miałam powojcia, co powiedzieć.

Tam, gdzie kończył się asfalt, zaczynała się wąska ścieżka oznaczona drewnianym palikiem. Zaparkowałam na poboczu i wysiadłam, nie wiedząc, co ze sobą począć. Gdy kierowałam autem, przy najmniej nie musiałam na niego patrzeć.

Na zewnątrz było teraz ciepło, cieplej niż kiedykolwiek, odłąd przyjechałam do Forks, niemal parno. Zdjęłam sweter i przewięzałam go sobie w tali, zadowolona, że zdecydowałam się złożyć pod spód lekką koszulkę bez rękawów, zwłaszcza, że czekał mnie osmiokilometrowy marsz.

Trzasnęły drzwiczki i odruchowo odwróciłam głowę. Edward też zdjął sweter. Wpatrywał się w ciemną ścianę lasu.

- Tędy - oświadczył, zerkając w moją stronę. Nadal był na mnie zły. Nie oglądając się na mnie, zanurkował pomiędzy drzewa.

- A co ze szlakiem? - jęknęłam, ruszając w ślad za nim.

- Powiedziałem tylko, że zaparkujemy tam, gdzie zaczyna się ścieżka, a nie, że to właśnie nią pójdzimy.

- Tak bez żadnych oznaczeń? - nie ukrywałam przerażenia.

- Przy mnie się nie zgubisz - rzucił kpiarskim tonem, po czym zatrzymał się i odwrócił, żeby zacząć, aż do niego dołączę. Miał rozpiętą koszulkę. Musiałam zdusić westchnienie zachwytu - Muskularny tors, który do tej pory miałam okazję podziwiać tylko pod obcisłymi pulowerami, teraz prezentował się w całej okazałości. Zarówno kolorytem skóry, jak i budową ciała, Edward przypominał marmurowe greckie posągi. Jest zbyt idealny, pomyślałam z rozpaczą.

Nie powinienam była się łudzić, że ktoś taki jest mi przeznaczony.

Edward opacznie odczytał moją zbolalą minę i posmutniał, choć z innego powodu niż ja.

- Chcesz wrócić do domu? - odezwał się cicho.

- Nie, nie. - Szybko podeszłam bliżej, by nie stracić ani jednej sekundy z tych, jakie dane mi było spędzić w obecności.

- Coś nie tak? - spytał z troską.

- Nie jestem zbyt dobrym piechurem - wyznałam. - Będziesz musiał uzbroić się w cierpliwość.

- Potrafię być cierpliwy. Jeśli się bardzo postaram. - Uśmiechnęłam się, usiłując mnie jakoś pocieszyć. Spróbowałam odwzajemnić śmiech, ale nie wyszło to zbyt przekonująco. Edward przyjrzał mi się uważnie. - Odwiozę cię do domu.

Trudno było powiedzieć, czy obiecuję mi właśnie, że nie zrobi mi krzywdy, czy też, iż rezygnuje jednak ze spaceru. Tak czy siak, sądził najwyraźniej, że się go boję. Byłam wdzięczna losowi, że mój towarzysz nie potrafi czytać w myślach właśnie mnie.

- Radziłabym ci się pospieszyć - oświadczyłał oschle - jeśli chcesz, żebyśmy pokonała te osiem kilometrów przed zachodem słońca.

Zmarszczył czoło, nie wiedząc, jak interpretować moją minę i zachowanie. Po chwili namyślu dał jednak za wygraną i ruszył przodem.

Szło mi całkiem nieźle. Teren był płaski, a Edward przytrzymał dla mojej wygody frędzle mchów i wilgotne paprocie. Gdy drogę zagrażały nam powalone pnie drzew lub stopy głazów, pomagał mi, podtrzymując mnie pod łokciem, choć zwałniale uscisł tak szybko, jak to było możliwe. Czując chłodny dotyk jego skóry, za każdym razem dostawałam palpitacji, Edward zaś dwukrotnie przy takiej okazji brzcził mnie spojrzeniem. Wówczas rozumiałam, że doskonale słyszy bicie mego serca. Usiłowałam nie zerkać na jego nagie ciało, ale nie mogłam powhalić się siłą wola. Uroda mego przyjaciela napawała mnie przez sutiem. Głównie milczeliśmy, ale od czasu do czasu Edward zadawał jakieś pytanie, o którym zapominał widocznie podczas ostatnich przesłuchań. Opowiedziałam mu zatem, jak zwykle spędzała urodziny i jakich miałam nauczycieli w podstawówce, a także wyznałam, że po doprowadzeniu do śmierci trzeciej rybli akwariowej z rządu, zrezygnowalam z posiadania jakiegokolwiek zwierzątk. Śmiał się z tej historii, jakiegośkiewtło głośniej niż zazwyczaj, aż po lesie rozeszło się dźwięczne jak dzwon echo.

Choć siliśmy tak ładnych parę godzin, Edward ani razu nie okazał zniecierpliwienia. Nigdy też nie zawałał się, jaki kierunek obrać. Wydawał się pewny siebie i rozluźniony, zadowolony w zielonym labiryncie sędziwych drzew. Mnie potęga lasu przerażała i zacząłam się martwić, że nie znajdziemy drogi powrotnej.

W pewnym momencie dało się zauważyć, że niewidoczne dla nas chmury rozstąpiły się nareszcie, bo sączące się spondał koron iglastych olbrzymów światło odciął otaczającej nas zieloności z oliwkowego na szmaragdowy. Po raz pierwszy, odłąd zesliśmy z drogi, poczulałam radosne podniecenie, które szybko ustąpiło miejsca zniecierpliwieniu.

- Daleko jeszcze? - spytałam, udając zagniewaną marudę.

- Zaraz będziemy na miejscu - odparł, zadowolony, że poprawił mi się humor. - Widzisz to przejaśnienie wśród drzew?

Wyteżyłam wzrok.

- A powinien?

Na twarzy Edwarda pojawił się lekko złośliwy uśmiezek.

- Rzeczywiście, może to nieco za wcześnie jak na twoje oczy.

- Czas na wizytę u okulisty - mruknęłam. Edward uśmiechnął się jeszcze bardziej złośliwie.

Po pokonaniu jakichś stu metrów byłam już jednak w stanie dostrzeć przebijające się przez gąszcz jaskrawe światło i Przyspieszyłam kroku. Moje podekscytowanie rosło z sekundy na sekundę. Edward puścił mnie przodem, a sam bezszelestnie podążył za mną.

Wreszcie minęłam ostatnie drzewa i przetrzałszy się przez znaczący skraj lasu pas paproci, znalazłam się w najurodziwszym miejscu, jakie w życiu widziałam. Była to niewielka idealnie okrągła polana usiana żółtymi, białymi i fiołetowymi kwiatami. Moich uszu dochodził słodki szmer płynącego nieopodal strumienia. Słońce wisiało na niebie tuż nad naszymi głowami zalewając łąkę strumieniami ciepłego, złotawego światła. Oszołomiona ruszyłam powoli przed siebie po miękkiej trawie. Po kilku krokach odwróciłam się, by podzielić się z Edwardem swoim zachwytem, ale nikogo za mną nie było. Serce podeszło mi do gardła. Rozejrzałam się na boki. Okazało się, że przystanął w cieniu drzew na skraju polany, skąd przyglądał mi się badawczo. Piękno tego miejsca zupełnie mnie rozprasało. Dopiero teraz przypomniałam sobie, że Edward obiecał mi dziś zademonstrować, co dzieje się z nim pod wpływem słonecznego światła.

Zrobiłam krok w jego stronę, bardzo tego zjawiska ciekawa. Widać było po Edwardzie, że stara się być ostrożny, że się waha. Uśmiechnęłam się zachęcająco i skinęłam na niego ręką. Chciałam podejść bliżej, ale powstrzymał mnie ostrzegawczym gestem. Odczekał chwilę, wziął chyba głęboki oddech i wyszedł na zalaną południowym słońcem polanę.

Byłam w szoku. Chociaż nic odrywałam od Edwarda wzroku przez całe popołudnie, za nic nie mogłam się przyzwycząć. Rano skóra była jak zwykle mleczeniowa, odrobinę tylko zaróżowiona po trudach wczorajszego polowania. Teraz, w słońcu, nie, nie łniła, po prostu się iskrzyła, jakby jej powierzchnię przyozdobiono milionami mikroskopijnych brylancików. Edward leżał w trawie zupełnie nieruchomo, a jego nagi tors i odsłonięte przedramiona wyglądały jak obsypane gwiazdnym pyłem. Oczywiście miał zamknięte, choć, rzecz jasna, nie spał. Bładofoletowe powieki również wyglądały na pokryte brokatem. Przypominał wspaniały posąg o idealnych proporcjach, wyrzeźbiony z nieznanego kamienia - gładkiego niczym marmur, polyskającego jak kryształ.

Od czasu do czasu zaczynał szybko poruszać wargami nie wydając przy tym żadnego dźwięku. Za pierwszym razem pomyślałam, że to jakieś drgawki, ale gdy spytałam go o to, wyjaśnił, że śpiewa - zbyt cicho, bym mogła go usłyszeć.

Ja także rozkoszowałam się piękną pogodą. Miałam tylko jedno zastrzeżenie - powietrze było zbyt wilgotne jak na mój gust. Z chęcią poszłabym w ślady Edwarda i rozłożyła się na trawie z twarzą zwróconą ku słońcu, ale, jako że nie mogłabym wówczas mi się przyglądać, siedziałam uparcie w kuci z brodą opartą o kolana. Łagodny wietrzyk poruszał źdźbłami i traw i główkami kwiatów. Co jakiś czas musiałam odgarniać z twarzy przewiany podmuchem kosmyk

Z początku miejsce to wydawało mi się magiczne - teraz uroda Edwarda przyćmiewała pocztówkową malowniczość łąki. Mimo, że zaszliśmy w naszej znajomości tak daleko, wciąż bałam się, że to tylko piękny sen, a obiekt moich uczuć lada chwila rozplynie się w powietrzu.

Nieśmiało wyciągnęłam przed siebie rękę i jednym palcem pogłaskałam wierzch iskrzącej się dłoni. Znów zachwycała mnie niezwykła faktura, satynowa gładkość połączona z chłodem kamiennej posadzki. Kiedy podniosłam wzrok okazało się, Edward na mnie patrzy. Jego miodowe ostatnio oczy pojaśniały po polowaniu. Uśmiechnął się, co skierowało moją uwagę na idealny wykrój jego ust.

- Boisz się mnie? - spytał, niby to się ze mnie naigrywając.  
Wychwyciłam w jegoksamitnym głosie nutę zaniepokojenia. Wiedziałam więc, że naprawdę interesuje go to, co odpowiem.  
- Nie bardziej niż zwykle.

Uśmiechnął się szerzej. Białe zęby błysnęły w słońcu.  
Przysunąwszy się odrobinę bliżej, zaczęłam wodzić opuszkami palców po konturach mięśni jego przedramienia. Trzęsła mi się ręka - byłam pewna, że to zauważył.

- Mam przestać? - upewniłam się, bo zamknąłem powieki.  
- Nie - odparł, nie otwierając oczu. - Nawet nie potrafisz sobie wyobrazić, co czuję, gdy tak robisz - westchnął. Podążając szlakiem wyznaczonym przez ledwie widoczne, niebieskawe żyły, dotarłam do zagłębienia łokcia, drugą ręką zaś próbowałam delikatnie odwrócić jego dłoń. Zorientowawszy się, że Edward obrócił ją błyskawicznie, jak zawsze, gdy robił coś tak niesamowicie szybko, zbijając mnie z tropu. Zaskoczona przestałam przesuwac palcami po jego ciele. - Wybac - mruknął. Znów miał zamknięte oczy. - W twoim towarzystwie zbyt łatwo jest mi być sobą. Uniósłam odwróconą dłoń i zaczęłam sprawdzać jak się mieni zależnie od nachylenia, po czym zbliżyłam ją do swojej twarzy, by wypatrywać na skórze ukrytych diamentów.

- Zdradz mi, o czym myślisz? - szepnął, spoglądając na mnie z zaciekawieniem. - Wciąż nie potrafię przywyknąć do tego, że nie wiem.  
- My, szczerki, mamy tak cały czas.  
- Musi wam być ciężko. - Czy tylko mi się wydawało, czy trochę nam tego zażดności? - Nie odpowiedziała na moje pytanie.  
- Żalowałam właśnie, że nie wiem, o czym ty myślisz. I jeszcze... - Zamilkłam.  
- Co takiego?

- Myślałam jeszcze o tym, że chciałabym uwierzyć, że jesteś prawdziwy. I marzyłam, że nie czuję strachu. - Nie chcę, żebyś się bała - szepnął miękko. Usłyszałam to, co tak naprawdę pragnęłam usłyszeć, a czego nie mógł powiedzieć na sercu: że mój lek jest irracjonalny, że nie mam się czego bać.

- Nie dokładnie o to mi chodziło, ale twoje słowa z pewnością dają mi wiele do myślenia. Edward po raz kolejny poruszył się z niezwykłą prędkością - przegapiłam moment, w którym zmienił pozycję. Nagle położył koło mnie wsparty na prawej ręce, a jego twarz anioła znajdowała się tylko parę centymetrów od mojej. Nadal trzymał go za lewą dłoń. Mogłam, powinnam była natychmiast się odsunąć, ale porażona spojrzeniem miodowych oczu nie byłam w stanie się poruszyć.

- To czego się boisz?  
Nie potrafiłam wykrzusić z siebie ani słowa, nawet nie próbowałam. Tak jak wtedy w aucie, owionął mnie chłodny, słodki oddech Edwarda. Jego woń była tak apetyczna, że ślina napłynęła mi do ust. Nie przypominała żadnego znanego mi zapachu. Skuszona nią, bezwiednie przysunęłam się bliżej.

Wyrywał gwałtownie dłoń z mojego uścisku i nim zdążyłam choćby mruknąć, stał już w cieniu wielkiego świerka na skraju polany. Spoglądał stamtąd na mnie z nieokreślonym wyrazem twarzy.  
Na mojej twarzy musiał malować się szok i ból. Puste ręce piekły.

- Wybac mi... proszę... - szepnęłam, wiedząc, że mnie słyszy.  
- Jedną chwilkę - zawołał, pamiętając, że mój słuch nie jest tak wyostrzony. Siedziałam nieruchomo jak trusia.

Po jakichś dziesięciu sekundach, które ciągnęły się dla mnie w nieskończoność, ruszył wolnym jak na siebie krokiem. Stanąwszy kilka metrów ode mnie, usiadł jednym zgrabnym ruchem, jakby miał zapadć się pod ziemię. Przez cały ten czas nie spuszczał mnie z oczu. Dwukrotnie odetchnął głęboko, a potem uśmiechnął się przeprasząco.

- Wybac - Zawahał się na moment - Czy zrozumiałabyś, co mam na myśli, gdybym powiedział, że jestem tylko człowiekiem?  
Skinęłam głową, nie do końca w stanie śmiać się z jego żartu. Docierało do mnie powoli, że oto przed sekundą o włos uniknęłam śmiertelnego niebezpieczeństwa. Moje naczynia krwionośne pulsowały adrenaliną. Wyczuł to i dodał sarkastycznie.

- Czyż nie jestem najdoskonalszym drapieżnikiem na świecie? Wszystko we mnie cię przyciąga, pociąga, kusi - mój głos, moja twarz, nawet mój zapach! I po co to wszystko? - Niespodziewanie znów zerwał się na równe nogi i zniknął w lesie, by okrążyć wsi w pół sekundy polanę, znaleźć się pod tym samym świerkiem co poprzednio. - I tak mi nie uciekniesz - zaśmiał się gorzko. Objął od spodu na ponad pół metra konar i samym naciskiem przedramienia złamał go bez wysiłku z ogłuszającym traskiem. Przez chwilę balansował belką na dłoni, po czym cisnął nią przed siebie z oszałamiającą prędkością. Kawał drewna trafił w inne sędzawe drzewo, które zatrzęsło się od uderzenia. Edward był już tymczasem obok mnie, stał nieruchomo niczym m rzeźba.

- I tak mnie nie pokonasz - dokończył łagodniejszym tonem. Siedziałam jak sparalizowana. Z poszarzałą twarzą i szeroko rozwartymi oczami musiałam przypominać zwierzątko zahipnotyzowane spojrzeniem węży. Bałam się go teraz bardziej niż kiedykolwiek. Po raz pierwszy bez najmniejszego skrępowania pokazał mi swoje prawdziwe oblicze. Nigdy nie wydawał mi się równie niebezpieczny... albo równie piękny. W trakcie tego pokazu siły cudowne złote oczy rozbiły się dokoła, wtem zaczęły stopniowo przyciemniać. Na twarzy Edwarda malował się teraz głęboki smutek - Nie bój się - szepnął tym swoim uwodzicielskim głosem. Obiecuję... Przymyślam, że cię nie skrzywdzę.

Wydawało się, że najbardziej pragnie przemożać o tym samego siebie.  
- Nie bój się - powtórzył, robiąc krok do przodu. Usiadł świadomie spowalniając swoje ruchy. Był tak blisko, że mogłabym pogłaskać go po policzku. - Wybac mi, proszę. Naprawdę potrafię siebie kontrolować. Po prostu nie spodziewałem się takiego zachowania z twojej strony. Teraz będę już przygotowany. - Czekaj, aż coś powiem, ale nadal nie byłam w stanie.

- Zaręczam ci, nie czuję dziś pragnienia. - Mruknął z łobuzerską miną. Na to nie mogłam nie zareagować. Parsknęłam śmiechem, ale głos jeszcze mi się trząsł.  
- Nic ci nie jest? - spytał z troską, ostrożnie wsuwając z powrotem swoją marmurową dłoń w moją.

Spojrziałam na nią, a potem w jego oczy. Spoglądał na mnie przyjaźnie, wyraźnie skruszony. Przeniosłam wzrok na jego dłoń, a potem wróciłam do badania jej faktury opuszkami palca. Zerknęłam na Edwarda i uśmiechnęłam się nieśmiało.

Odpowiedział mi tak uszczęśliwioną miną, że niemal poczułam zawroty głowy.  
- O czym to rozmawialiśmy, zanim ci tak brutalnie przerwałem? - spytał, nie ukrywając nieco starsowiekiej wy mowy.  
- Szczerze, nie pamiętam.

Zawstydził się trochę, że aż tak wytrącił mnie z równowagi. - Wydaje mi się, że o tym, czego się lękasz, oprócz tego, co oczywiste.  
- A, tak  
- No?

Wbiłam wzrok w jego dłoń, nadal jej dotycyjąc. Mijały kolejne sekundy.  
- Jakże łatwo się niecierpliwić - westchnął Edward. Zerknąwszy w jego oczy, zrozumiałam, że mimo lat nieznanych mi do świadczeń, sytuacja, w której się obecnie znalazł, jest dla niego równie nowa i trudna, co dla mnie. To odkrycie mnie ośmieliło.

- Bałam się, ponieważ cóż, z oczywistych względów, nie powinniśmy przebywać z tobą sam na sam. A obawiam się, że tego właśnie bym chciała i jest to stanowczo zbyt silne uczucie. - Mówiąc, przyglądałam się własnym dłońom.  
Ciężko mi było się do tego przed nim przyznać.

- Rozumiem - odparł w zamyśleniu. - Rzeczywiście, jest, czego się bać. Pójdźcie za głosem serca w takim przypadku z pewnością nie leży w twoim interesie.  
Spochmurniałam.

- Powiniennem był zostawić cię w spokoju - westchnął. - Powiniennem teraz wstać i odejść w stronę dal. Tylko nie wiem, czy potrafię.  
- Nie chcę, żebyś sobie poszedł - wymamrotałam żalownie ze wzrokiem wbitym w ziemię - i właśnie dlatego powiniennem takuczyńić. Ale nie martw się, z natury jestem samolubną istotą. Pragnę twego towarzystwa zbyt mocno, by słuchać głosu rozsadku.

- Ciesz się tym to.  
- Więc lepiej przestań się cieszyć! - rzucił ostro, cofając dłoń, choć tym razem razem delikatniej niż ostatnio. Ton głosu mógł mieć szorstki, ale głos sam w sobie nadal był aksamitnie miękki, piękniejszy niż u każdego z ludzi. Za zmianami nastroju Edwarda trudno mi było nadążyć, niemiennie zbijały mnie z pantaju ku.

- Pragnę nie tylko twój towarzystwa! Nigdy o tym nie zapominaj! Nigdy! Dla nikogo innego prócz ciebie nie stanowią tak ogromnego zagrożenia. - Niewidzącym wzrokiem uciekł gdzieś w bok, w las.  
Przez chwilę zastanawiałam się nad tym, co powiedział.

- Obawiam się, że nie rozumiem do końca, co masz na myśli. Chodzi mi o to ostatnie zdanie.  
Edward spojrzął na mnie z uśmiechem, raptownie poweselał.

- Hm, jak by ci to wyjaśnić... Tak, żeby znów cię nie wystraszył... - Nie wydając się wcale głowić nad odpowiedzią, ponownie podał mi dłoń, a ja schwyliłam ją mocno obiema rękami. Zerknął na nie.  
- ZdziwIAjąco przyjemne to ciepło - przyznał.

Przez jakiś czas szukał w głowie odpowiedniej analogii. - Ludzie gustują w różnym smaku, prawda? - zaczął. - Jedni lubią lody czekoladowe, inni truskawkowe. Kiwnęłam głową.  
- Przepraszam za to kulinarne porównanie, ale nie wpadłem na nic lepszego. Uśmiechnęłam się pocieszająco. Był nieco zawstydzony.  
- Widzisz, każda osoba pachnie w inny sposób, każda ma swój specyficzny... smak. Teraz wyobraź sobie, że zamylimy alkoholika w pomieszczeniu pełnym zwietrzałego piwa. Zapewne wszystko chętnie by wypił. Ale gdyby był zdrowiejącym alkoholikiem wstrzymałby się. Zostawmy, więc takiemu w środku kieliszek stu letniej brandy albo, powiedzmy, rzadki wykwinnty koniak a pokój wypełnijmy aromatem owych alkoholi po podgrzaniu. Jak sadzisz jak się teraz zachowa?

Siedzieliśmy w ciszy, patrząc sobie w oczy, starając się odczytać nawzajem swoje myśli.  
Pierwszy odezwał się Edward.  
- Może to nie najlepsze porównanie. Zapomnijmy o tej nieszczęsnej brandy. Weźmy zamiast alkoholika człowieka uzależnionego od heroiny.  
- Usiłujesz powiedzieć, że jestem twój ulubiony gatunkiem heroiny? - zażartowała, żeby polepszyć atmosferę.

Na twarzy Edwarda zagościł przelotny uśmiech - doceniłam jego wysiłki.  
- Tak trafiłeś w samo sedno.  
- Często tak się zdarza?

Zastanawiając się nad odpowiedzią, przeniósł wzrok ponad czubki drzew.  
- Rozmawiałem o tym z moimi braćmi - odezwał się, nie odwracając głowy. - Dla Jaspiera każde z was jest tak samo pociągające. Jest zmuszony bezustannie walczyć sam ze sobą, żeby powstrzymać się od ataków. Widzisz, dołączył do nas jako ostatni. Nie miał dość czasu, by wyrobić sobie wrażliwość na różnice w smaku i zapachu. - Edward zerknął na mnie odrobinę spłoszony. - Wybac, może nie powinienem tak wprost...

- Naprawdę, nic nie szkodzi. Nie przejmuj się, że mnie obrazisz, przestraszysz, czy co tam jeszcze. Tak po prostu jest. Rozumiem, co czujecie, a przynajmniej staram się to zrozumieć. Po prostu wyjaśnij mi wszystko jak umiesz naj lepiej.

Wzięła głęboki oddech.  
- Jasper nie miał, zatem pewności, czy kiedykolwiek napotkał na swej drodze kogoś, ko by był dla niego równie... - usiłował dobrać odpowiednie słowo - równie pociągający smakowo, jak ty.



Sadzę, że tak się istotnie stało. Pamiętałabyś. Emmett, że tak to ujmie siedzi w tym dłużej i wiedział, o co mi chodzi. Powiedziała, że zdarzyło mu się to dwukrotnie, przy tym w jednym przy padku uczucie było silniejsze.

- A tobie ile razy się to zdarzyło?

- Nigdy.

- Zdawało się, że echo tego słowa dźwięczy jeszcze jakiś czas w powietrzu.

- I jak postąpił Emmett? - przerwałam ciszę.

Było to wysoce niewłaściwe pytanie. Edward odwrócił wzrok, zasepił się, a dłoń, którą trzymałam, zacisnął w pięść. Czekalałam na jakąś odpowiedź, ale nadaremno.

- Chyba wiem - powiedziałam w końcu.

Spojrzał na mnie błagalnie, że smutkiem w oczach.

- Nawet najsilniejszy z nas czasem ulegają pokusom, nieprawdaż?

- Czego ode mnie chcesz? Przyzwolenia? - Mój głos zabrzmiał surowiej, niż to miałam w planach. Wiedząc, ile kosztują go te szczere wyznania, spróbowałam jednak się uspokoić. - A zatem nie ma nadziei? - Z jakim opanowaniem potrafiłam dyskutować o własnej śmierci!

Nie, skąd - burzyłam się. - Oczywiście, że jest nadzieja! To znaczy, nie mam najmniejszego zamiaru... - Pozwolił sobie nie dokończyć tego zdania. Jego złote oczy plonąły. - My to co innego - Kiedy Emmett... To byli dla niego obcy ludzie. Zresztą zdarzyło się to dawno, dawno temu, gdy nie był jeszcze tak... wprawiony we wstrzymaniu, tak ostrożny, jak teraz. Zamilkłszy, przyglądał mi się uważnie, ciekawym, jak zareaguję na jego słowa.

- Więc gdybyśmy wpadli na siebie w ciemnym zaułku... - Przeszedłem samego siebie, starając się nie rzucić na ciebie wtedy na biologii, w klasie pełnej dzieciaków. - Zamilkł na moment i znów odwrócił głowę. - Kiedy mnie minęłaś w jednej chwili mogłem zniweczyć wysiłki Carlisle'a. Gdyby mnie nie ćwiczyły się w ignorowaniu swego pragnienia przez ostatnie coś, przez wiele lat, nie potrafiłbym się wówczas opanować.

Oboje przy pomnieliśmy sobie tę scenę. Edward uśmiechnął się gorzko.

- Musiałaś dojść do wniosku, że jestem chory psychicznie.

- Nie rozumiałam, co takiego się stało. Jak mogłeś tak szybko mnie zniechęcić?

- Według mnie byłaś demone m zesyłanym z piekiła na moją zębę. Zapach twojej skóry... Ach, byłem bliski szaleństwa. Siedząc z tobą w ławce, wymyśliłem że sto różnych sposobów na to jak cię wywabić z klasy. Przy każdym z nich walczyłem z pokusą myślącą o mojej rodzinie, o tym, jakim byłbym z siebie, o tym, jak mógłbym to zrobić im coś takiego. Po lekcji wybiegłem, czym prędzej, byle tylko nie poprosić cię, żebyś poszła gdzieś ze mną.

Edward przerwał ten ciąg bolesnych wspomnień, by spojrzeć na moją zmienioną słońcem twarz. Prześlониęte wachlarzem rzes miodowe oczy spoglądały groźnie i hipnotyzujące zarazem.

- A poszłabyś - dodał z przekonaniem. Staralam się zachować spokój.

- Bez wątpienia - szepnęłam.

Gdy przonoś wzrok na moje dłonie, poczułam się tak, jakby ktoś uwolnił mnie z wnyków.

- Potem, co nie miało zresztą większego sensu, próbowałem zmienić swój plan zajęć, by móc cię unikać, i właśnie wtedy musiałaś wejść do sekretariatu. W tak niewielkim, tak ciepłym pomieszczeniu zapachy rochożdzą się wyjątkowo łatwo. Twój też. To było nie znieśniena. O mały, co nie rzuciłem się do ataku. Świadkiem byłaby zaledwie jedna słaba kobieta - jakże szybko mógłbym się z nią później uporać.

Drżalam w ciepłych promieniach słońca, przeżywając te chwile na nowo z jego punktu widzenia, dopiero teraz świadoma grożącego mi wówczas niebezpieczeństwa. Biedna pani Cope, wzdrygnęłam się ponownie. Niewiele brakowało, a stałabym się poniekaąd odpowiedzialna za jej śmierć.

- Sam nie wiem, jak się powstrzymałem. Zmusilem się, by nie czekać na ciebie pod szkołą, by ciebie nie śledzić. Na dworze twój zapach ginał w masie świeżego powietrza, było mi, więc łatwiej trzeźwo myśleć. Odstawiłem rodozeństwo do domu - wiedzieli, że coś jest nie tak, ale wstyd mi było przyznać się przed nimi do własnej słabości - a potem pojechałem prosto do szpitala, do Carlisle'a powiedzieć mu, że wyjeżdżam, na dobre. Otworzyłam szeroko oczy ze zdziwienia.

- Wymieniłymi się samochodami, bo miał pełny bak, a ja nie chciałem zwlekać. Nie osmieliłem się zajrzeć do domu, by stanąć twarzą w twarz z Esme. Nie pozwoliłabym mi wyjechać bez strasznej awantury. Usiłowaliby mnie przekonać, że nie jest to konieczne... - Nazajutrz rano byłem już na Alasce. - Edward powiedział to takim tonem, jakby przyznawał się do wielkiego tchorzostwa. - Spędziłem tam dwa dni wśród starych znajomek, ale... tęskniłem za domem.

Żle mi było z tym, że sprawilem przykróść Esme i wszystkim innym, całej mojej przyszywanej rodzinie. W górach na północy powietrze jest tak czyste... Nabramłem do wszystkiego dystansu. Trudno mi było uwierzyć w to, że tak bardzo nie mogłem ci się oprzeć. Wytłumaczyłem sobie, że uciekając okazałem się słaby. Wcześniej odczuwałem pokusy, nie tak silne, rzecz jasna, nieporównywalnie słabsze, ale jakoś sobie z nimi radziłem. Do czego to podobne, myślałem, żeby jakaś dziewczyna - tu Edward uśmiechnął się - jakaś zwykła uczennica zmusiała mnie do opuszczenia rodzinnego domu. Więc wróciłem. Nie mogłam dobyć głosu.

- Do naszego następnego spotkania przy gotowaniu się odpowiednio polewalem więcej niż zwykle. Byłem pewien, że mam w sobie dość siły, by traktować cię jak każdego innego człowieka.

Podszedłem do całej sprawy z wielką arogancją. Na domiar złego nie potrafiłem czytać w twoich myślach, aby przewidzieć twoje reakcje.

Nie byłem przyzwyczajony to tego rodzaju problem, a tu nagle musiałem wylapywać twoje wypowiedzi we wspomnieniach Jessiki, która jest dość płytką osobą, denerwowało mnie więc, że upadłem tak nisko. W dodatku nie mogłem mieć pewności czy przy niej nie kłamałaś. Wszystko sto zalenie mnie irytowało. Nawet opowiadając o tym, marszczył gniewnie czoło.

- Pragniałem, żebyś zapomniała o tym feralnym pierwszym dniu, starałem się, więc rozmawiać z tobą jak z każdą inną osobą. Ponekaąd się już tych pogawędek doczekać, mając nadzieję, że uda mi się wreszcie odczytać twoje myśli. Ale okazało się, że nie jesteś taka jak wszyscy inni... Byłem zafascynowany. A od czasu do czasu ruchem dłoni lub włosów nieświadomie przy spieszałaś cyrkulację powietrza i twój zapach znów mnie oszalał... -

- A potem ten wypadek na szkolnym parkingu. Później wymyśliłem świetną wymówkę, dlatego zareagowałem tak a nie inaczej. Gdyby na moich oczach połała się krew, nie potrafiłbym się opanować i pokazał swoją prawdziwą twarz. Tyle, że wpadłem na to dopiero po fakcie. W tamtej chwili przez głowę przemknęło mi jedynie: „Błagam, tylko nie ona”.

Zamknął oczy, rozpamiętując to dramatyczne wydarzenie, ja tymczasem czekałam niecierpliwie na ciąg dalszy. Rozsądek podpowiadał mi, że powinnam być przerażona, ale potrafiłam jedynie cieszyć się tym, że wreszcie wszystko jest dla mnie jasne. Mimo że zwierzał mi się, jak bardzo pragnie odebrać mi życie, współczułam mu, że tak bardzo się mężczy.

W końcu wróciła mi mowa, choć głos miałam jeszcze słaby.

- A w szpitalu?

Edward spojrział mi prosto w oczy.

- Czulem do siebie wstręt. Jak mogłem narazić swoją rodzinę na tak wielkie niebezpieczeństwo? Mój los, nasz los był w twoich rękach. Właśnie twoich! Co za ironia. Jakby tego mi było trzeba - kolejnego motywu, by chcieć cię zabić. - Tu wzdrygnęliśmy się oboje.

- Przyniosło to jednak przeciwny efekt - ciągnął Edward. - Rosalie, Emmett i Jasper zasugerowali, że oto nadesza pora... -

Nigdy nie kłóciłymi się tak zjadale. Carlisle stanął po mojej stronie, podobnie Alice. - Nie wiedzieć czemu, skrzywił się, wymawiając jej imię. - Esme oświadczyła z kolei, że mam zrobić wszystko, co w mojej mocy, by móc zostać w Forks. - Pokręcił głową z pobłażliwym wyrzecz twarzy.

- Cały następny dzień spędziłem, podsluchując myśli twoich rozmówców. Byłem zaszkokowany, że dotrzy mywałaś słowa. Nie mogłem pojąć, co tobą kieruje. Wiedziałem jedno - że nie powinienem kontynuować tej znajomości. O ile było to możliwe, trzymałem się, zatem od ciebie z daleka. Tyko ten twój zapach, na twój skórze, w oddechu, we włosach... Więzi dźiałał na mnie tak samo silnie co pierwszego dnia.

Nasze spojzenia znów się spotkały i w oczach Edwarda dostrzegłam zaskakująco dużo czulości.

- A mimo to - dodał - lepiej bym na tym wyszedł, gdyby m jednak zdemaskował nas wszystkich owego pierwszego dnia, niż gdyby m miał rzucić się na ciebie tu i teraz, w leśnym zaciszu, bez żadnych świadków.

Byłam tylko człowiekiem, spytałam więc:

- Dlaczego?

- Isabelle - wymówił starannie moje imię, wolną dłonią mierzwiąc mi pieszczotliwie włosy. Gest ten był tak swobodny, że przesylił mnie dreszcz. - Bello, nie potrafiłbym żyć z myślą, że pomogłem ci zejść z tego świata. Nawet nie wiesz, jak mnie to wiza przesładuje. - Spuścił oczy ze wstydem. - Twoje ciało, blade, zimne, nieruchome... Już nigdy miałbym nie zobaczyć ci twoich rumieńców i tego błysku intencji w oczach, gdy domyslasz się prawdy... Nie, tego bym nie zniósł. - Spojrział na mnie z twarzą wykrzywioną bólem. - Jesteś teraz dla mnie najważniejsza. Jesteś najważniejszą rzeczą w całym moim życiu.

Od słów Edwarda zakreślił mi się w głowie. Nie spodziewałam się że ta rozmowa przybierze taki obrót. Oto jeszcze przed chwilą wysłuchiwałam wesołych historyjek o tym, kiedy to mogłam zginać, a tu nagle taka deklaracja uczuć. Czekając na jakąś reakcję z mojej strony i choć wpatrywałam się w nasze dłonie, czułam, że mnie obserwuje.

- Wiadomo ci już oczywiście, co ja czuję - powiedziałam - Siedzę teraz tu z tobą, co oznacza, że wolałabym umrzeć niż trzymać się od ciebie z daleka. - Skrzywiłam się. - Co za idiotka to mnie.

- Bez wątpienia - zgodził się parskając śmiechem. Też się zaśmiałam, zagłądając w jego miodowe oczy. To, że siedzieliśmy tu teraz razem, było idiotyczne i nieprawdopodobne.

- A to dopiero - mruknął Edward. - Lew zakochał się w jagnięciu. - Spuściłam wzrok, drząc z ekscytacji na dźwięk tego najdurowniejszego ze słów.

- Biedne, głupie jagnię - westchnęłam.

- Chory na umyśle lew masochista. - Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w ciemną ścianę lasu i zaczęłam się zastanawiać, o czym rozmyśla.

- Dlaczego...? - Przerwałam, nie wiedząc, jako powiedzieć.

Przeniosłszy wzrok na mnie, znów się uśmiechnął. Jego piękna twarz lśniła w słońcu. - Tak?

- Powiedz mi, proszę, dlaczego wtedy ode mnie odskoczyłeś? Spochmurniał.

- Dobrze wiesz, dlaczego.

- Nie, nie. Chodzi mi o to, co dokładnie zrobiłam nie tak. Będę musiała odtąd mieć się na baczności, więc lepiej, żeby m nauczyła się, czego unikać. To, na przykład - poglaskałam go po ręce - jakoś ci nie przeszkadza.

Rozpogodził się.

- To nie była twoja wina, Bello, tylko wyłącznie moja.

- Ale, mimo wszystko, mogę ci przecież jakoś pomóc, ułatwić życie.

- Cóż... - Zamyślił się na chwilę. - To, dlatego, że byłaś tak blisko. Większość ludzi instyktownie nas unika, nasza odmienności odrzuca. Nie spodziewałem się, że się do mnie przysuniesz. I ten zapach bijący od twojej szyi... - Zamilkł, niepewny, jako przyjmę.

- Nie ma sprawy - rzuciłam swobodnie, chcąc rozładować atmosferę. Podciągnęłam koszulkę pod brodę. - Zakaz ekspozowania szyi.

Zachichotał, podziałało.

- Nie, nie musisz, wierz mi, ważniejszy był element zaskoczenia. Podniósł powoli rękę i ostrożnie przyłożył mi dłoń do szyi. Siedziałam zupełnie nieruchomo. Nieludzki chłód skóry Edwarda powinien mnie odstraszać, ale nie odczuwałam lęku, kłębilo się za to we mnie wiele innych emocji... -

- Sama widzisz. Wszystko w porządku. Załowałam, że nie potrafię kontrolować swojego oszalonego tętna. Z pewnością niepotrzebnie Edwarda drażniło.

- Tak słodko się rumienisz - zamruczał, oswabdzając delikatnie swoją drugą rękę, po czym poglaskawszy mnie w pierw po policzku, ujął moją twarz w dłonie.

- Nie ruszaj się - poprosił szepem, jakby m nie była już jak sparalizowana.

Powoli, cały czas patrząc mi prosto w oczy, pochylił się do przodu. Przez chwilę opierał się łodowatym policzkiem o wgłębienie pod moim gardłem, a ja, wsłuchana w jego wyrównany oddech, obserwowałam iskiarki słonecznego światła igrające w bujnej, miedzianej czuprynie. Najbardziej ludzie były w nim właśnie te włosy.

Dłonie Edwarda zaczęły ześlizgiwać się niespiesznie ku mojej szyi. Zadrzałam. Wstrząsał na moment oddech, ale jego dłonie nie przerwały swojej wdrowki i spoczęły na moich ramionach. Wreszcie musnąwszy nosem obojczyk oparł głowę na mojej pierś. Słuchał, jak bije mi serce. Westchnął. Nie wiem, jak długo siedzieliśmy tak nieruchomo. Być może było to kilka godzin. Tętno w końcu mi się uspokoiło, ale Edward ani razu się nie odezwał, ani nie zmienił pozycji. Byłam świadoma tego, że w każdej chwili może z nadmiaru wrażeń stracić nad sobą kontrolę, a wtedy przyplącę chwilę szczęścia z ciem. Być może zadziałyby tak szybko, że nawet by m nie zauważyła... Mimo wszystko nadal nie odczuwałam strachu. Potrafiłam myśleć tylko o tym, że Edward mnie dotyka.

Gdy wypuścił mnie z objęć, nie miałam jeszcze dosyć.

Bił od niego spokój.

- Następnym razem nie będzie już to takie trudne - oświadczył z satysfakcją w głosie.

- Bardzo musiałeś ze sobą walczyć?

- Myślałem, że będzie gorzej. A jak ty się czułaś?

- Nie było źle. To znaczy, mnie nie było źle. Uśmiechnął się, słysząc to sprostowanie.

- Wiesz, co mam na myśli. Teraz ja się uśmiechnęłam.

- Zobacz - Chwycił moją dłoń i przyłożył sobie do policzka.

- Czujesz, jaki ciepły?

Trudno mi jednak było skoncentrować się na temperaturze, bo właśnie po raz pierwszy dotykałam jego twarzy. Było to coś, o czym m marzyłam, otdką go poznałam.

- Nie ruszaj się - szepnęłam.

Edward miał zniechęcić jaknik inny. W okamgnieniu zmienił się w marmurowy posąg.

Staralam się obchodzić z nim jeszcze ostrożniej niż on ze mną. Poglądziłam go po policzku, przejechałam opuszkami palca po powiece, po snych cieniach pod jego oczami. Zbadałam kształt idealnie zbudowanego nosa, a potem ust.

Wargi Edwarda rozwarły się pod moim dotykiem i poczułam na skórze dłoni jego zimny oddech. Zapraęnąłam przysunąć się bliżej, aby napawać się jego słodką wonią, więc opuściwszy rękę, cofnęłam się, żeby nie kusić losu.

Otworzył oczy i było w nich widad głód, nie przestraszyłam się jednak. Ty lko moje ciało zareagowało odruchowo: serce zaczęło mi bić szybciej, a mięśnie się napięły.

- Żałuję - powiedział Edward cicho - żałuję, że nie możesz poczuć tego, co ja czuję. Tej złożoności targających mną emocji, tego zamętu, jaki mam w głowie.

Powolnym ruchem odgarnął mi włosy z twarzy.

- Opowiedz mi o tym.

- Raczej nie potrafię. Mówilem ci już, z jednej strony jest głód, pragnienie. Pożdam twojej krwi. To takie żalosne. Sądzę, że to akurat jesteś w stanie zrozumieć, przy najmniej do pewnego stopnia. Byłoby ci łatwiej - uśmiechnął się nieco zjadliwie - gdybyś była narkomanką czy kimś takim. Ale to nie wszystko. - Dotknął palcami moich warg i znów przeszedł mnie dreszcz. - Do tego dochodzą jeszcze inne pragnienia. Pragnienia, których nie znam i których nie rozumiem.

- Cóż, istnieje możliwość, że wiem, o co ci chodzi, lepiej, niż ci się to wydaje.

- Nie jestem przyzwyczajony do ludzkich odruchów. Często się tak czujesz?

- Jak teraz przy tobie? - Przeknęłam sline. - Nie. To pierwszy raz.

Ujął moje dłonie. Wydały mi się takie kruche w jego silny m uścisku.

- Nie wiem, jak mam się zachowywać, gdy jestem tak blisko ciebie - przyznał. - Nie wiem, czy potrafię być tak blisko.

Dając mu znać oczami, co zamierzam uczynić, pochyliłam się ostrożnie do przodu i oparłam policzkiem o jego nagi tors. Milczał, slychać było tylko jego oddech.

- Tyle wystarczy - szepnęłam, zamykając oczy.

Bardzo ludzkim gestem przycisnął mnie mocniej do siebie, wtulając jednocześnie twarz w moje włosy.

- Dobrze ci idzie - zauważyłam.

- Kryje się we mnie wiele człowieczych instynktów. Są schowane głęboko, ale gdzieś tam są.

Zastygłszy tak znów na dłuższą chwilę. Chciałam, żeby to trwało wiecznie, i zastanawiałam się, czy i on myśli podobnie. Po pewnym czasie zdałam sobie jednak sprawę, że słońce znikła powoli za koronami drzew, a te rzucają coraz dłuższe cienie.

- Czas na ciebie.

- A myślałam, że nie potrafisz czytać mi w myślach.

- Coraz łatwiej mi zgadywać - odparł wesoło.

Położył mi dłonie na ramionach i spojrział prosto w oczy.

- Czy mógłby mi coś pokazać? - Nagle zrobił się podekscytowany.

- Co takiego?

- Pokazałbym ci, jak przemieszczam się po lesie, kiedy jestem sam. - Zauważył, że zrzędlą mi mina. - Nie martw się, włos z głowy nie spadnie, a zaoszczędzimy sporo czasu. - Obdarował mnie jednym ze swoich lubazerskich uśmiechów, po których zawsze byłam bliska omdlenia.

- Zamierzasz zamienić się w nietoperza? - spytałam podejrzliwa. Zaśmiał się głośniej niż kiedykolwiek.

- I co jeszcze? Może w Batmana?

- Tak się pytam. Skąd mam wiedzieć?

- No dobra, tchórz, koniec dyksjki. Wskakuj mi na plecy. Zawahałam się, myśląc, że żartuje, ale najwyraźniej mówił na serio. Widząc moją reakcję, uśmiechnął się tylko i bezceremonialnie przyciągnął do siebie. Serce zaczęło mi bić jak szalone - zdradzało wszystko, Edward nie musiał umieć czytać mi w myślach. Bez najmniejszego trudu wsadził mnie sobie na barana, pozostawiało mi jedynie objąć go mocno nogami i tak kurczowe ucześcić się jego szyi, i każdy normalny człowiek na jego miejscu by się udusił. Odniosłam wrażenie, że przytuliłam się do glazu.

- Ważę trochę więcej niż przeciętny plecak - ostrzegłam.

- Też mi coś! - prychnął, zapewne wywracając oczami. Jeszcze nigdy nie widziałam go w tak dobrym humorze.

Nagle schwytał moją dłoń i przycisnął sobie do twarzy. Serce podskoczyło mi do gardła.

- Idź mi coraz lepiej - szepnął, biorąc kilka głębokich oddechów. Zrozumiałam, że Edwardowi chodzi o mój zapach.

A potem, bez ostrzeżenia, puścił się biegiem. Jeśli kiedykolwiek wcześniej drżałam w jego obecności o swoje życie, było to niczym w porównaniu z tym, co czułam teraz.

Pędził niczym pocisk, niczym strzała, świadczyły o tym jednak tylko migające po obu stronach pnie drzew. Moich uszu nie dochodził żaden dźwięk, który byłby dowodem na to, że stopy Edwarda w ogóle dotykają ziemi. Wydawał się wcale nie męczyć, nawet nie zaczął szybciej oddychać.

Cudem mijal o milimetry kolejne przeszkody. Byłam tak przerażona że zapominałam zamknąć oczy, choć twarz smagał mi boleśnie chłodny, leśny wiatr. Czułam się tak, jakby mi wystawiła głowę przez okno, lecąc samolotem, i po raz pierwszy w życiu marzyłam o zyciu awiomarinu.

Gdy już chciałam błagać o litość, Edward zatrzymał się raptownie. Powrót z ląki, do której szliśmy całe przedpołudnie, zajął mu ledwie kilkanaście minut.

- Świetna zabawa, nieprawdaż? - wykrzyknął rochochocony.

Czekał, aż z niego zejde, ale nie mogłam się ruszyć. Ruszało się za to wszystko wokół mnie. A raczej wirowało.

- Bello? - zaniepokoił się.

- Chyba muszę się położyć - jęknęłam.

- Oj, przepraszam. - Stał dalej nieruchomo, ale kończyły wciąż odmawiały mi posłuszeństwa.

- Raczej sama nie dam rady - wyznałam.

Zaśmiały się cicho, Edward delikatnie rozplatał moje dłonie zaciśnięte na jego szyi - poddały się do razu. Następnie przesunął mnie sobie na brzuch, tuląc do siebie niczym małe dziecko, potrzebował tak przez chwilę, po czym ostrożnie położył na kępie paproci.

- Jak się czujesz?

Trudno mi to było ocenić, tak bardzo kręciło mi się w głowie.

- Mam zawroty głowy.

- To schowaj ją między kolana.

Zastosowałam się do tej rady i rzeczywiście trochę pomogło. Oddychałam powoli, starając się nie wykonywać gwałtownych ruchów a mój towarzysz usiadł tuż obok. Po pewnym czasie poczułam się pewniej i wyprostowałam.

Dzwoniło mi jeszcze tylko w uszach.

- To chyba nie był najlepszy pomysł - stwierdził Edward zawstydzony.

Chciałam go jakoś pocieszyć, ale głos miałam wciąż słaby.

- Skąd, bardzo ciekawe doświadczenie.

- Akurat, jesteś błądą jakściana. Jak ja!

- Coś mi się wydaje, że powinnam być jednak zamknąć oczy.

- Następnym razem już nie zapomnisz.

- Następnym razem?!

Edward zaśmiał się. Dobry humor nadal mu dopisywał.

- Szpanować się mu zachciało - mruknęłam.

- Otwórz oczy, Bello - poprosił cicho.

Niemal dotykaliśmy się nosami. Jego uroda mnie oszalaiała - nie mogłam przyzwycząić się do nadmiaru piękna.

- Biegnąc, pomyślałam sobie, że chciałbym... - Nie dokończył.

- Ze chciałbyś nie trafić w jakieś drzewo?

- Gluptasku, taki bieg to dla mnie pestka. Wymijam je instynktownie.

- Znowu się popisujesz.

Uśmiechnął się.

- Pomyślałam sobie - dokończył - że chciałbym spróbować czegoś jeszcze. - Po raz drugi tego dnia ujął moją twarz w dłonie.

Zaparlo mi dech w piersiach.

Zawahał się - ale nie tak jak zwykły człowiek.

Nie jak chłopak, który nie jest pewien, czy ma pocałować dziewczynę, i bada, jak ona reaguje na jego zachowanie, żeby wiedzieć, czy nie zostanie odrzucony. Albo jak chłopak, który świadomie przedłuża moment oczekiwania, wiedząc, że ta słodka chwila potrafi być czasem bardziej ekscytująca niż sam pocałunek.

Edward odczekał chwilę, by upewnić się, że nic mu nie grozi, że jest w stanie trzymać swoje pragnienie w ryzach.

A potem jego chłodne, marmurowe wargi powoli, delikatnie dotknęły moich.

Zadne z nas nie przewidziało jednak mojej reakcji.

Krew we mnie zawrzała, moje usta zapłonęły, wargi rozwarły się. Zaczęłam niemalże dyszeć, a palcami wpięłam się we włosy by przyciągnąć go jeszcze bliżej do siebie. Jego cudowny zapach mącił mi w głowie.

Zamarł natychmiast i delikatnie, acz stanowczo mnie odsunął. Otworzyłam oczy. Był bardzo spięty.

- Oj - szepnęłam przepraszająco.

- „Oj” to mało powiedziane. Oczy miał dzkie, a szczyki zaciśnięte, ale nadal potrafił się zgrabnie wysłowić. Nasze usta dzieliło ledwie parę centy metrów. Byłam gotowa mdeć z zachwytu.

- Może lepiej będzie... - Spróbowałam wyrwać się z jego objęć żeby mógł w spokoju dojść do siebie, ale jego silne ręce nie pozwoliły mi się ruszyć ani o milimetr.

- Nie, nie, poczekał - powiedział spokojnym, opanowanym głosem. - Wytrzymam.

Obserwowałam, jak w jego oczach z wolna wygasa podniecenie. Nagle uśmiechnął się zaskakująco figlarne.

- No i proszę - stwierdził, najwyraźniej bardzo z siebie zadowolony.

- Wytrzymasz?

Zaśmiał się głośno.

- Mam silniejszą wolę, niż przy puszczałem. To miło.

- Szkoda, że o mnie tego nie można powiedzieć. Przepraszam z to co się stało.

- No cóż, w końcu jesteś tylko człowiekiem.

- Wielkie dzięki - wycedziłam.

Podniósł się nie wiadomo, kiedy i wyciągnął ku mnie rękę, by pomóc mi wstać. Cały czas zaskakiwał mnie takimi gestami, bo przyczaiłam się do tego, że unika kontaktów cielesnych. Dopiero, gdy schwyliłam jego lodowatą dłoń i spróbowałam wstać, poczułam jak bardzo potrzebowałam asysty. Wciąż z trudem utrzymywałam równowagę.

- To jeszcze po biegu, czy tak doskonałe całuję? - Edward zachowywał się teraz przy mnie zupełnie swobodnie - widać było, jak bardzo przedtem musiał się kontrolować. Był taki rozluźniony, taki pogodny, taki przy tym ludzki.

Czułam, że jestem nim jeszcze bardziej oczarowana. Gdybyśmy mieli się teraz rozstać sprawiłoby mi to fizyczny ból.

- Sama nie wiem. I to, i to. Nadal kręci mi się w głowie.

- Sądzę, że powinnaś dać mi poprowadzić.

- Oszalałaś? - zaprotestowałam.

- Co tu dużo kryć, jestem lepszym kierowcą od ciebie - zaczął ze mnie żartować. - Nawet w najbardziej sprzyjających warunkach masz ode mnie gorszy refleks.
- Zgadzam się w zupełności, nie wiem tylko, czy moje nerwy i moja furgonetka zniosą twój styl jazdy.
- Bello, okażże mi choć trochę zaufania.

Włożyłam rękę do kieszeni, wymaciałam kluczyki i zrobiwszy minę rozkapryszonego dziecka, pokręciłam głową.

- Nie ma mowy.

Uniósł w zdumieniu brwi.

Zrobiłam pierwszy krok w kierunku drzwiczek od strony kierowcy. Kto wie, może Edward nawet by mnie przepuścił, gdybym nie zachwiała się odrobinę. A może nie. W każdym razie zachwiałam się i natychmiast chwycił mnie w tali.

- Bello, nie po to przechodziłem samego siebie, ratując cię z licznych opresji, żeby pozwolić ci zasiąść za kierownicą, kiedy ledwo się trzymasz na nogach. A poza tym jazda po pijanemu to przestępstwo.
- Po pijanemu? - obruszyłam się.
- Sama moja obecność działa na ciebie upajająco - powiedział - po raz kolejny uśmiechając się kpiarsko.

Cóż mogę powiedzieć - westchnęłam. Byłam bezsilna, nie umiałam mu niczego odmówić. Upuściłam kluczyki, wyciągnąwszy wpię rękę wysoko w górę. Edward chwycił je z szybkością jastrzębia, nawet nie brzęknęły. - Tylko spokojnie - upomniałam. Moja furgonetka ma już swoje lata.

- Bardzo rozsądna decyzja - pochwalił.

- A na ciebie moja obecność nie ma żadnego wpływu? - spytałam nieco urażonym tonem. Nie odpowiedział od razu. Spojrzał na mnie ciepło, a potem pochylił się ku mnie i musnął wargami mój policzek, wzdłuż linii szczęki od ucha po usta i z powrotem. Zadrzałam. - Mniejsza o to - oświadczył w końcu. - I tak mam lepszy refleks.

Musiałam przyznać, że gdy przestrzegał ograniczenia prędkości, prowadził bardzo dobrze. Była to też kolejna czynność, która zdawała się nie sprawiać mu żadnego wysiłku. Prowadził jedną ręką, bo drugą trzymał moją, a choć rzadko, kiedy spoglądał na drogę, koła auta nie zboczyły na boki ani o centymetr. Czasem przyglądał się zachodzącemu słońcu, czasem zerkał na mnie – moją twarz, moje włosy powiewające przy otwartym oknie, nasze splecione na siedzeniu dłonie.

Nastawił radio na stację nadającą same stare przeboje. Leciła akurat jakaś piosenka z lat pięćdziesiątych i okazało się, że Edward zna wszystkie słowa, ja nigdy wcześniej nawet jej nie słyszałam.

- Lubisz takie kawalki? - spytałam.

- Muzyka w latach pięćdziesiątych to było to. Następne dwie dekady - koszarne - wzdrygnął się na samo wspomnienie. - Dopiero lata osiemdziesiąte były znośne.

- Powiesz mi kiedyś wreszcie, ile masz lat? - spytałam ostrożnie nie chcąc popuścić mu nastroju.

- Czy to ma jakieś znaczenie? - Na szczęście nie przestawał się uśmiechać.

- Nie, po prostu jestem ciekawa. Wiesz, jak człowieki coś nurtuje, to nie śpi po nocach.

- Czy ja wiem, może będziesz zszokowana. - Zamyślił się wpatrzony w widoczną na niebie lunę, od której jego skóra połyskiwała czerwono.

- No, wypróbuj mnie - zachęciłam po chwili milczenia.

Westchnąwszy, spojrzal mi prosto w oczy, zupełnie zapominając na jakiś czas o drodze. Nie wiem, co odczytał z mojego wyrazu twarzy, ale widocznie go to przekonało. Przeniósł wzrok powrotem na gasnące słońce i przemówił:

- Urodziłem się w Chicago w 1901 roku. - Przerwał, by sprawdzić, jak zareaguję na tę rewelację. Chcąc dowiedzieć się jak najwięcej, miałam się jednak na baczność i nie dostrzegł w moją twarz ani cienia zdumienia.

Uśmiechnął się delikatnie. - Carlisle natrafił na mnie w szpitalu latem 1918. Miałem wówczas siedemnaście lat i umierałem na gripę hiszpankę.

Musiałam chyba wzięć głębszy oddech, bo zerkał na mnie zaniepokojony. Sama ledwie, co usłyszałam.

- Nie pamiętam tego za dobrze. Minęło tyle lat, ludzie wspomnienia błąkają. - Zamilkł na moment, jakby starał się coś sobie przypomnieć. - Pamiętam jednak jak się czułem, gdy Carlisle mnie ratował. Cóż, to w końcu

wydarzenie, o którym trudno zapomnieć.

- Co z twoimi rodzicami?

- Zmarli na gripę przede mną. Byłem sam na świecie. Dlatego mnie wybrał. W chaosie szalejącej epidemii nikt nie zwrócił uwagi na to, że zniknąłem.

- Jak cię... ratował?

Wydało mi się, że próbuje starannie dobrać słowa.

- To trudne. Niewiele z nas potrafi się dostatecznie kontrolować. Ale Carlisle zawsze miał w sobie tyle szlachetnego człowieczeństwa, tyle współczucia... Nie znajdziesz drugiego takiego w annałach naszej historii, nie sądzę. -

Przerwał, by dodać po chwili: - Co zaś się mnie tyczy, doświadczenie to było po prostu niezwykłe bolesne.

Poznałam po jego minie, że już kiedyś mina ten temat nie powie i choć nie przy szło mi to łatwo, poskromiłam własną ciekawość. Teraz, gdy już znałam historię Edwarda, musiałam przemysleć sobie pewne kwestie. Wiele pytań z pewnością jeszcze nawet nie przyszło mi do głowy. Nie miałam wątpliwości, że dzięki lotności swego umysłu on zna je już wszystkie doskonale. Moje rozmyślenia przerwał dalszy ciąg jego opowieści. - Kierowała nim samotność. Zwykle to właśnie ona jest powodem, dla którego postanawia się kogoś uratować. Byłem pierwszym członkiem rodziny Carlisle'a. Esme dołączyła do nas krótko potem. Spadła z klifu. Trafiła prosto do szpitalnej kostnicy, ale jakimś cudem jej serce nadal biło.

- Więć trzeba być umierającym, żeby zostać... - zawieszam głos. Nigdy nie użyliśmy tego słowa i teraz również nie przeszło mi przez usta.

- Nie, nie. To tylko Carlisle tak postępuje. Nie mógłby zrobić tego komuś, ko miał inny wybór. - Za każdym razem, gdy Edward mówił o swoim przyszywanym ojcu, w jego głosie słyhać było ogromny szacunek - Chociaż, nie przeczę, wspominał, że gdy tętno wybranej osoby nikię, łatwiej trzymać się w ryzach. - Przeniósł wzrok na ciemną już zupełnie szosę i wyczułam, że i ten temat został właśnie zakończony. - A Emmett i Rosalie?

- Carlisle sprowadził Rosalie pierwszą. Bardzo długo nie zdawałem sobie sprawy, że liczył na to, iż stanie się ona dla mnie tym, kim Esme stała się dla niego. Dbał o to, by nie rozmyślać przy nim o swoich planach. - Tu Edward wznioł oczy ku niebu. - Zawsze jednak traktowałem ją wyłącznie jak siostrę. Dwa lata później znalazła Emmetta - mieszkaliśmy wtedy w Appalalach. Pewnego dnia, podczas polowania, natrafiła na chłopaka, którego zaatakował niedźwiedź. Natychmiast zaniósł go na rękach do Carlisle'a, choć miała do przebycia ponad sto mil. Bała się, że, sama nie da rady. Dopiero teraz zaczęłam powoli rozumieć, jaką ciężką próbą musiała być dla niej ta podróz. - Zerkał na mnie znacząco, uniósł nasze splecione dłonie, by pogłaskać mnie wierzchem dłoni po policzku.

- Ale udało jej się - zauważyłam dopingującym tonem odwracając wzrok Piękno jego oczu było nie do zniesienia.

- Udało - przyznał. - Zobaczyła coś takiego w jego twarzy, co dało jej tę siłę. I od tamtego czasu są parą. Czasem mieszkają osobno, jako młode małżeństwo, ale im młodszym udajemy tym dłużej możemy zostać w danym miejscu. Forks wydało nam się idealne, więc cała nasza piątka poszła tu do szkoły. - Zaśmiał się - Za parę lat wyprawimy im zapewne wesele. Znamu.

- Zostali jeszcze Alice i Jasper.

- Alice i Jasper to dwa bardzo rzadkie przypadki. Oboje „nawrócili się”, jak to określamy, bez żadnej ingerencji z zewnątrz. Jasper był członkiem innej... rodziny, hm, bardzo osobliwej rodziny. Wpadł w depresję, odłączył się od grupy. Wtedy znalazła go Alice. Podobnie jak ja, obdarzona jest pewnymi siłami i zdolnościami, które nawet wśród nas uważane są za niezwykłe.

- Naprawdę? - przerwałam mu zafascynowana. - Ale przecież mówiłeś, że tylko ty potrafisz czytać ludziom w myślach.

- Zgadza się. Ona wie o innych rzeczach. Widzi... widzi rzeczy, które mogą zdarzyć się w przyszłości. Ale tylko mogą. Przyszłość nie jest pewna. Wszystko może się zmienić.

Powiedziawszy to, zerkał na mnie, zaciskając zęby, ale trwało to ułamek sekundy i nie miałam pewności, czy mi się to nie przewidziało.

- Co na przykład widzi?

- Zobaczyła Jaspera i wiedziała, że jej szuka, zanim on o tym wiedział. Zobaczyła Carlisle'a i naszą rodzinę i postanowili nas odnaleźć. Jest szczególnie wyczulona na istoty nieludzkie, zawsze, na przykład, kiedy inna grupa pojawia się w okolicy. I czy tamci stanowią jakieś zagrożenie.

- Czy dużo jest takich... jak wy? - Zaskoczyła mnie ta informacja. Ilu też mogło ich żyć wśród ludzi bez bycia zdemaskowanymi?

- Nie, nie. Wiele. Większość nie osiedla się nigdzie na stałe.

Tylko ci, którzy, tak jak my, rezygnowali z polowania na ludzi - Tu Edward spojrzal na mnie badawczo - potrafili z nimi dowolnie długo koegzystować. Natrafiłiśmy tylko na jedną rodzinę podobną do naszej, w pewnej wiosce na Alasce. Mieszkaliśmy nawet przez jakiś czas razem, ale tyłu nas było, że za bardzo rzucaliśmy się w oczy. Ci z nas, którzy zarzucili... pewnie obyczaj, trzymają się zazwyczaj razem.

- A pozostali?

- Najczęściej to nomadowie. Zdarzało się, że i kóreś z nas wędrowało samotnie, ale z czasem, jak zresztą wszystko inne, robi się to nużące. Chcąc nie chcąc musimy na siebie spadać, bo większość preferuje północ. - Dlaczego północ?

Staliśmy już przed moim domem, silnik zamilkł. Było bardzo cicho i ciemno, nie świecił księżyc. Nikt nie zapalił lampy w ganku, miałam, więc pewność, że ojciec nie wrócił jeszcze do domu. - Gdzie miałaś oczy na łące? - zdrwił. - Czy sądzisz, że mógłbyś wyjść na ulicę przy słonecznej pogodzie, nie powodując wypadków samochodowych? Wybraliśmy tę część stanu Waszyngton właśnie dlatego, że to jedno z najbardziej pochmurnych miejsc na świecie. Miło jest móc wyjść z domu w dzień. Nawet nie wiem, jak bardzo można mieć dość nocy po niemal dziewięćdziesięciu latach.

- To stąd wzięty się legendy?

- Prawdopodobnie.

- Czy Alice, tak jak Jasper, była kiedyś członkiem innej rodziny? Nie, i tu jest pies pogrzebany. To dla nas zagadka. Alice nie pamięta w ogóle, żeby była wcześniej człowiekiem. Nie wie też, ko ją stworzył. Gdy się ocknęła, nikogo przy niej nie było. Ktokolwiek to jej zrobił, odszedł w siłą dal. Żadne z nas nie pojmuje, dlaczego nie mógł. Gdyby nie była obdarzona wyjątkowymi siłami, gdyby nie przewidziała, że spotka Jaspera, a potem dołączy do nas, być może skończyłaby jako duża bestia.

Tyle miałam teraz do przemyslenia, tyle nasuwało mi się pytań. Tymczasem, najzwyczajniej w świecie, zaburzało mi w brzuchu. Zawstydziałam się okropnie. Od nadmiaru wrażeń zapominałam o głodzie. Zdałam sobie sprawę, że mogłabym zjeść konia z kopytami.

- Wybac. Pewnie marzysz o kolacji.

- To nic takiego, nie przejmuj się.

- Rzadko, kiedy spędzam tyle czasu z kimś, kto odżywia się w tradycyjny sposób. Wyleciało mi to z głowy.

- Nie chcę się z tobą rozstawać. - Latwiej było mi wyznać to w ciemności, choć wiedziałam, że mój głos i tak zdradzi to, jak bardzo jestem od Edwarda uzależniona.

- Może zaprosisz mnie do środka? - zaproponował.

- A chciałbyś? - Nie umiałam sobie tego wyobrazić: półbóg na odrapanym krześle w kuchni Charliego.

- Jeśli nie masz nic przeciwko.

Ledwie usłyszałam, jak cicho zamyka za sobą drzwiczki auta, a już otwierał przede mną moje.

- Cóż za ludzkie odruchy - pochwilałam.

- Wraca to i owo.

Gdy ruszyliśmy w kierunku domu, co chwila musiałam na niego zerkać, bo stąpał bezszelnie, jakby go wcale nie było przy moim boku. W mroku wyglądał o wiele normalnie. Nadal był bladą, nadal piękny jak marzenie, ale jego skóra nie lśniła już w tak niesamowity sposób.

Dotarł do drzwi pierwszy i otworzył je przede mną. Chciałam już wejść, ale zatrzymałam się na progu.

- Drzwi były otwarte?

- Nie, użylem klucza spod okapu.

Zapałam właśnie w przedsonku lampę na ganku. Odwróciłam się z wyrazem zdziwienia na twarzy. Byłam przekonana, że nigdy nie pokazywałam mu, gdzie chowamy klucz. Byłam ciekawy, jaka jesteś - usprawiedliwił się.

- Podglądałeś mnie? - Jakoś nie umiałam nalezyć się oburzyć, pochlebiało mi jego zainteresowanie.

- Co innego pozostaje do roboty po nocy? - odparł bez cienia skruchy.

Postanowiliśmy na razie nie dazyć z tego tematu i udamy się do kuchni. Edward wyprzedził mnie, nie potrzebując przewodnika, po czym usiadł na tym samym krześle, na którym próbowałam go sobie wcześniej wyobrazić. Jego uroda roźwieciła całe pomieszczenie. Potrzebowałam dłuższej chwili, by być w stanie oderwać od niego wzrok.

Zajęłam się przygotowaniem późnego obiadu. Wyjęłam z lodówki wczorajszą zapiekankę, przełożyłam porcję na talerz i wstawiam do mikrofalówki. Krótko kuchnię wypełnił aromat pomidorów i oregano. Nie spuszczać oczu z obracającego się talerza, spytałam obojętnym tonem:

- Jak często?

- Co, co? - Musiał właśnie rozmyślać, o czym innym.

- Jak często tu przychodzisz? - Nadal stałam odwrócona do Edwarda plecami.

- Niemal każdej nocy. Zaskoczona odwróciłam się.

- Dlaczego?

- Jesteś interesującym obiektem obserwacji - powiedział zupełnie poważnie. - Mówisz przez sen.

- O nie! - jęknęłam, zalewając się rumieńcem. Schwytałam się blatu kuchennego, żeby nie stracić równowagi. Wiedziałam od mamy, że mówię przez sen. Nie sądziłam tylko, że tu, w Forks, będę musiała się tym przejmować.

- Bardzo się gniewasz? - spytał zaniepokojony.

- To zależy! - Byłam zbulwersowana i dało się to wyczuć.

Odczekał chwilę.

- Od czego? - spytał w końcu, nie mogąc się doczekać dalszych wyjaśnień.

- Od tego, co podслуchałeś! - wykrzyknęłam zażenowana.

Nawet nie wiem, kiedy znalazł się u mojego boku. Ostrożnie ujął moje dłonie.

- Nie gniewaj się, proszę.

Pochylił się tak by nie patrzeć na mnie z góry, i zajął mi w twarz. Pocałował się jeszcze bardziej skrępowana, próbowałam odwrócić wzrok.

- Teżniesz za mamą - wyszeptał. - Martwisz się o nią. Kiedy pada, od szumu deszczu rzucasz się w łóżko. Dawniej mówiłaś dużo o domu, ale ostatnio coraz rzadziej. A raz powiedziałaś „TU jest za zielono!”. - Zaśmiał się łagodnie.

Domyślałam się, że sam z siebie nie powie mi wszystkie, obawiając się, że mnie urazi.

- Co jeszcze? - zażądałam. Wiedziałam doskonale, do czego piję.
- No cóż, słyszałem parę razy swoje imię. Westchnęłam pokonana.
- Ile razy? Często?
- Co masz dokładnie na myśli, mówiąc „często”?
- O nie! - Zwiesiłam głowę.

Wziął mnie pod brodę, delikatnie, swobodnie.

- Nie przejmuj się - szepnął mi do ucha. - Gdy bym mógł śnić, śniłbym tylko o tobie. I nie wstydziłbyś się tego.

Naszyci uszu jednocześnie doszedł dźwięk kół hamujących na podjeździe przed domem. W widocznych przedsiönkiem oknach od frontu błysnęły samochodowe światła. Zamarałam w jego ramionach.

- Czy chcesz mnie przedstawić ojcu? - spytał Edward.
- Nie wiem... - Próbowałam zebrać myśli.
- No to innym razem. I już go nie było.
- Edward! - syknęłam.

Zasiał się, ale nie zmaterializował. Charlie przekreślił klucz w zamku.

- Bella? - zawolał. Denerwował mnie tym dawniej - kogo innego mógł się spodziewać? Tymczasem okazało się, że jest ktoś taki. - Tu jestem! - Miałam nadzieję, że nie usłyszysz w moim głosie histerycznej nuty. Wyjęłam swój talerz z mikrofalówki i gdy Charlie wszedł do kuchni, siedziałam już przy stole. Po całym dniu spędzonym z Edwardem jego kroki wydały mi się takie głośne.

- Mnie też odgrzejesz? Padam z nóg. - Oparzył się o krzesło Edwarda, przydepnął sobie czubek jednego z butów, żeby się Charlie niego wyswobodzić, wyjęłam drugą porcję zapiekanki, a jedząc swoją, przy okazji oparzyłam się w język. Wstawiliśmy talerz do mikrofalówki, nalalam dwie szklanki mleka i upiłam spory łyk, żeby złagodzić ból. Dopiero teraz zauważyłam, jak bardzo trzęsą mi się ręce. Charlie usiadł na krześle, o które się wcześniej opierał. Był tak niepodobny do jego poprzedniego użytkownika, że niemal parszłam śmiechem.

- Wielkie dzięki - powiedział, gdy postawiłam przed nim parujący talerz.
- Jak ci miął dzień? - spytałam zniecierpliwiona. Marzyłam o tym, żeby jak najszybciej umknąć do swojego pokoju.
- Fajnie. Ryby brały. A co ty porabiałaś? Załatwiłaś wszystko to, co miałaś w planach?
- Nie za bardzo. Trudno było przy takiej pogodzie usiedzieć w domu.
- Miły dzień.

Miły to mało powiedziane, pomyślałam.

Zjadłam szybko reszkę zapiekanki i dopiłam mleko.

Charlie zaskoczył mnie swoją spostrzegawczością.

- Spieszysz się?
- Tak, jestem jakaś zmęczona. Chcę się dziś wcześniej położyć.
- Wyglądasz na podekscytowaną - zauważył. Boże, czemu akurat dzisiaj postanowił zwracać na mnie uwagę?
- Naprawdę? - wybkąlałam. Czy przedziej rzuciłam się do zlewu, umyć nasze talerze, po czym odłożyłam je do góry dnem na suchej ściereczce.
- Dziś sobota - rzucił Charlie. Nie zareagowałam.
- Nie masz jakichś planów na wieczór?

- Już mówiłam, że chcę iść wcześniej spać.
- Żaden miejscowy chłopak nie przypadł ci do gustu, co? - Był podejrziwy, ale starał się ukryć swoje zaniepokojenie.

- Nie, żaden chłopak jakoś nie wpadł mi w oko. - Z jednej strony, mówiąc „chopak”, nie kłamalam, a chciałam przecież w miarę możliwości być z Charliem szczera, z drugiej strony bałam się jednak, że wymówiłam te słowo ze zbytnią emfazą i ojciec zrozumie jeszcze coś opacznie.

- Miałem nadzieję, że może ten Mike Newton... Mówiłaś, że jest bardzo miły.

- To tylko kolega.

- Ech, i taktujeś nie dorastają ci do pięć. Może lepiej będzie, jeśli poczekasz z tym, aż pójdziesz do college'u. - Każdy ojciec marzy o tym, żeby córka była daleko od domu, zanim zaczną w niej szaleć hormony.

- Popieram - oświadczyłam, zaczynając wchodzić po schodach. Udawałam przy tym, że ze zmęczenia powlokę nogami.

- Dobranoc, skarbie - zawolała za mną. Byłam pewna, że zamierzał nasłuchiwać cały wieczór, czy nie próbuję się potajemnie wyknąć na randkę.

- Dobranoc. - Tak tak Wślizgniesz mi się do pokoju w nocy, sprawdzić, czy aby na pewno leżę w łóżku.

Drzwi od sypialni zamknęłam za sobą na tyle głośno, że usłyszał, a potem natychmiast podbiegłam na palcach do łna. Otworzył wszysy je na oścież, wyjrzałam w mrok przeczesując wzrokiem ciemną ścianę lasu.

- Edward? - szepnęłam, czując się jak kompletna idiotka - Za moich pleców dobiegł słumiony chichot.

- Tu jestem, jestem.

Odwróciłam się na pięcie. Ze zdumienia dłoń sama powędrowała mi pod szyję.

Edward leżał wyciągnięty w swobodnej pozycji na moim łóżku, z rękami pod głową i szerokim uśmiechem na twarzy.

- Ach! - Musiałam przysiąść na podłodze. - Przepraszam. - Zaciśnął usta, próbując ukryć swoje rozbawienie. - Uff. Potrzebuję minutkę, żeby dojechać do siebie. Podniósł się powoli, żeby mnie znów nie wystraszyć, po czym nachylił się, wyciągając ku mnie swoje długie ramiona i podciągał za ręce do góry jak małe dziecko. Takpokierowana, usiadłam koło niego na łóżku.

- Tak lepiej. - Położył swoją chłodną dłoń na mojej. - Jaktam tętno?

- Sam mi powiedz. Jestem pewna, że słyszysz je sto razy lepiej ode mnie.

Zasiał się cicho, ale z taką siłą, że aż się łóżko zatrzęsło.

Siedzieliśmy tak przez chwilę w milczeniu, nasłuchując, jak moje serce się uspokaja. Myślałam, jako wszystko rozegrać z Edwardem w swoim pokoju i Charliem na dole.

- Pozwolisz, że jakiś czas poświęcę prozycznym ludzkom czynnościom?

- Proszę bardzo. - Machnął wolną ręką, by pokazać, że daje mi pełną swobodę.

- Tylko nigdzie nie wychodź - rozkażalam, usiłując zrobić surową minę.

- Tak jest. - Zartując ze mnie, natychmiast zastygł w bezruchu.

Wzięłam piżamę z podłogi i kosmetyczkę z biurka, a wychodząc zgasilałam światło i zamknęłam drzwi.

Z dołu słychać było telewizor. Zatrzasnęłam za sobą głośno drzwi łazienki, żeby Charlie nie przyszedł czasem do mojego pokoju o coś zapytać.

Chciałam uwinąć się jak najszybciej. Umyłam żeby gwałtownymi ruchami i szcotecką, aby utrzymać odpowiednie tempo, a zarazem usunąć wszelkie pozostałości zapiekanki. Pod prysznicem nie mogłam sobie jednak pozwolić na pośpiech. Gorąca woda ukoili nerwy, rozluźniła mięśnie. Znajomy zapach szamponu pozwalał mi przy puszczać, że jestem nadal tą samą osobą, która używała go rano. Staralam się nie myśleć o tym, że Edward czeka na mnie w moim pokoju, bo wówczas musiałabym zacząć cały proces relaksacyjny od początku. W końcu trzeba było zakończyć ablucje. Przyspieszyłam tempo i wytarłszy się ekspresowo, włożyłam piżamę, na którą składały się dziurawy podkoszulek oraz szare

spodnie od dresu. Nie było sensu wyrzucić sobie, że nie wzięłam do Forks tej jedwabnej z Victoria's Secret, prezentu od mamy na piętnaste urodziny. Leżała teraz w jakiejś szufladzie w Phoenix, z nienaruszonymi metkami.

Kiedy już wysuszyłam i wyszczotkowałam pobieżnie włosy, cisnęłam ręcznik do kosza na brudy, a szcotekę i szcoteckę schowałam do kosmetyczki. Gotowe. Popędziłam jeszcze na dół, żeby pokazać Charliemu, że jestem w piżamie i mam wilgotne włosy.

- Dobranoc, tato.

- Dobranoc, Bello. - Wyglądał na zaskoczonego moim wyglądem i strojem. Miałam nadzieję, że uwierzy, iż nigdzie się nie wybieram i nie złoży mi w nocy niespodziewanej wizyty.

Biegnaąc na górę, choć starałam się nie robić hałasu, brałam po dwa stopnie, a wpadłszy do swojego pokoju, zamknęłam jak najszybciej drzwi. Podczas mojej nieobecności Edward nie poruszył się ani o centymetr. Przypominał posąg Adonisa, który przycupnął na mojej wyblakłej kapie. Kiedy uśmiechnęłam się na jego widok wargi rzeźby zadrgały, nagle ożyły.

Edward zlustrował mnie wzrokiem, po czym uniósł jedną brew.

- Ładnie ci tak. Skrzywiłam się.

- Naprawdę, nie kłamię.

- Dzięki - szepnęłam. Usiadłam obok niego na łóżku po turecku i zaczęłam przyglądać się szparom w drewnianej podłodze.

----

- Po co to całe przedstawienie?

- Charlie myśli, że mam zamiar wyknąć się na randkę.

- Ach tak - Zamyslił się na chwilę. - Skąd ten pomysł? - Jakby nie wiedział lepiej ode mnie, co ojcu właśnie chodziło po głowie. - Najwyraźniej wydałam mu się nieco zbyt podekscytowana. Edward wziął mnie pod brodę i przyjrzał mi się uważnie.

- Cóż z pewnością wyglądasz na rozgrzaną po prysznicu.

Pochylił się ostrożnie i przyłożył swój chłodny policzek do mojego. Zamarałam. Edward zaczerpnął powietrza.

- Mmm... - westchnął, rozkoszując się moim zapachem.

Oszolomiona jego dotykem nie mogłam zebrać myśli. Sformułowanie jednego zdania zabrało mi dobrą minutę.

- Mam wrażenie, że coraz łatwiej ci ze mną przebywać.

- Tak sądzisz? - zamruczał, sunąc nosem do góry. Pocażulam, że ruchem delikatniejszym od skrzydła śmy odgarnia do tyłu moje wilgotne włosy, by móc dotknąć ustami wgłębienia pod moim uchem.

- O wiele łatwiej. - Usiłowalam oddychać równomiernie.

- Hm.

- I jestem ciekawa... - Przerwałam, tracąc watek, bo Edward przesunął pieszczotliwie palce wzduż linii mojego obojczyka.

- Czego jesteś ciekawa? - wyszeptał.

- Tego, skąd ta zmiana. - Głos mi zadrdzał i zawstydziłam się, że nie panuję nad sobą.

- Siła woli - parszkał. Pocażulam na szyi jego chłodny oddech, zaczęłam się odsuwać. Edward zastygł w miejscu, wstrzymując oddech. Przez chwilę mierzyliśmy się wzrokiem, aż wreszcie rozluźnił zacisnięte szczękły i zrobił niepewną minę.

- Zrobiłem coś nic tak?

- Nie, wręcz przeciwnie. Doprowadzasz mnie do szałuństwa.

- Hm. - Zamyslił się. - Naprawdę? - dodał głosem pełnym samozadowolenia. Na jego twarzy pojawił się triumfalny uśmiech.

- Mam może bić brawo? - spytałam z sarkazmem.

Puścił do mnie perskie oko.

- Jestem po prostu miłe zaskoczony - wyjaśnił. - Tyle lat już żyję. Nigdy nie wierzyłem, że coś takiego mi się przytrafi. Ze kiedykolwiek spotkam kogoś, z kim będę chciał być, a nie tylko bywać, tak jak z moim rodzeństwem. A potem jeszcze okazuje się, że choć wszystko to jest dla mnie nowe, radzę sobie z tym... byciem z tobą całkiem dobrze.

- Jesteś dobry we wszystkim - stwierdziłam.

Edward wzruszył ramionami, nie chcąc się kłócić. Oboje śmiaaliśmy się cicho.

- Ale dlaczego teraz ci łatwiej? - naciskałam. - Dziś po południu...

- To wcale nie takie łatwe - westchnął. - A dżś po południu... byłem jeszcze... niezdedydowany. Wybacz, to niewybaczalne, że się tak zachowałem.

- Niewybaczalne?

- Dziękuję za wyrozumiałość. - Uśmiechnął się. - Widzisz - ciągnął ze wzrokiem wbitym w kapę - nie miałem pewności, czy jestem w stanie dostatecznie się kontrolować... - Podniósł moją dłoń i przyłożył sobie do policzka. - Cały

czas istniała możliwość... że dam się porwać... pragnieniu. - Upajał się zapachem mojego nadgarstka. - Cały czas byłem... podatny. Póki nie zdalem sobie sprawy, że mam w sobie jednak dość siły, nie wierzyłem ani trochę, że ty... że my... że kiedykolwiek będę mógł...

- Po raz pierwszy w mojej obecności brakowało mi słów. Było to takie... ludzkie.

- A teraz już wierzysz?

- Siła woli - powtórzył, błyskając w ciemności zębami.

- Kurczę, poszło jak z płatka.

Odrzucił głowę do tyłu, śmiejąc się bezgłośnie.

- Chyba tobie - stwierdził, muskając mi czubek nosa opuszką palca.

A potem nagle spowaźniał.

- Robię, co w mojej mocy - wyszeptał. Głos miał przepojony bólem. - Jestem prawie stuprocentowo pewny, że w razie czego będę w stanie szybko stąd uciec.

Skrzywiłam się. Nie chciałam nawet myśleć o tym, że mamy się dziś rozstać.

- Jutro będzie mi znowu trudniej - zdradził. - Dziś, po całym dniu przebywania z tobą, zobojętniałam na twój zapach w zadziwiający stopniu, ale po kilku godzinach rozłąki będę musiał zaczynać wszystko od początku. No, może niezupełnie od samego początku.

- No to nie odchódź - poprosiłam, nie potrafiając ukryć, jak bardzo o tym marzę.

- Chętnie zostanę - uśmiechnął się delikatnie. - Przy niekajdany, o pani. Jam więziem twego serca. - Ale mówiąc te słowa, sam zacisnął dłoń na mych nadgarstkach. I zaśmiał się, cicho, melodyjnie. Tego wieczora zaśmiał się już więcej razy niż przez całą naszą znajomość.

- Jesteś dziś taki wesoły - zauważyłam. - Nigdy cię jeszcze takim nie widziałam.

- Chyba tak ma być, prawda? - Znow się uśmiechnął. - Pierwsza miłość odurza, upaja i takie tam. To niesamowite, jak wielka jest różnica pomiędzy czytaniem o czymś, oglądaniem o tym filmów, a doświadczeniem tego czegoś w prawdziwym życiu, nie uważasz?

- Różnica jest ogromna - przyznałam. - Nie wyobrażalam sobie, że uczucia potrafią być tak silne.

- Na przykład zazdrość - rozgała się tak bardzo, że z trudem za nim nadążalam. - Czytałam o niej setki razy, widziałem odgrYWających ją aktorów na scenie i na ekranie. Myślałam, że wiem, jak to mniej więcej jest. Byłem taki zaskoczony... - Pokręcił głową. - Pamiętasz ten dzień, w którym Mike zaprosił cię na bal?

Pamiętałam, ale z innego powodu.

- To wtedy znow zacząłeś ze mną rozmawiać.

- Poczułem taki gniew, niemalże wpadłem w furie. Z początku nie wiedziałem, co się ze mną dzieje. To, że nie słyszę twoich myśli, denerwowało mnie jeszcze bardziej niż zwykle. Dlaczego mu odmówiłaś? Czy tylko dla dobra koleżanki? Czy już kogoś masz? Zdawałem sobie sprawę, że nie powinno mnie to obchodzić. Starałem się tym nie przejmować. A potem ta kolejka na parking... - Zachichotał. - Zrobiłam obrazoną minę.

- Zablokowałem wyjazd, bo nie mogłem się opanować. Musiałem usłyszeć twoją odpowiedź, zobaczyć twoją minę. Nie mogę zaprzeczyć - poczułem ulgę, widząc, jak bardzo Tyler cię drażni. Ale nadal nie miałem pewności.

- Tej nocy przyśzedłem tu po raz pierwszy. Przyglądałem się jak śpisz, walcząc z myślami. Z jednej strony wiedziałem, co powinienem zrobić, co jest etyczne, rozsądne, właściwe. Z drugiej strony było to, co zrobić chciałem. Mógłbym cię ignorować, mógłbym zniknąć na kilka lat i wrócić po twoim wyjeździe, ale wówczas, pewnego dnia, przyląbyłabyś w końcu zaproszenie Mike'a czy kogoś jego pokroju. Ta myśl doprowadzała mnie do szału.

- A potem - wyszeptał - powiedziałas przez sen moje imię. Tak wyraźnie, że pomyślałem najpierw, iż się obudziłaś. Przewróciłaś się jednak tylko na drugi bok, wymamrotałaś moje imię jeszcze raz i westchnęłaś. Zalala mnie fala... sam nie wiem czego. To było niesamowite uczucie. Odtąd wiedziałem, że muszę zacząć działać. - Zamilkł, zapewne wsłuchany w bicie mojego serca, które niespodziewanie przyspieszyło.

- Ech, zazdrość to dziwna rzecz. Nie sądziłem, że potrafi być tak silna. I taka irracjonalna! Choćby przed chwilą, kiedy Charlie spytał cię o tego przebrzydłego Newtona... Uch! - prychnął rozłozoszony.

- Powinnam była się domyślić, że będziesz podслуchiwał - jęknęłam.

- Oczywiście, że słuchałem.

- I naprawdę ta wzmianka o Mike'u wywołała u ciebie zazdrość?

- Dopiero przy tobie zaczęły się we mnie odzywać człowiecze odruchy.

To dla mnie zupełna nowość, więc wszystko odczuwam bardziej intensywnie.

- Że też przejąłeś się czymś takim - powiedziałam, chcąc się Bardziej nim podroczyć. - A co ja mam powiedzieć? Mieszkaasz pod jednym dachem z Rosalie, tą ołsniewajaco piękną Rosalie. Sprowadzono ją specjalnie dla ciebie. Jest wprawdzie Emmett, ale mimo to jak mogę z nią konkurować?

- O konkurencji nie ma mowy. - Edward uśmiechnął się szeroko i owiął sobie moje ręce wokół pleców, tak, że byłam teraz przytulona do jego torsu. Starałam się siedzieć nieruchomo, a nawet oddychać ostrożniej.

- Dobrze to tym wiem - wymamrotałam, niemal całując przy tym jego chłodną skórę. - I w tym cały problem.

- Nie zaprzeczam, Rosalie jest na swój sposób piękna, ale nawet gdybym nie traktował jej od lat jak siostry, nawet gdyby nie znalazła Emmetta, nigdy nic byłaby dla mnie choćby w jednej dziesiątej, ba, w jednej setnej, równie atrakcyjna co ty. - Po namyśle dodał z powagą: - Przez niemal dziewięćdziesiąt lat napotykałem na swej drodze i twoich, i moich pobratymców, cały ten czas uważając, że dobrze mi samemu, cały ten czas niewiedomy, że kogoś szukam. A i nikogo nie znalazłem, bo ciebie jeszcze nie było na świecie.

- To nie fair - szepnęłam, półleżąc z głową na jego piersi, wsłuchana w rytm jego oddechu. - Ja nie czekałam wcale. Skąd takie fedy?

- Ręcezyście - przyznał mi rację rozbawiony. - Powiniennem był coś wymyślić, żebyś bardziej się nacierpiiała. - Puścił jeden z moich nadgarstków, choć zaraz chwycił go drugą ręką, a uwolnioną dłonią poglaskał mnie po włosach, od czubka głowy po talię. - Przebywając ze mną, w każdej sekundzie ryzykujesz życie, ale to przecież drobnostka. No i do tego jesteś zmuszona wyrzec się własnej natury, unikać ludzi... Czy to nie wysoka cena?

- Nie. Nie mam wrazenia, że coś mnie omija.

- Jeszcze nie. - Głos Edwarda przesycony był starczy m żalem.

Próbowałam się wyprostować, żeby spojrzeć mu w twarz, ale trzy mał moje dlonie w żelazny uścisku.

- Co... - zaczęłam, ale drgnął czymś zaalarmowany. Zamarłam, a nagle już go nie było. Omal nie padłam na twarz.

- Kładź się! - syknęło gdzieś w ciemnościach.

Natychmiast posłusznie wczłogałam się pod kołdrę, przyjęłam typową dla siebie skłoną pozycję. Zaraz potem usłyszałam jak uchylają się drzwi. To Charlie przyszedł sprawdzić, czy jestem ta gdzie być chciałam. Starałam się oddychać miarowo, może nawet zbyt miarowo, markując głęboki sen.

Każda sekunda wydawała się godziną. Nasłuchiwałam, ale nie miałam pewności, czy drzwi już się zamknęły. Zniemacka pod kołdrą pojawił się Edward. Objąwszy mnie ramieniem, szepnął mi do ucha:

- Nędzna z ciebie aktorka. Radziłbym zapomnieć o karierze filmowej.

- Zwariowałeś? - wymamrotałam. Serce znow biło mi jakszalone.

Edward zaczął nucić jakąś nieznaną mi melodię. Brzmiała jak kołyśnianka.

Po jakimś czasie przerwał.

- Chcesz, żeby m cię uspił w ten sposób?

- Świetny dowcip. Myślisz, że jestem w stanie spać tak z tobą przy boku?

- Do tej pory ci się udawało - zauważył.

- Bo nie wiedziałam o twojej obecności - przypomniałam m cierpkó.

Puścił tę uwagę mimo uszu.

- No cóż, jeśli nie chce ci się spać... Boże święty, pomyślałam.

- Jeśli nie chce mi się spać, to co?

- Zachichotał.

- To na co miała być ochotę?

Z początku nie mogłam wyduścić z siebie ani słowa.

- Czy ja wiem... - wybałałam w końcu.

- Daj mi znać, gdy się na coś zdecydujesz.

Czułam jego chłodny oddech na szyi. Sunął nosem po moim larku, głęboko się zaciągając.

- Mówiłeś, że po całym dniu zobojętniałeś. - To że nie piję wina - oświadczyłam - nie znaczy jeszcze, że nie mogę upajać się jego bukieciem. Pachniez tak kwiatowo, lawendą... albo frezją. Aż slinka nabiega do ust.

- Tak wiem. Ludzie w kółko mi to mówią. Znow zachichotał, a potem westchnął.

- Już wiem, co chcę robić - powiedziałam. - Chcę się dowiedzieć czegoś więcej o tobie.

- Możesz pytać o wszystko.

Pytań miałam wiele, musiałam więc zastanowić się, które są najważniejsze.

- Dlaczego robisz to wszystko? Nadal nie pojmuję, po co tak bardzo walczysz ze swoją naturą. Proszę, nie zrzuć na wzmocnienie moich pobratymców jest zupełnie zadowolona ze swojego... trybu życia. Oni też zachodzą w głowę, po co moja rodzina się ogranicza. Ale zrozum, to, że jesteśmy, kim jesteśmy, nie znaczy, że nie wolno nam próbować być lepszymi, że nie wolno nam próbować zmierzyć się z przeznaczeniem, które zostało nam narzucone. Pragniemy pozostać jak najbardziej ludzcy.

Leżałam w bezruchu, nieco oszozolona tym wyznaniem.

- Śpisz? - wyszeptał po paru minutach.

- Nie.

- Czy to już wszystko?

- Skąd - zachnęłam się.

- Co jeszcze chciałabyś wiedzieć?

- Dlaczego potrafisz czytać w myślach? Dlaczego Alice jest jasnowidzem... Skąd to się bierze?

Poczułam, że wzruszył ramionami.

- Nie wiemy dokładnie. Carlisle ma pewną teorię... Wierzy, że z poprzedniego życia zostały nam najsilniejsze cechy naszej ludzkiej osobowości, tyle że wzmocnione, podobnie jak nasze umysły i zmysły. Uważa, że już wcześniej musialem być wrażliwy na to, co myślałam i znajdowała się wokół mnie. A Alice cokolwiek by przedtem nie robiła, miała wyjątkowo dobrze wyształconą intuicję.

- A co on wnioś ze sobą do nowego życia? I pozostali?

- Carlisle współpracuje, Esmee wielkie serce, Emmett siłę, Rosalie wytrwałość, choć w jej przypadku to raczej ośli upór. - Edward po raz kolejny zachichotał. - Jasper... Hm, Jasper to bardzo cielawa postać. W poprzednim życiu był dość charyzmatyczny, zdolny wywierać duży wpływ na otoczenie, tak by wszystko potoczyło się po jego myśli. Teraz potrafi manipulować emocjami innych, na przykład uspokoić gniewny tłum i na odwrót. To bardzo subtelna umiejętność.

Wszystko to wydało mi się takie nieprawdopodobne, że na chwilę pograżałam się w rozmyślniach. Edward czekał cierpliwie.

- To jak... jak się to wszystko zaczęło? No wiesz, Carlisle zmienił ciebie, ktoś musiał zmienić go wcześniej, i tak dalej.

- A ty, skąd się wzięłaś? W wyniku ewolucji? Bóg cię stworzył? Powstałaś wie i my, jak w całym świecie zwierząt - jest drapieżnik, jest i ofiara. Jeśli nie wierzyysz, że to wszystko to powstało samo z siebie, co i mnie trudno przyjąć do wiadomości, czy tak trudno pogodzić się z faktem, że ta sama siła, dzięki której istnieje zarówno rekłn, jaki delikatny skalar, drapieżna orka, jaki mała słodka foczka, że ta sama siła stworzyła oba nasze gatunki?

- Czyli, o ile dobrze rozumiem, jestem małą słodką foczkątak?

- Zgadza się - Zaśmiał się i coś, chyba jego wargi, dotknęło moich włosów. Chciałam się obrócić, żeby się upewnić, ale powstrzymałam się - obiecałam, że będę grzeczna. Znacznie trudniej byłoby mu się wtedy kontrolować.

- Będziesz już zasypiać, czy masz więcej pytań? - Głos Edwarda przerwał ciszę.

- Ach, ty lko parę milionów.

- Będzie jeszcze jutro i pojutrze, i pojoputrze - przypomniał. Uśmiechnęłam się szeroko na samą myśl o tym.

- Jesteś pewien, że nie znikniesz o świcie, gdy kur zapieje?

- Nie opuszczę cię - powiedział podniosłym głosem.  
- No to mam jeszcze tylko jedno życzenie na dzisiaj... - Zarumieniłam się. Ciemność na nic się tu nie zdawała - Edward na pewno wyczuł zmianę w ciepłocie mojej skóry.  
- Jakże?  
- Nie, nic. Zmieniłam zdanie. Zapomnijmy o tym.  
- Bello, możesz pytać mnie o wszystko. Milczałam. Edward jęknął.  
- Ciągle się łudzę, że z czasem przywyknę do tego, że nie słyszę twoich myśli, a tymczasem coraz bardziej mnie to irytuje.  
- Dzięki Bogu, że tego nie potrafisz. Starczy, że podsluchujesz, co wygaduję przez sen. - - Proszę. - Jego głosowi tak trudno było się oprzeć...  
Pokręciłam głową.  
- Jeśli mi nic powiesz - postraszył - uznam niesłusznie, że masz na myśli coś wyjątkowo paskudnego. Proszę - dodał błagalnym tonem.  
- No cóż - zaczęłam, zadowolona, że nie widzi mojego wyrazu twarzy.  
- Tak?  
- Wspominałeś, że Rosalie i Emmett niedługo się pobiorą.  
Czy... małżeństwo... polega u was na tym samym, co u ludzi?  
Zrozumiał, o co mi chodzi, i wybuchnął śmiechem.  
- Do tego pijesz!  
Poruszyłam się nerwowo, skrępowana.  
- Tak w dużej mierze tak - powiedział. - Już ci mówiłem, kryje się w nas większość ludzkich odruchów i pragnień, są one tylko przesłonięte tymi silniejszymi, nowymi.  
- Och. - Tylko tyle byłam w stanie z siebie wydusić.  
- Czy za twoją ciekawością stoją jakieś konkretne plany?  
- No wiesz, nie powiem, zastanawiałam się, czy ty i ja kiedyś...  
Spowaźniał raptownie. Wyczułam to, ponieważ napiął wszystkie mięśnie. I ja zamarłam odruchowo.  
- Nie sądzę... żeby... żeby... żeby było to dla nas możliwe.  
- Bo ciężko by ci było się kontrolować, gdy byśmy... gdy bym była zbyt... blisko?  
- Z pewnością byłby to spory kłopot, ale to nie wszystko. Jesteś taka... miękka, taka delikatna - mrucał mi słodko do ucha. - Cały czas muszę się mieć na baczności, żebyś nie odniosła jakichś obrażeń. Bello, przecież ja mógłbym cię nawet niechcący zabić! Gdybym na moment stał się zbyt popędliwy, gdybym, choć na sekundę się rozproszył... Wyciągnąłby m dłoń, by cię pogłaskać, i przez przypadek wgniółby mi ci ją może w czaszkę. Nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo jesteś krucha. Nigdy nie będę mógł sobie pozwolić na to, by w twojej obecności się zapomnieć.  
Czekał na to, co powiem, coraz bardziej zaniepokojony moim milczeniem.  
- Przestraszyłem cię? - zapytał w końcu.  
Odczekałam jeszcze minutę, aby móc odpowiedzieć z ręką na sercu.  
- Nie, wszystko w porządku.  
Widać było, że rozważa coś przez chwilę.  
- Skoro już jesteśmy przy temacie - odezwał się, na powrót rozluźniony - nasunęło mi się jedno pytanie. Przepraszam, jeśli jestem zbyt wścibski, ale czy ty, kiedykolwiek... - Celowo nie skończył.  
- Oczywiście, że nie. - Spasowiałam. - Już ci mówiłam, że do nikogo nigdy czegoś takiego nie czułam, nawet odrobinkę.  
- Pamiętam, ale mając wgląd w ludzkie myśli, wiem też, że poządanie zawsze idzie w parze z miłością.  
- U mnie idzie. A przynajmniej teraz, gdy wreszcie je poznałam.  
- To miło - ucieszył się. - Przynajmniej to jedno mamy wspólne. A co do twoich ludzkich odruchów... - zaczęłam. Czekał cierpliwie.  
- Czy ja w ogóle cię pociągam, tak normalnie?  
Zaśmiał się i pieszczotliwie zmierzwił mi włosy na głowie.  
- Może nie jestem człowiekiem, ale wciąż jestem mężczyzną - zapewnił mnie. Mimowolnie ziewnęłam.  
- Odpowiedziałem na twoje pytania - rzekł stanowczym tonem - teraz czas na sen.  
- Nie jestem pewna, czy uda mi się zasnąć.  
- Mam sobie iść?  
- Nie, nie! - odpowiedziałam gwałtownie.  
Edward zaśmiał się i zaczął nucić tę samą melodię co wcześniej, ową nieznaną mi koły sankę. Anielski głos pieścił moje uszy.  
Wyczerpana długim, pełnym wrażeń dniem i emocjami, których nie doznałam nigdy wcześniej, zasnęłam kamiennym snem w jego chłodnych ramionach.

Obudziło mnie matowe światło kolejnego, pochmurnego dnia. Byłam wciąż półprzytomna, ręką przesłaniałam oczy. Coś, jakiś sen nieskory odejść w niepamięć, próbowało mozolnie przebić się do mojej świadomości. Z jękiem przewróciłam się na drugi bok, mając nadzieję, że uda mi się jeszcze zdrzemnąć. I wtedy przypomniały mi się wydarzenia minionego dnia.

- Ach! - Podniosłam się na łóżku tak szybko, że zakręciło mi się w głowie.
- Twoja fryzura przypomina stóg siana, ale i tak mi się podoba - dobiegło z bujanego fotela w kącie.
- Edward! Zostaleś! - zawołałam uradowana. Bez namysłu przebiegłam przez pokój i usiadłam mu na kolanach. Nagle moje myśli dogoniły czynny. Zastygłam w bezruchu, zszokowana i niekontrolowanym wybuchem entuzjazmu.

Spojrzalam na Edwarda, bojąc się, że przesadziłam.

- Śmiał się tylko.
- Oczywiście, że zostałam - odpowiedział. Trochę go zaskoczyłam, ale wydawał się zadowolony, że tak zareagowałam. Głaskał mnie po plecach.
- Położyłam mu ostrożnie głowę na ramieniu, wdychając cudowną woń jego skóry.
- Myślałam, że to wszystko mi się tylko śniło.
- Nie masz tak bogatej wyobraźni - zażartował.
- Charlie! - Znow się zapomniałam, podskoczyłam i rzuciłam do drzwi.
- Wyjechał godzinę temu. Mogę też poświadczyć, że wpięram podłączył ci na powrót akumulator. Muszę przyznać, że się rozczarowałam. Czy naprawdę powstrzymałby cię byle awaria samochodu?
- Stałam wciąż przy drzwiach. Korciło mnie, żeby wrócić do Edwarda, ale przypomniało mi się, że nie myślałam jeszcze zębów po nocy.
- Zazwyczaj nie jesteś rano taka skołowana - zauważył, wyciągając ku mnie ręce w zapraszającym geście.
- Ludzkie potrzeby wzywają mnie do łaźni - wyznałam.
- Idź, idź. Zaczekałam.

Wypadłam z pokoju w podskokach. Nie wiedziałam, co się mną dzieje. Nie rozpoznawałam ani swoich uczuć, ani odbicia w lustrze. Oczy miałam błyszczące, a skórę na kościach policzkowych usianą czerwonymi plamkami. Umywszy zęby, doprowadziłam do porządku swoje włosy, a następnie spryskałam twarz zimną wodą, usiłując się uspokoić. Na próżno. Do sypialni wróciłam biegiem.

- Trudno mi było uwierzyć w to, że Edward nadal jest w pokoju i czeka na mnie z otwartymi ramionami. Gdy tylko go zobaczyłam wróciły palpacje.
- Witaj - zamruczał, przyciągając mnie do siebie. Kołysał mnie przez chwilę w milczeniu. Dopiero teraz zauważyłam, że jest inaczej ubrany i ma starannie przyczesane włosy.
- A jednak opuściłeś posterunek? - spytałam retorycznie oskarżycielskim tonem, dotykając kołnierzyka jego świeżej koszuli.
- Jak mógłbym wyjść rano w tym samym ubraniu, w którym wszedłem wczoraj? Co by sąsiedzi powiedzieli?

Wywróciłam oczami.

- Spałaś mocno, nic nie przeżępiłam. - Uśmiechnął się łobuzersko. - Rozmowna byłaś wcześniej.
- O nie! Co znowu wygadywałam? Spojrzal na mnie z czułością.
- Powiedziałaś, że mnie kochasz
- To już wiesz - przypomniałam mu, spuszczać wzrok - Ale zawsze miło usłyszeć.
- Wtulilaś twarz w jego ramię.
- Kocham cię - szepnęłam.
- Jesteś całym moim życiem.

Nie trzeba było nic dodawać. Na dłuższą chwilę zapadła cisza. Kołysaliśmy się miarowo, a za oknem robiło się coraz jaśniej.

Wyraźnie zbilam na śniadanie - oświadczył Edward znięta. Chciał mi zapewne udowodnić, że tym razem pamięta o wszystkich moich ludzkich potrzebach. Podniosłam dłoń do gardła i spojrzalam na niego z przerażeniem w oczach.

- Żartuję - prychnęłam. - A twierdziłeś, że kiepska ze mnie aktorka!
- Skrzywił się.
- To nie było zabawne.
- To było bardzo zabawne i dobrze o tym wiesz - powiedziała, ale przyjrzałam się uważnie jego złotym oczom, żeby upewnić się, czy mi wybaczył. Chyba wybaczył.
- Mam to sformułować inaczej? - spytał. - Proszę bardzo czas, żebyś zjadła śniadanie.
- Okej.

Przerzucił mi ramię przez ramię, delikatnie, ale i tak zapierającą mi dech w piersiach zęczością. Zniósł mnie po schodach ignorując moje protesty, a w kuchni posadził bezceremonialnie na krześle.

Wszystkie ściany i szafki błyszczwały wesoło, jakby mój nastrój udzielał się nawet rzeczom martwym.

- Co na śniadanie? - zapytałam uradowana.
- Hm... - Znow zbilam go z pantylaka. - Czy ja wiem... A na co masz ochotę?
- Podniosłam się z miejsca z szerokim uśmiechem na twarzy.
- Już dobrze, sama świetnie sobie poradzę. Ty patrz, a ja rozumiem na małe polowanie.
- Czując, że Edward nie spuszcza mnie z oczu ani na moment, przygotowałam dla siebie misę płatków z mlekiem. Już miałam usiąść, ale się zahęłam.
- Może coś ci podać? - Nie chciałam być niegościnna. Rzucił mi pobłażliwe spojrzenie.
- Po prostu jedz. Bello.

Gdy wcinałam płatk, przyglądał mi się uważnie. Nieco mnie krępowało. Chrzękałam znacząco.

- Jakie mamy plany na dzisiaj?
- Hm... - Zastanowił się, jak mi to zaproponować. - Co powiesz na spotkanie z moją rodziną?
- Przełknęłam głośno ślinę.
- Boisz się? - Spytał z nadzieją.
- Tak - przyznałam. Klamstwo nie miało sensu - i tak odczytałby prawdę z moich oczu.
- Nie martw się. - Uśmiechnął się krzywo. - Ze mną będziesz bezpieczna.

Nie ich się boję - wyjaśniłam - tylko tego, że nie przypadnę im do gustu. Będą chyba, hm, zaskoczeni, jeśli przy prowadzisz kogoś takiego jak ja. Czy wiedzą, że znam ich sekret?

Wiedzą o wszystkim. - Uśmiechnął się, ale w jego głosie slychać było niechęć. - Wczoraj nawet zakładali się o to, czy mi się uda. Nie wiedzieć, czemu, żadne, oprócz Alice, nie dawało mi szans. Ha! Tak czy siak, w rodzinie nie mamy przed sobą tajemnic. Trudno by było inaczej, skoro ja czytam w myślach, a Alice przewiduje przyszłość.

- Tak, a Jasper owija cię sobie wokół palca tak, że nawet nie wiesz, kiedy zaczęło się zwierzać.
- Pamiętasz - pochwalili.
- Od czasu do czasu coś mi zostaje w głowie - stwierdziłam z lekkim sarkazmem. - To Alice miała wizję, z której wynikało, że jednak złoże wam nazajutrz wizytę?

Edward zareagował dziwnie.

- Coś w tym rodzaju - bąknął, odwracając twarz. Przyglądałam mu się z ciekawością.
- Dobre to chociaż? - spytał po chwili, zerkać na moje śniadanie. - Nie wygląda zachęcająco.
- Cóż, nie jest to rozdrażniony grizyli... - Spojrzal na mnie spode łba, ale go zignorowałam. Przez resztę posiłku zachodziłam w głowę, czemu tak dziwnie się zachował. Tymczasem Edward stał na środku kuchni, wyglądając bez

specjalnego zainteresowania przez okna. Znow przypomniał posąg Adonisa.

Nagle przeniósł wzrok na mnie i uśmiechnął się tak, jak lubiłam najbardziej.

- Sądzę, że ty też powinnaś przedstawić mnie swojemu ojcu.
- Już cię zna.
- Chodzi mi o to, że powinnaś uświadomić go, że jestem twoim chłopakiem.
- Dlaczego? - Zrobiłam się podejrziwa.
- Tak się chyba robi, nieprawda? - spytał niewinnie.
- Nie mam pojęcia - przyznałam szczerze. Zupełnie nie miałam doświadczenia w tych sprawach. Poza tym trudno było nas nazwać przeciętną parą, którą obowiązują te same zasady, co wszystkich. - Można by się bez tego obejść. Nie oczekuj... To znaczy, nie musisz dla mnie udawać.
- Niczego nie udaję - odpowiedział spokojnie.

Zaczęłam gmerać nerwowo w misce.

- Zamierzasz powiedzieć Charliemu, że jestem twoim chłopakiem, czy nie?
- A jesteś? - Wzdrygałam się na samą myśl o tym, że Charlie i Edward mogliby znaleźć się w tym samym pokoju i miałoby jednocześnie paść słowo „chłopak”.
- Cóż, przynajmniej, w moim przypadku to określenie jest nieco naciągane.
- Odniosłam wrażenie, że jesteś kimś więcej - zwierzyłam się, wpatrując w blat.
- Ale zgodzisz się chyba, że możemy zataić przed Charliem tę radosną nowinę. - Pochylił się nad stołem i wziął mnie pod brodę. - Niemniej twój ojciec będzie musiał się dowiedzieć, dlaczego ciągle kręcę się wokół jego córki. Nie

chcę, żeby komendant Swan nałożył na mnie zakaz zbliżania się do ciebie.

- Naprawdę będziesz się przy mnie kręcił? - spytałam, bo nagle zrobiłam się niespokojna. - Będziesz przy mnie?
- Jak długo zechcesz - zapewnił mnie Edward.
- Jak najdłużej. Już zawsze.

Podszedł do mnie powoli z nieodgadnionym wyrazem twarzy i przyłożył opuszczyć palców do mojego policzka.

- Zasmucilaś cię?
- Nie odpowiedział. Przez dłuższą chwilę zaglądał mi tylko głęboko w oczy.
- Skończyłaś już? - spytał znięta.
- Tak - Zerwałam się.

No to biegnij się ubrać. Poczekałam tu na ciebie.

Z powrotem w sypialni wpatrywałam się długo w garderobę, nie wiedząc, na co się zdecydować. Wątpiłam w istnienie jakichkolwiek poradników dotyczących etykiety, w których tłumaczono by, jaki strój jest odpowiedni na pierwszą wizytę w rodzinnym domu ukochanego, jeśli takowy jest akurat wampirem. Ucieszyłam się, że choć w myślach odważyłam się wreszcie użyć tego słowa. Zdawałam sobie sprawę z tego, że świadomie go unikam.

W końcu wybór padł na moją jedyną spódnicę - długą, w kolorze kłaki, o sportowym kroju. Założyłam też ciemnoniebieską bluzkę z dekoltem, w której, jak stwierdził Edward we wtorek, ślicznie wyglądam. Zerknąwszy w lustro, upewniłam się, że moja fryzura pozostawia wiele do życzenia, więc związałam włosy w koński ogon.

- Jest dobrze - mrugnęłam do siebie, zbiegając po schodach. - Nic zbytnio uwodzicielskiego.
- Nie spodziewałam się, że Edward czeka w przedsiłoni, i wpadłam na niego z impetem. Pomógł mi złapać równowagę, przytrzymał chwilę na wyciągnięcie ręki, a potem przyciągnął do siebie.
- Mylisz się - zamruczał mi do ucha. - Wyglądasz bardzo uwodzicielsko. Tak kusząco... Nie, to nie fair.
- Jak bardzo kusząco? - spytałam. - Mogę się przebrać. Westchnął i pokręcił głową.
- Nie bądź niemądra.



Pocałował mnie delikatnie w czoło. Woń jego oddechu nie powalała mi się skupi, ściany pomieszczenia zaczęły wyoźrować.

- Czy mam wyjaśnić, jak bardzo jesteś kusząca? - Było to najwyraźniej pytanie czysto retoryczne. Z dłońmi przyciśniętymi do jego torsu czekałam, co będzie dalej. Palce Edwarda sunęły w dół po moich plecach, a oddech przy spieszył. Znow zaczęło kręcić mi się w głowie. On tymczasem pochylił się i wolno, ostrożnie, po raz drugi złożył na mych ustach pocałunek. Moje wargi rozwarły się odrobinkę... A potem była już tylko ciemność.

- Bello? - Edward tulił mnie mocno do siebie, żeby mi upadła. Słychać było, że się o mnie bdoi.
  - Zemdlałam... Przez ciebie - oskarżyłam go słabym głosem.
  - I co ja mam z tobą począć, dziewczyno? - jęknął. - Kiedy pocałowałem cię wczoraj, rzuciłaś się na mnie, a dziś straciłaś przytomność!
- Zaśmiałam się cicho. Nie doszłam jeszcze zupełnie do siebie.
- A niby jestem we wszystkim dobry - westchnął.
  - W tym cały problem. Jesteś za dobry. O wiele za dobry.
  - Mdlí cię? - spytał. Widział już mnie w tym stanie.
  - Nie, to było coś zupełnie innego. Nie wiem, co się stało. Wydaje mi się, że zapomniałam o oddychaniu.
  - Lepiej będzie, jeśli zostaniesz jednak w domu.
  - Nic mi nie jest. Zresztą, co za różnica. Twoja rodzina i tak pomyśli, że jestem stuknięta.

Przyglądał się mi przez chwilę.

- Lubię, gdy jesteś taka błada - oświadczył i ni stąd, ni zowąd. Zarumieniałam się i odwróciłam wzrok, ale było mi miło.
- Sluchaj, czy nie moglibyśmy jużjechać? Mam dosyć zamartwiania się, jak to będzie.
- Chcę mieć jasność. Zamartwiasz się nie, dlatego, że jedziemy do domu pełnego wampirów, tylko dlatego, że mogą cię nie zaakceptować, tak?
- Zgadza się. - Nie dałam po sobie poznać, jak bardzo mnie zaskoczył, używając z taką swobodą unikanego do tej pory słowa.

Pokręcił głową.

- Jesteś niesamowita.

Edward prowadził. Dopiero, gdy minęliśmy centrum miasteczka, zorientowałam się, że nie mam zielonego pojęcia, gdzie znajduje się dom Cullenów. Przejechaliśmy nad rzeką Calawah, a potem skierowaliśmy się na północ. Domy stały tu coraz rzadziej i były coraz bardziej okazale. Po pewnym czasie siedziby ludzkie zupełnie znikły nam z oczu. Jechaliśmy przez zasnuty mgłą las. Zastanawiałam się właśnie, czy nie spytać, ile jeszcze, gdy skręciliśmy raptownie w jakąś nieutwardzoną drogę. Była nieoznaczona, ledwie widoczna wśród kęp paproci i to tylko na kilka metrów, bo wyla się bardzo i znikła co chwila za pniami kolejnego olbrzymiego drzewa.

Po paru milach las zaczął rzednąć i nagle znaleźliśmy się na wielkiej polanie, która byćć może pełniła również funkcję trawnika.

Nie było tu jednak jaśniejszej, ponieważ cały teren ocieniały słutecznie gęste gałęzie sześciu sędzwych cedrów. Otaczały one centralnie położone domostwo, które okalała również pograżona w mroku weranda.

Nie wiem, czego się właściwie spodziewałam, ale z pewnością nie tego. Zgrabny, foremny budynek liczył sobie jakieś sto lat, a próbę czasu przeszedł z pewnością zwycięsko. Zbudowany na planie prostokąta, miał dwa piętra i ściany w kolorze zdmanej bieli. Okna i drzwi były albo oryginalne, albo świetnie zrekonstruowane. Przed domem nie stał żaden samochód. Słychać było szum pobliskiej rzeki, ale kryła się widocznie gdzieś za ciemną ścianą lasu.

- No, no.
- Podoba ci się?
- Hm... Ma pewien specyficzny urok. Śmiejąc się, Edward pociągnął mnie za kucyk.
- Gotowa? - spytał, otwierając drzwiczki.
- Ani trochę. Ale chodźmy. - Usiłowalam się roześmiać, lecz stres ścisłał mi gardło. Nerwowym gestem przyglądałam włosy.
- Wyglądasz ślicznie. - Zupełnie spontanicznie chwyciłam moją dłoń.

Przeszliśmy przez szeroką, ciemną werandę. Wiedziałam, że Edward potrafi wyczuć moje napięcie - żeby dodać mi otuchy, rysował kciukiem kółka na wierzchu mojej dłoni.

Utworzył przede mną frontowe drzwi.

Wystrój wnętrza był mniej przewidywalny niż wygląd samego domu, zaskoczył mnie. Powitała mnie ogromna, jasna przestrzeń. Niegdyś parter składał się zapewne z wielu pokoi, ale większość ścian usunięto. Wychodząca na południe ściana naprzeciw była jednym wielkim oknem, za którym, w cieniu cedrów ciągnął się trawnik sięgający brzegu szerokiej rzeki. Nad częścią po prawej górowały masywne, drewniane, zakręcające schody. Zewsząd były w oczy różne odcienie bieli - białe były deski podłogi, ściany, grube kłimy, a także belkowany sufit.

Na lewo od drzwi, na podwyższeniu, tuż koło imponujące koncertowego fortepianu, czekał gotowi się przywitać rodzice Edwarda.

Doktora Cullena widziałam już oczywiście wcześniej, ale mimo to poraziła mnie jego uroda i zadziwiająco młody wygląd. U jego boku, jak się domyślałam, stała Esme - jedy ny nieznany mi jeszcze członek rodziny. Była tak samo błada i piękna jak pozostała, a coś w jej twarzy o kształcie serca i miękkich, falistych, jasnobrązowych włosach przywołało na myśl niewinne dziewczęta z epoki kina niemego. Natura poskąpiła jej wzrostu, ale i zbędnych kilogramów, choć z pewnością miała bardziej zaokrąglone kształty niż reszta. Oboje byli ubrani na luzie, a jasne kolory ich ubrań harmonizowały z wystrojem domu. Uśmiechnęli się na mój widok, nie podeszli jednak bliżej. Domyślałam się, że nie chcą mnie przestraszyć.

- Carlisle, Esme - głos Edwarda przerwał ciszę - oto Bella.
- Serdecznie witamy. - Carlisle podszedł do mnie, bacząc na każdy swój krok i z rezerwą wyciągnął rękę w moim kierunku. Uścisnęliśmy sobie dłonie.
- Miło znowu pana widzieć, panie doktorze.
- Proszę, mów mi Carlisle.
- Carlisle. - Uśmiechnęłam się ciepło, zdziwiona nagłym przyplwem pewności siebie. Poczułam, że Edwardowi ulżyło.

Esme poszła w ślady męża. Tak jak się spodziewałam, jej rękabyła lodowata, a uścisk silny.

- Miło cię poznać, Bello. - Zabrzmiało to szczerze.
- Mnie również jest miło. - Nie kłamałam. Czulaam się jakbym znalazła się w bajce. Oto przede mną stało żywe wcielenie królowej Śnieżki.
- Gdzie Alice i Jasper? - spytał Edward, ale nikt mu nie odpowiedział, ponieważ oboje pojawili się właśnie u szczytu schodów.

- Cześć, Edward! - zawołała wesoło Alice. Zbiegła po schodach szybko, że tylko mignęły mi jej czarne włosy i biała skóra. Udało jej się jednak z wdziękiem zatrzymać tuż przede mną. Carlisle z Esmą spojrzeli na dziewczynę karcąco, ale spodobalo mi się jej zachowanie. Było takie naturalne - przy najmniej jak na nią.

- Cześć, Bella! - Alice przyskoczyła do mnie radośnie i pocałowała w policzek Carlisle i Esme zamarli. Mnie też zaskoczyła, ucieszyłam się jednak, że mnie aż do tego stopnia akceptuje. Zerknęłam na Edwarda. Wyczułam wcześniej, że cały zeszywniał, ale jego miny nie dało się rozszyfrować.

- Ręczysteście cudnie pachniesz - powiedziała Alice. - Nigdy wcześniej nie zwróciłam na to uwagi. - Tym stwierdzeniem bardzo mnie zawstydziła.

Zapadła krepująca cisza. Na szczęście w tej samej chwili dołączył do nas Jasper. Ten wysoki chłopak miał w sobie coś z lwa. Z miejsca poczułam się rozluźniona, przestałam przejmować się tym, gdzie się znajduję. Dostrzegłam, że Edward przygląda się bratu krzywo, podnosząc jedną brew, i przypomniało mi się, jakie zdolności posiada ten blondyn.

- Hej - powiedział. On jeden trzy mał się na dystans, nie wyciągnął dłoni na powitanie. Mimo to nie sposób było czuć się przy nim skrępowany m.
- Cześć, Jasper. - Uśmiechnęłam się błado, najpierw do niego, a potem i do pozostałych. - Miło was wszystkich poznać. Macie piękny dom - dodałam konwencjonalnie.

- Dziękujemy - odezwała się Esme. - Cieszymy się bardzo, że przyszłaś. - W jej głosie pobrzmiwał pewien ton, którego nie rozpoznalałam od razu, ale w końcu zlałam sobie sprawę, że przyzwana matka Edwarda uważa, że przychodząc do ich domu, postąpiłam bardzo odważnie.

Spostrzegłam, że wśród nas nie ma Rosalie oraz Emmetta, i przypomniałam sobie, że gdy spytałam Edwarda, czemu jego rodzeństwo mnie nie lubi, on zaprzeczał, że tak jest, z podejrzliwą gorliwością.

Zastanawiałabym się dalej nad nieobecnością tej pary, ale moją uwagę przykuła mina Carlisle'a. Spojrzał znacząco na Edwarda a kątem oka zauważyłam, że mój towarzysz kiwa głową.

By nie wyjść na podejrzliwą, zaczęłam wędrować wzrokiem po pokoju. Instrument na podwyższeniu doprawdy robił wrażenie. Nagle przypomniało mi się moje marzenie z dzieciństwa. Obiecywałam sobie, że jeśli kiedykolwiek wygram w totka, kupię taki fortepian mamie. Nie była jakoś specjalnie uzdolniona w tym kierunku - grywała wyłącznie w domowym zaciszu na naszym pianinie z drugiej ręki - ale ubóstwiała ją wówczas oglądać. Była taka radozna i zaabsorbowana, wydawało mi się, że to zupełnie inna osoba, jakaś tajemnicza istota, która wstała w tak dobrze mi znany mamusię. Rzecz jasna bylam zmuszona do uczestniczenia na lekcje gry, ale, jak chyba większość dzieciaków, tak dużego marudziłam, aż do mojej szkoły.

Esme dostrzegła moje zainteresowanie.

- Grasz? - spytała, wskazując fortepian.
- Pokręciłam przecząco głową.
- Skąd, ale jest tak piękny. To twój?
  - Nie - zaśmiała się. - Edward nie mówił ci, że jest muzykalny?
  - Muzykalny? - zerknęła z wyraztem na mojego kompana. Zrobił minę niewiniątka. Powinnam była się domyślić.

Esme nie wiedziała, o co mi chodzi.

- Nie ma rzeczy, której by nie potrafił, czyż nie? - wyjaśniłam.
- Jasper prychnął, a Esme spojrziała na Edwarda z przeganą w oczach.
- Mam nadzieję, że się zbytnio nie popisujesz - stwierdziła - Tak nie przystoi.
  - Tylko odrobinkę. - Na dźwięk jego swobodnego śmiechu twarz Esme rozpozodziła się. Wymienili znaczące spojrzenia, których nie zrozumiałam. Wyglądała teraz na bardzo czymś ukontentowaną.

- Edward jest raczej zbyt skromny - uściśliłam.
- No to zagraj dla niej - zachęciła go Esme.
- Przed chwilą powiedziałaś, że nie przystoi się popiswać.
- Od każdej reguły są wyjątki.
- Z chęcią posłucham, jak grasz - wtęczyłam.
- No to załatwione. - Esme popchnęła Edwarda w stronę instrumentu. Pociągnął mnie za sobą i razem zasiadliśmy przy fortepianie.

Zanim dotknął klawiatury, zerknęła na mnie z taką miną, jakbym go do czegoś zmuszała.

A potem jego zwinnie palce poszły w tany, tylko migały na tle kości słoniowej. Pokój wypełniła piękna melodia o tak skomplikowanej kompozycji, że sposób, w jaki radzi sobie z nią jedna para rąk, przechodził ludzkie pojęcie. Mimowolnie otworzyłam usta. Reszta rodziny, widząc moją reakcję, wybuchła stłumionym śmiechem.

Edward przeniósł wzrok na mnie, nie przerywając gry, i mrugnął.

- I jak podoba ci się?
- Sam to skomponowałeś? - Nareszcie to do mnie dotarło.

Przytaknął milcząco.

- To ulubiony utwór Esme - dodał. Zamknąwszy oczy, pokręciłam głową.
- Coś nie tak?

- Czuję się jak ostatnie zero.
- Melodia zwolniła, zrobiła się bardziej nastrojowa. Ze zdumieniem rozpoznalam w niej rozbudowaną wersję wczorajszej koły sanki.
- Napisałem ją specjalnie dla ciebie - szepnął Edward. Trudno było jej słuchać i nie rozczulić się, niczym na widok słodkiego niemowlęcia.

Ze wzruszenia odebrało mi mowę.

- Zauważyłaś? Lubią cię. Zwłaszcza Esme.

Zerknęłam za siebie, ale pokój opustoszał.

- Gdzie się wszyscy podziali?
  - Myślę, że ulotnili się dyskretnie, żeby zapewnić nam nieco prywatności.
- Westchnęłam.

- Ci tu może mnie mnie lubię, ale Emmett i Rosalie... - Zamilkłam, nie wiedząc, jak wyrazić moje podejrzenia.

Edward zmarszczył czoło.

- Rosalie się nie przejmuj - powiedział stanowczym tonem. - Jeszcze zmienisz zdanie.

Nie dowierzając, zacisnęłam zęby. - A Emmett?

- Cóż, uważa, że oszalełam, ale to mnie się czepia, a nie ciebie. Próbuję przekonać do ciebie Rosalie.

- Dlaczego tak ją drażnię? - Nie byłam pewna, czy chce poznać odpowiedź na to pytanie.

Teraz to Edward westchnął.

- Z całej naszej rodziny Rosalie najbardziej męczy to, że... że musi być tym, kim jest. Ciężko jej pogodzić się z tym, że ktoś z zewnątrz zna jej sekret. No i jest odrobinę zazdrosna.

- Zazdrosna? Zazdrości mi czegoś? - Trudno mi było w to uwierzyć. Jakten chodzący ideał urody mógł mi czegoś zazdrościć? Czego, u licha?

- Jesteś człowiekiem. - Edward wzruszył ramionami. - Ona też by tak chciała.

- Ach... - bąknęłam oszolomiona. - Jest jeszcze Jasper. On też raczej nie...

- To akurat moja wina - przyznał Edward. - Jak ci mówilem, dołączył do nas jako ostatni. Poradziłem mu, że lepiej będzie, jeśli zachowa dystans.

Przypomniało mi się, dlaczego miałby tak postępować, i zdrzałam.

- A co sądzą o całej tej sytuacji Esme i Carlisle? - odezwałam się szybko, żeby nie zauważył mojej reakcji.

- Cieszę się z mojego szczęścia. Poniekąd Esme zaakceptowałaby cię nawet, gdyby okazało się, że masz trzęcie oko i blonę między palcami.

Martwiła się o mnie od wielu lat. Bała się, że coś jest ze mną nie tak, że zbyt wcześnie zostałem przemieniony. Odetchnęła z ulgą. Za każdym razem, gdy cię dotykałam, niemal zachłytnie się z ekscytacji.

Alice też wydaje się pełna entuzjazmu. ..postrzęga świat po swojemu - odparł Edward przez zaciśnięte usta.

- Ale nic więcej mi na ten temat nie powiesz, prawda?

Zrozumieliśmy się bez słów. On wiedział już, że jestem świadoma tego, iż coś przede mną ukrywa, ja zaś, że nie mi nie wyjawia. Przynajmniej nie teraz.

- A co takiego Carlisle przekazał ci teletypycznie, że skinałeś głową?

- Zauważyłaś? - zdziwił się.

- Oczywiście.

Edward pogrzył się na chwilę w myślach.

- Przekazał mi pewne informacje. Nie był pewien, czy chciałbym, żebyś się o tym dowiedziała.

- A dowiem się?

- Musisz, ponieważ przez następne kilka dni, a nawet tygodni, będę wobec ciebie trochę... nadopiekuńczy. Nie chcę, żebyś pomyślała, iż jestem urodzonym tyranem.

- O co chodzi?

- Właściwie to nic takiego. Alice przewidziała, że będziemy mieli gości. Wiedzą, że tu mieszkamy, i są nas ciekawi.

- Gości?

- Tak.. Rozumiesz, nie są tacy jak my. To znaczy, jeśli chodzi o samokontrolę. Pewnie nawet nie pojawiają się w mieście, ale do ich wyjazdu z pewnością ani na minutę nie spuszczą cię z oka.

Wzdrygnęłam się.

- Nareszcie jakieś normalne zachowanie! - mruknął. - Zaczynałem się już zastanawiać, gdzie się podział twój instykt samozachowawczy.

Puściłam tę uwagę mimo uszu i zaczęłam rozglądać się po pokoju.

- Nic tego się spodziewałaś, prawda? - spytał Edward z satysfakcją w głosie.

- Nie - przyznałam.

- Żadnych trumien, żadnych stosów czaszek w łąkach. Chyba nie uświadczysz tu nawet pajęczyny. Musiało cię spotkać wielkie rozczarowanie - ciągnął z sarkazmem.

Zignorowałam go.

- Tak tu jasno i przestronnie.

- To jedyne miejsce, w którym możemy być sobą - spoważniał. Grana przez Edwarda melodia, moja melodia, coraz bardziej melancholijna, dobiegła wreszcie końca. Ostatnia nuta pobrzniwała jeszcze jakiś czas przejmująco.

- Dziękuję - szepnęłam. W oczach miałam łzy. Zawstydzona otarłam je szybko wierzchem dłoni.

Edward dotknął delikatnie moją dłoń, w której jedną przeczołyłam, po czym podniósł dłoń do oczu i przyjrzał się przechwycionej kropli. Tak szybko, że nie mogłam mieć pewności, czy naprawdę byłam tego świadkiem, włożył palec do ust i zlała słony płyn.

Spojrzałam na niego pytająco i długo patrzyliśmy sobie w oczy. W końcu się uśmiechnął.

- Chcesz zobaczyć resztę domu?

- I nic będzie żadnych trumien? - upewniłam się, nie do końca pokrójając ironią lekkie podenerwowanie.

Śmiejąc się, ujął moją dłoń i poprowadził w stronę schodów.

- Żadnych trumien - przyrzekł.

Zaczęliśmy wspinać się po masywnych stopniach, ja z ręką na wyjątkowo gładkiej poręczy. Zarówno ściany, jak i podłogę hallu na piętrze wyłożono drewnem o barwie miodu.

- Tam jest pokój Rosalie i Emmetta, tam gabinet Carlisle'a, tam sypialnia Alice... - Przerwał, bo stanęłam nad widok ozdobny ściennej, wiszącej tuż nad moją głową. Musiałam wyglądać na mocno zbitą z tropu, bo zachichotał.

- Bez obaw, możesz parsknąć śmiechem - powiedział. - Groteskowy efekt jest zamierzony.

Nie zaśmiałam się jednak, tylko odruchowo podniosłam rękę, jak bym chciała dotknąć owego artefaktu. Był to spory, drewniany krzyż. Pociemniały od starości kształt odcinał się od jasnej ściany.

Nie odważyłam się sprawdzić, czy w dotyku jest tak jedwabisty, jak mi się wydawało.

- Musi być bardzo stary.

Edward wzruszył ramionami.

- Lata trzydzieste siedemnastego wieku, tak mniej więcej.

Przeniósłam wzrok na mojego towarzysza.

- Czemu to tu trzymacie?

- To pamiątka rodzinna. Należał do ojca Carlisle'a.

- Zbierał antyki? - zasugerowałam z powątpiewaniem.

- Nie, sam go wyrzeźbił. Był wikarym. Ten krzyż wisiał na ścianie nad pulpitem, zza którego głośli kazania.

Nie byłam pewna, czy moja twarz zdradza, jak bardzo jestem zszokowana. Na wszelki wypadek wołałam wpatrywać się w krzyż. Czyli miał ponad trzyście siedemdziesiąt lat! Próbowałam sobie z wysiłkiem wyobrazić taki szmat czasu.

- Wszystko w porządku? - spytał Edward z troską.

Nie odpowiedziałam.

- To ile lat ma Carlisle? - szepnęłam, nie odrywając wzroku od sędziwego krzyża.

- Niedawno obchodził trzyście sześćdziesiąte drugie urodziny.

Przeniósłam wzrok na Edwarda. Nasuwały mi się setki pytań.

Opowiadając przyglądał mi się bacznie.

- Carlisle urodził się w Londynie w latach czterdziestych siedemnastego wieku, a przynajmniej tak podejrzewa, ponieważ prości ludzie w owych czasach nie zaprzękali sobie zbyt głowy kalendarzem. W każdym razie było to tuż przed ustanowieniem protektoratu Cromwella.

Świadoma tego, że jestem obserwowana, starałam się zachować kamienną twarz - najłatwiej było po prostu traktować to wszystko jak bajkę.

- Był jedynym synem angikańskiego pastora, matka zmarła przy porodzie. Jego ojciec był człowiekiem wielce nietolerancyjnym. Gdy do władzy doszli protestanci, z entuzjazmem włączył się do prześladowania katolików oraz wyznawców innych religii. Wierzył także głęboko w realną obecność szatana na ziemi. Przewodził polowaniom na czarownice, wilkołaki... i wampiry.

Na dźwięk tego ostatniego słowa znieruchomiałam. Edward nie mógł tego przeczyć, lecz mimo to nie przerwał opowieści.

- Spalili na stosie wielu niewinnych ludzi, bo, rzecz jasna ci których z taką pasją szukał, nie dawali się tak łatwo złapać.

- Kiedy pastor się zestarzał, obowiązki głównego łowczego przekazał swemu synowi. Z początku Carlisle nie spisywał się najlepiej - miał trudności z szafowaniem oskarżeniami i dostrzeganiem demonów tam, gdzie ich nie było. Był jednak sprytniejszy od ojca i wytrwały. Odkrył w końcu, że grupa prawdziwych wampirów mieszka w kanałach pod miastem. Wychodziły stamtąd tylko nocą, na polowanie. Potwory nie należały wówczas do świata legend i mitów i wiele z nich tak właśnie musiało egzystować.

Ludzie zabrali z sobą widły i pochodnie - Edward zaśmiał się ponuro - i otoczyli miejsce, w którym według Carlisle'a wampiry wydstawały się na ulicę. Rzeczywiście, po pewnym czasie jeden wyszedł.

Mówił teraz tak cicho, że z trudem wyłapywałam poszczególne słowa.

- Musiał być bardzo stary i osłabiony głodem. Wyczuwszy nosem obecność tłumu, ostrzegł pozostałych po łacinie, a potem ruszył pędem przed siebie ulicami miasta. Carlisle przewodził pogoni - miał wtedy dwadzieścia trzy lata i był szybkim biegaczem. Wampir potrafiłby umknąć im z łatwością, lecz, jak sądzi Carlisle, jego głód wziął górę. Potwór odwrócił się nagle i zaatakował. Wpierw rzucił się na Carlisle'a, ale nadbiegli inni ludzie. Musiał się bronić. Zabił dwóch mężczyzn i uprowadził trzeciogo. Carlisle tymczasem wykrwawiał się na bruku.

Edward zamilkł na chwilę. Wyczułam, że dokonuje pewnej korekty faktów, ponieważ pragnie coś przede mną zataić.

- Wiedział co się teraz stanie - ciała zostaną spalone. On sam również. Zawsze niszczyli wszystko, co miało kontakt z istotami ciemności. Instynktownie postąpił więc tak, by ocalić swoje życie. Tłum pognał za wampirem. Korzystając z okazji, Carlisle poczołgał się do pobliskiej piwniczki, gdzie spędził trzy dni ukryty w stercie gnijących kartofli. To cud, że nikt go nie znalazł, że nie zdradził się szmerem czy jękiem. A potem było już po wszystkich i uświadomił sobie swoją przemianę.

Nie wiem, jaką miałam minę, ale Edward nagle przerwał.

- Dobrze się czujesz?

- Tak tak - Zagryzłam wargi, żeby nie zarzucić go gradem pytań, ale widać ciekawość biła mi z oczu.

Uśmiechnął się.

- Spodziewam się, że masz do mnie parę pytań.

- Kilka się znajdzie.

Uśmiechnąwszy się jeszcze szerzej, pociągnął mnie za rękę w głąb korytarza.

- No to chodź - powiedział. - Coś ci pokażę.

Zatrzy maliśmy się przed drzwiami pokoju, który, według opisu Edwarda, służył jego przyszywanemu ojcu za gabinet.

- Wejdźcie, proszę - zachęcił nas głos Carlisle'a.

Sufit był tu bardzo wysoko, a okna wychodziły na zachód. Podobnie jak w hallu, ściany pokrywała boazeria, tym razem z ciemniejszego drewna, można było ją jednak podziwiać jedynie w kilku miejscach, ponieważ większość przestrzeni zajmowały sięgające sufitu regały. Jeszcze nigdy, poza biblioteką, nie widziałam tylu książek.

Doktor siedział w obitym skórą fotelu za wielkim mahoniowym biurkiem. Umieszczał właśnie zakładkę pomiędzy stronicami opasłego tomu. Tak właśnie wyobrażałam sobie zawsze gabinet dziekana jakiegoś słynnego college'u, tyle że Carlisle wyglądał stanowczo zbyt młodo jak na profesora.

- Czym mogę wam służyć? - spytał uprzejmym tonem, pod nosząc się z miejsca.

- Chciałem przybliżyć Belli naszą historię - wyjaśnił Edward - Tak właściwie to twoją historię, nie naszą.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzamy - wtrąciłam.

- Nie, skąd. Od czego chcielibyście zacząć?

- Od tego, skąd się wzięła twoja filozofia życiowa - oświadczył Edward. Położył mi rękę na ramieniu, po czym odwrócił delikatnie tak, abym stała przodem do drzwi. Za każdym razem, gdy mnie dotykał, choćby nie wiem jak swobodnie, serce zaczęło walić mi jak dzwon. Teraz słyślał to nie tylko on, ale i Carlisle, i było mi z tego powodu jeszcze bardziej wstydu niż zwykłe.

Ściana, na którą teraz patrzyłam, była inna niż pozostałe. Zamiast pólek z książkami pokrywały ją ramki: różnorakie style, obrazy, zdjęcia i rycin. Wszystkie możliwych formatów, niektóre wielobarwne, inne czarno - białe. Przez chwilę błądziłam po nich wzrokiem, próbując się domyślić, jaki jest temat przewodni tej kolekcji, ale na próżno.

Edward podprowadził mnie pod wiszący po lewej stronie obrazek olejny w skromnej, kwadratowej, drewnianej ramie. Namalowany różnymi odcieniami sepii, nie wyróżniał się zbyt mocno - sportu było większych prac o żywszych kolorach. Obrazek ów przedstawiał panoramę jakiegoś miasta sprzed kilku wieków - nad gęstwiną strómych dachów górowało kilka kościelnych wież. Pierwszy plan wypełniała szeroka rzeka z jednym jedynym mostem pokrytym czynnym rodzaju miniaturowych katedr.

- Londyn w połowie siedemnastego wieku - wyjaśnił Ed.

- Londyn z czasów mojej młodości - dodał doktor. Okazało się, że stoi za nami. Drgnęłam - nie zauważyłam, kiedy podszedł.

- Chcesz sam jej wszystko opowiedzieć? - Odwróciłam się, żeby zobaczyć reakcję Carlisle'a. Nasze oczy spotkały się, a on sam się uśmiechnął.

- Z chęcią bym się wami zajął, ale zrobiło się już późno, muszę się zbierać. Rano dzwonił ze szpitala - doktor Snow się rozchorował. Poza tym - dodał, spoglądając na Edwarda - znasz te historie równie dobrze jak ja.

Brzmiało to wszystko bardzo groteskowo. Oto przeciętny, zapracowany lekarz z małego miasteczka tłumaczy się, czemu nie może opowiedzieć mi o swoim życiu w siedemnastowiecznym Londynie.

Czułam się też dziwnie, ponieważ zdawałam sobie sprawę, że wypowiedział swoje myśli na głos tylko ze względu na mnie.

Obdarowawszy mnie kolejnym ciepłym uśmiechem, Carlisle pospieszył do szpitala.

Po jego wyjściu przez dłuższy czas wpatrywałam się w panoramę jego rodzinnego miasta.

- To co się stało, kiedy usławił siebie swoją przemianę? - spytałam w końcu obserwującego mnie Edwarda.

Przeniósł wzrok na inny z wiszących na ścianie obrazów. Było to jedno z większych płócien, krajobraz o stonowanych jesiennych barwach. Przedstawiał pustą, zacienioną polanę. Za lasem, na horyzoncie, majaczył samotny skalisty szczyt.

- Carlisle wiedział, czym się stał - powiedział Edward cicho - i nie miał zamiaru się z tym pogodzić. Chciał być sobą skończyć, ale nie było to takie proste.

- Co takiego robił? - wymknęło mi się.

- Rzucił się z wielkich wysokości, próbował się utopić - wymienił Edward beznamiętnym tonem - ale był za silny, a od przemiany upłynęło za mało czasu. To niesamowicie, że miał dość samokontroli, by nie zacząć polować. Na samym początku pragnienie przesłania wszystko. Czuł do siebie jednak tak wielkie obrzydzenie, że wołał umrzeć z głodu, niż znieść się do mordy. To ten wstręt właśnie pomagał mi się powstrzymać.

- Czy możecie zagłodzić się na śmierć? - spytałam słaby w głosem.

- Nie. Istnieje bardzo niewiele sposobów, w jaki można nas zabić.

Chciałam o nie zapytać, ale szybko podjął przerwanać opowieść.

- Robił się coraz bardziej głodny, a w rezultacie coraz słabszy. Zdawał sobie sprawę, że maleje też siła jego woli, dlatego trzymał się jak najdalej od siedzib ludzkich. Długie miesiące wędrował nocami w poszukiwaniu takich bezpiecznych miejsc, nadal niepokodzony ze swoją nową naturą.

Pewnego razu jego kryjówek mijало stado jeleni. Był już oszalały z głodu, nie wytrzymał, zatakował. Gdy się nasycił i wrócił mu siły, zorientował się, że oto odkrył sposób na to, jak żyć, nie mordując ludzi. Zwierzęta nie budziły w nim wyrzutów sumienia - przeciw w poprzednim życiu też nie stronił od dziczyzny. Tak narodziła się jego nowa filozofia życiowa, którą dopracowywał przez kolejne miesiące. Nie musiał być potworem. Pogodził się ze swoim przeznaczeniem.

- Wiedząc, że ma przed sobą nieskończenie wiele lat życia, zaczął lepiej wykorzystywać dany mu czas. Zawsze był bystry, skory do nauki. Po nocach czytał, za dnia planował, co dalej. Przepłynął kanał La Manche i we Francji...

- Przepłynął kanał La Manche?

- Nie on jeden tego dokonał. Bello - Edward przypomniał mi cierpliwie.

- No tak. Po prostu w tym kontekście zabrzmiało tak jakoś nieprawdopodobnie. Mów dalej.

- Jesteśmy dobrymi pływakami, bo...

- We wszystkim jesteście dobrzy. Rzucił mi rozbawione spojrzenie.

- Już dobrze, dobrze. Więcej nie będę przerywać, obiecuję.

Prychnął i dokończył:

- Bo tak właściwie nie musimy odychać.

- Nie...

- Obiecałaś! - Śmiejąc się, przyłożył mi palec do ust. - Chcesz w końcu usłyszeć tę historię, czy nie?

- Nie możesz wyśkażać co chwilę z czymś takim i spodziewać się, że będą siedzieć jak mysz pod miotłą - wymamrotałam zza przyłożonego palca.

Widząc, że ta metoda nie działa, przeniósł dłoń na moją szyję. Serce mi przy spieszyło, ale pieszczoła nie zadziałała na tyle, żeby mi zapomniała o tym, co mnie nurtowało.

- Nie musicie odychać? - ządałam wyjaśnień.

- Nie jest to niezbędne. - To prośu kwestia przyzwyczajenia. - Edward wruszył ramionami.

- I jak długo tak możecie?

- Chyba bez końca. Nie wiem, nie próbowałem. Czuję się trochę nieswojo z nieczynnym węchem.

- Trochę nieswojo? - powtórzyłam oszozoliona.

Musiąłem zrobić przy tym jakąś szczególną minę, bo Edward spowaźniał nagle i opuścił rękę. Stał tak nieruchomo przez dłuższy czas, wpatrując się we mnie ze smutkiem.

- O co chodzi? - szepnęłam, dotykając jego skamieniałej twarzy. Mój gest sprawił, że rozchmurzył się nieco.

- Wciąż czekałam, kiedy to nastąpi - westchnął.

- Co takiego?

- Jestem przekonany, że w pewnym momencie powiem coś takiego lub będziesz świadkiem czegoś, co zupełnie wytrąci cię z równowagi i uciekniesz z krzykiem. - Uśmiechnął się smutno. - Nieważ będę cię wtedy zatrzymywał. Po prawdzie chciałbym, żeby do tego doszło, bo zależy mi na twoim bezpieczeństwie. Zależy, ale pragnę również być z tobą. Tych dwóch rzeczy nigdy nie da się pogodzić...

- Nie mam zamiaru uciekać.

- Zobaczmy.

Zmarszczyła czoło.

- No, dalej, opowiadaj. Carlisle popłynął do Francji i...

Edward nie zaczął mówić od razu i niewprzeźnkął na kolejną z obrazów. Miał on nie tylko najbardziej ozdobną ramę ze wszystkich, ale wyróżniał się także najżywszą kolorystyką i rozmiarami był bowiem dwukrotnie szerszy od drzwi, koło których wisiał. Roilo się na nim od jaskrawych postaci w rozwianych szatach, krzątających się w kolumnadach bądź wyglądających z marmurowych balkonów. Część postaci unosiła się w powietrzu, wśród chmur. Nie umiała powiedzieć, czy to scena mitologiczna, czy biblijna.

- Carlisle popłynął do Francji, a później przemierzył całą Europę, odwiedzając uniwersytety. Nocami zgłębiał muzykologię przyrodznawstwo, medycynę - i to właśnie ona okazała się jego powołaniem. Ratowanie ludzkiego życia stało się dla niego formą pokuty za bycie potworem. - Po minie Edwarda widać było, jak wielkim podziwem darzył Carlisle'a. - Nie jestem w stanie opisać, ile wysiłku włożył w to, by osiągnąć swój cel. Przez dwa stulecia w męgłach pracował nad samokontrolą. Teraz jest zupełnie obojętny na zapach ludzkiej krwi i może wykonywać pracę, którą kocha, nie cierpiąc katuszy. Tam, w szpitalu, odnalazł wreszcie spokój...

- Przez dłuższą chwilę Edward spoglądał w przestrzeń niewidzącym wzrokiem, aż nagle odciął się i postukał palcem ramę największego z obrazów.

- Kiedy studiował we Włoszech, natrafił tam na pobratymców, różnili się oni jednak znacznie od włoczęgów z londyńskich kanałów. Byli wszechstronnie wykształceni i mieli doskonałe maniery.

Wskazał na cztery postacie na najwyższym z balkonów, które w odróżnieniu od całej reszty zdawały się stać nieruchomo, lustrując ze spokojem panującą w dole chaos. Przyjrząwszy się im uważniej, zdałam sobie że zdumieniem sprawę, że jedna z nich jeszcze nie tak dawno przebywała z nami w tym samym pokoju.

- To Solimena\*. Nowi znajomi Carlisle'a często byli dlań inspiracją. Nieraz przedstawiał ich jako bogów. - Edward prychnął.

- Aro, Marek i Kajusz, nočni mecenasi sztuki.

- Ciekawe, co się z nimi później stało - zastanowiłam się na głos niemal dotykając palcem płótna. Dwóch z mężczyzn miało kruczoczarne włosy, trzeci bielusiennie.

- Nadal tam są. - Edward wruszył ramionami. - Nikt nie wie, ile to już tyścieci. Carlisle towarzyszył im zaledwie przez kilkadziesiąt lat, podziwiał ich obycie, ich wyrafinowanie. Niestety upoczy wie usiłovali go wyleczyć z awersji do, jak to określali, przyrodzonego źródła strawy". Oni starali się przekonać jego o ich - bezskutku. W końcu Carlisle postanowił sprawdzić, jak żyje się w Nowym Świecie. Był bardzo samotny. Marzył, że znajdzie tam kogoś, kto będzie podzielał jego poglądy.

Przez dłuższy czas nie napotkał nikogo z naszych, ale ponieważ ludzie stopniowo przedstawiali wierzycy w istnienie jemu podobnych istot, odkrył, że łatwiej mu się z nimi integrować - po prostu niczego nie podejrzewali. Zaczął praktykować jako lekarz. Mimo wszystko, nie mógł jednak ryzykować bliższej znajomości z człowiekiem, nadal więc doskwierał mu brak towarzystwa.

Kiedy wybuchła epidemia hiszpanki, pracował na nocną zmianę w szpitalu w Chicago. Przez wiele lat dojrzewał w nim pewien pomysł - teraz był wreszcie gotowy wcielić go w życie. Skoro nie udało mu się znaleźć kompana, trudno, sam go dla siebie stworzy. Długo się wahał. Nie miał pewności, jak taki zabieg przeprowadzić, a nie dopuszczał do siebie myśli, że miałby komuś odebrać dawne życie, tak jak odebrał jemu. I wtedy trafił na mnie. Nie było dla mnie nadziei, leżałem już na oddziale dla umierających. Carlisle opiekował się wcześniej moimi rodzicami, wiedział więc, że zostałem sam na świecie. Postanowił spróbować...

Te ostatnie słowa Edward wypowiedział niemal szeptem, po czym wpatrzony w las za oknem zamysł się głęboko. Byłam ciekawa, jakież to obrazy stają mu teraz przed oczami - z własnej przeszłości, czy też te znane z opowieści przyszywanego ojca. Nie musiałam mu przerywać. Kiedy w końcu na mnie spojżał, na jego twarzy malował się delikatny, anielski uśmiech.

- I tak oto wrócił się do punktu wyjścia - podsumował.

- I już nigdy się nie rozstawaliście?

- Prawie nigdy. - Objął mnie w talii i poprowadził do drzwi. Na progu zerknęłam po raz ostatni na ścianę pełną obrazów zastanawiając się, czy kiedykolwiek poznam pozostałe historie.

Edward nie powiedział nic więcej, więc w hallu spytałam - Prawie nigdy?

Westchnął. Najwyraźniej nie był skory zdradzić mi więcej szczegółów.

- Cóż, jak każdy młody człowiek nieco się buntowałem. Nie byłem przekonany do abstynencji, byłem zły na Carlisle'a, że mnie ogranicza. Jakieś dziesięć lat po moich narodzinach, przemianie czy jak by to nazwać, spędziłem trochę czasu, wędrując samotnie.

- Naprawdę? - Zaintrygowała mnie tym raczej, niż przestraszyła, a ponieważ powinienam była się przestraszyć.

Edward wychylił w moim głosie zainteresowanie.

- To cię nie przeraża?

- Nie.
- Dlaczego?
- Czy ja wiem... Wydaje mi się, że była to całkiem sensowna decyzja.

Zaśmiał się krótko i głośno.

Weszliśmy już po schodach na drugie piętro. Hall tutaj też był wyłożony drewnem.

- Z początkiem nowego życia - podjął opowieść Edward - zyskałem dar czytania w myślach zarówno swoich pobratymców, jak i ludzi. To dlatego dopiero po dziesięciu latach przeciwstawiłem się Carlisle'owi - od podszewki znalazłem jego szlachetne pobudki, rozumiałem doskonale, co nim kieruje.

Starczyło kilka lat, żeby mi przekonał się do jego sposobu postępowania i wrócił. Doszedłem do wniosku, że uniknę w ten sposób... ech... depresji... depresji, która bierze się z wyrzutów sumienia. Z początku nic miałem takich problemów. Znając ludzię myśli umiałem wybierać na swoje ofiary wyłącznie zwyrodniałców. Skoro mogłem w ciemnym zaułku zejść drogę niedoszłemu mordercy, który śledził właśnie jakąś dziewczynę, skoro ratowałem jej życie, nie byłem chyba taki zły.

Wzdrygnęłam się, wyobrażając sobie z detalami podobną scenę - jakże niedawno sama znalazłam się w podobnej sytuacji. Zaulek, noc, przestraszona dziewczyna i złowrogi cień podążającego za nią krok w krok mężczyzny. I Edward. Edward na polowaniu, straszny, - zarazem porażający urodą niczym młody bóg. W takiej chwili nie nie mogło go powstrzymać. Ale czy dziewczyna była mu po wszystkich wdzięczna, czy może jeszcze bardziej przerażona?

- Z biegiem lat zaczęłam się jednak coraz bardziej postrzegać jako potwora. Nic mogłem sobie wybaczyć, że odebrałem życie aż tylu ludziom, niezależnie od tego, jak bardzo na to zasługiwali. Wreszcie wróciłem do Carlisle'a i Esme. Powitali mnie jak syna marnotrawnego. Nie zasługiwałem na takie przyjęcie. Staaliśmy przed ostatnimi drzwiami korytarza.

- Mój pokój - wyjaśnił Edward, otwierając drzwi. Puścił mnie przodem. Jedną ścianę pomieszczenia, podobnie jak na parterze, zajmowało ogromne, wychodzące na południe okno. Podejrzywałam, że cała elewacja ogrodowa jest ze szkła. Rzeka Sol Duc wyla się przez dziewięć puszek aż po pasmo gór Olympic, które okazały się być bliżej, niż przy puszczałam.

Druga ścianę, tę po prawej, zajmowały półki z płytami CD. Było tu ich więcej, niż w przeciętnym sklepie muzycznym. W rogu stała ekskluzywnie wyglądająca wieża stereo, jedna z tych, których bałam się choćby tnąć, przekonana, że zaraz coś uszkodzę. Nie było łóżka, tylko szeroka, wygodna kanapa obita czarną skórą. Podłogę pokrywała gruba, złocista wykładzina, a na ścianach udrapowano zwoje ciemniejszej o ton tkaniny.

- To dla lepszej akustyki? - zgaadłam. Skłonił głowę z uśmiechem.

Włączył wieżę pilotem. Muzyka nie była głośna, a jaszowy utwór należał do spokojniejszych, ale zdawało się, że zespół znajdował się w tym samym pokoju co my. Podeszłam do regałów, by przyjrzeć się zapierającej dech w piersiach kolekcji płyt.

- Masz je poukładane w jakiś specjalny sposób? - spytałam, nie mogąc doszukać się żadnego klucza.

- Ehm... - Wyrwałam go z zamyslenia. - Rokiem wydania, a potem od najbardziej ulubionych.

Odwrociłam się. Przyglądał mi się z dziwnym wyrazem twarzy.

- Co jest?

- Myślałem, że poczuję ulgę. Wiesz już wszystko, nie muszę nic przed tobą ukrywać. Ale to coś o wiele, wiele więcej. I podoba mi się. Jestem taki... szczęśliwy. - Wzruszył ramionami, uśmiechając się niepewnie.

- Cieszę się. - I ja się uśmiechnęłam. Martwiłam się, że będzie żałował swojej szczerości. Dobrze było wiedzieć, że tak nie jest.

Tymczasem Edward nagle spochmurniał.

- Wciąż się spodziewasz, że lada chwila rzucę się do ucieczki?

Kąciła jego ust uniosły się lekko ku górze. Pokiwał głową.

- Przykro mi, że sprowadzam cię z chmur na ziemię, ale wcale nie jesteś taki straszny, jak ci się wydaje. Ja to już w ogóle się ciebie nie boję. - Rzecz jasna, kłamałam jak z nut.

Spojrzał na mnie z niedowierzaniem, ale zaraz uśmiechnął się dziko.

- Jeszcze pożałujesz, że to powiedziałaś - rzucił.

Wpierw wydał z siebie niski, gardłowy warkot, odsłaniając rząd idealnych prostych zębów, a następnie zamarł napięty w pół przyśiadzie, niczym wielkie lwisko gotowe do skoku.

Zrobiłam kilka kroków do tyłu, nie odrywając od niego wzroku.

- Chyba żartujesz...

Nawet nie zauważyłam, kiedy na mnie skoczył - wszystko działo się zbyt szybko. Poczulałam tylko, że coś podrywa mnie do góry, a potem padliśmy z impetem na sofę, uderzając nią z hukiem o ścianę. Edward trzymał mnie przy tym w żelaznym uścisku, zamortyzował się wyrzutem. Mimo tej ochrony oddychałam teraz szybciej, zapewne od nadmiaru adrenaliny, próbowałam usiąść prosto, ale mój kompan miał inne plany - ułożoną w pozycji płodowej przytulił mnie mocno do piersi. Równie dobrze mogłabym próbować zerwać żelazne łańcuchy. Obieciał mi strach, ale gdy zerknęłam na twarz Edwarda, znikły wszelkie moje obawy. Kontrolował się znakomicie, szczęśliwie miał rozluźnione, a oczy błyszczały mu w wyjątkowo podnieceniu. - Coś mówiłaś? - zamruczał z ironią w głosie. - Tyko to, że jesteś bardzo, bardzo straszny potworem.

- Wciąż ciężko dyśzałam, więc moja żartobliwa odpowiedź nie zabrzmiała zbyt przekonująco.

- Tak lepiej.

- Czy mogę już usiąść normalnie? - spytałam, niezdarnie wrywając się mu z objęciem.

Tylko się zaśmiał.

- Można? - miły głos zapytał zza otwartych drzwi. Ponowilam próbę wyswobodzenia się, ale Edward ani myślał mnie puścić - usadził mnie jedynie na swoich kolanach nieco bardziej przyzwoicie. Na progu stała Alice, a za nią Jasper. Spiekłam raka, Edward jednak okazał zmieszania.

- Zapraszam. - Nadal trząsł się ze śmiechu.

Alice nie wydawała się ani trochę zdziwiona tym, w jakiej pozycji nas zastała. Przeszedłszy tanecznym krokiem na środek pokoju, z niesamowitą gracją usiadła na podłodze. Jasper zawałał się jednak w drzwiach ze ździebko zszokowaną miną. Wpatrywał się przy tym w Edwarda. Byłam ciekawa, czy sonduje właśnie atmosferę w pokoju, korzystając ze swojej nadzwyczajnej wrażliwości na ludzkie nastroje.

- Tak lupnęło - oświadczyła Alice - że myśleliśmy już, iż kosztujesz Belli na lunch, i przyśłiśmy zobaczyć, czy i nam coś nie skąpnie.

Zamarłam na sekundę, ale rozluźniłam się, gdy zdałam sobie sprawę, że Edward uśmiecha się szeroko. Nie wiedziałam tylko, czy rozbawiło go to, co powiedziała Alice, czy też cieszy się, że nareszcie częściej się boję.

- Przykro mi, nie podzielię się. Nie mam jej jeszcze dosyć. Jasper wszedł wreszcie do pokoju, mimowolnie się uśmiechając.

- Tak naprawdę to Alice twierdzi, że wieczorem zapowiada się niezła burza, więc Emmett rzucił hasło „mecz”. Będziesz grał?

Każda wiadomość z osobną zabrzmiałaby niewinnie, jednak słysząc je w takim połączeniu, nie potrafiłam zrozumieć, co ma burza do jakiegos meczu. Wiedziałam jedno - Alice przewidywała pogodę nie gorzej od biura prognoz.

Edward ożywił się natychmiast, ale zawałał się z odpowiedzią.

- Oczywiście możesz przy prowadzić Bellę - zaszczebiotała Alice. Wydało mi się, że Jasper zerknął na nią zaskoczony.

- Co ty na to? - zwrócił się do mnie Edward. Bardzo był tą wizją podniecony.

- Dla mnie bomba. - Za nic nie chciałam, żeby tak cudowny uśmiech zniknął z jego twarzy. - A tak w ogóle, to dojadł chodźcie grać?

- Najpierw czekamy na pioruny. Inaczej się nie da. Zobacysz, dlaczego - obiecał Edward.

- Będę potrzebować parasola? Cała trójka wybuchła śmiechem.

- Będzie? - spytał Jasper Alice.

- Nie, nie - odparła z przekonaniem. - Burza rozpęta się nad miasteczkiem. U nas na polanie nikt nie zmoknie.

- Fajno. - Entuzjazm Jaspera był zaraźliwy.

Poczulałam nagle, że mam wielką ochotę do nich dołączyć, chociaż jeszcze przed chwilą byłam pełna obaw.

Alice w kilku podskokach pokonała drogę do drzwi. Na jej widok każda balerina zalamalaby się nerwowo.

- Zobaczmy, może i Carlisle da się namówić - rzuciła.

- Jakbyś już nie wiedziała - zachnął się Jasper, zamykając za obojgiem drzwi.

- W co będziemy grać? - spytałam Edwarda. - Ty będziesz tylko widzem - sprostował. - A my pogramy baseball.

Wywróciłam oczami.

- To wampiry lubią baseball?

- To w końcu amerykański sport narodowy - oświadczył Edward z udawaną powagą.

Pozostawało mi tylko czekać do wieczora.

Gdy skręcił się w moją ulicę, akurat zaczęło mżyć. Do tej chwili nie miałam najmniejszych wątpliwości, że Edward będzie mi towarzyszył przez te kilka godzin, jakie miałam spędzić w bardziej rzeczywiście otoczeniu.

Tymczasem na podjeździe przed domem Charliego zastaliśmy ni mniej, ni więcej tylko znajomego podniszczonego czarnego forda. Edward wymamrotał coś gniewnie pod nosem.

Na wąskim ganku, z trudem kryjąc się przed deszczem, za wózkiem inwalidzkim swojego ojca stał Jacob Black. Gdy zaparowaliśmy przy krawężniku, Billy ani drgnął, za to chłopak wyraźnie się zawstydził.

- To już przesada - warknęła mój towarzysz.

- Przecież ostrzec Charliego? - odgadłam, bardziej przestraszona niż zagniewana.

- Edward pokivał tylko głową. Z hardą miną patrzył teraz Billemu prosto w oczy.

Byłam wdzięczna Bogu, że Charlie jeszcze nie wrócił. Namysł o tym, że mogło być inaczej, robiło mi się słabo.

- Pozwól, że ja się tym zajmę - zaproponowałam. Edward nie wydawał się zdolny do negocjacji.

Ku mojemu zdziwieniu, nie zgłosił żadnych obiekcji.

- Tak chyba będzie najlepiej - zgodził się od razu. - Ty lko ostrożnie z dziećmi, on o niczym nie wie.

Ten „dzieciak” nie za bardzo przypadł mi do gustu.

- Jacob jest tylko trochę młodszy ode mnie - przypomniałam.

Edward zerknął na mnie, błyskawicznie się rozczerwając.

- Wiem o tym doskonale - zapewnił mnie z uśmiechem.

Westchnęłam tylko i położyłam dłoń na klawecie.

- Wpuść ich do środka - poinstruował mnie Edward. - Wróć o zmierzchu.

- Pożycz ci furgonetkę? - spytałam, zachodząc jednocześnie w głowę, jak wyjaśnić Charliemu, gdzie ją podziałam.

Edward wznosił oczy ku niebu.

- Wierz mi, pieszo dojść do domu szybciej.

- Nie musisz sobie iść - powiedziałam ze smutkiem.

Ucieszył się, słysząc, że nie chcę się z nim rozstawać.

- Muszę, muszę. Kiedy już się ich pozbędiesz - skinął głową w stronę Blacków, a w jego oczach pojawił się złowrogi błysk - będziesz potrzebowała trochę czasu na przygotowanie Charliego. Nie co dzień poznaje się nowego

chłopaka swojej córki. - Uśmiechnął się tak szeroko, że odsłonił przy tym wszystkie zęby.

- Piękne dzięki - jęknęłam.

Edward zmienił uśmiech na łobuzerski, mój ulubiony.

- Niedługo wróć - przyrzekł. Zerknął jeszcze raz na ganek, a potem pochylił się i cmoknął mnie na pożegnanie w szyję. Serce niemal wyskoczyło mi z piersi. I ja spojrziałam w stronę Blacków. Twarz Billy'ego zdradzała wreszcie

jakieś emocje, a dłoń zaciśnięła kurczowo na oparciach wózka.

- Niedługo - rzuciłam stanowczym tonem, wysiadając z auta.

Idąc szybkim krokiem w kierunku domu, czułam na plecach spojrzenie Edwarda.

- Dzień dobry - przywitałam się, siląc się na serdeczny ton. - Charlie wyjechał na cały dzień. Mam nadzieję, że nie czekałście długo.

- Niedługo - odparł Billy stłumionym głosem, przesywając mnie wzrokiem.

- Chciałem tylko wam to podziękować.

- Wskazał trzymaną na kolanach papierową brązową torbę.

- Super. - Nie miałam pojęcia, co też może ona zawierać. - Zapraszam do środka, wysuszyć się.

Udawalam, że nie dostrzegłam nic dziwnego w tym, jak Indianin mi się przygląda. Otworzyłam drzwi kluczem i puściłam gości przodem. Zamykając za sobą drzwi, po raz ostatni pozwoliłam sobie zerknąć na Edwarda. Siedział w

furgonetce zupełnie nieruchomo, z poważną miną.

- Czy mogę? - zapytałam Billy'ego, wyciągając ręce po pakunek.

- Schowaj to lepiej do łódki - doradził, wręczając mi torbę. - W zimnie nie rozmięknie. To specjalna panierka do ryb Harry'ego Clearwata. Domowej roboty. Charlie ją uwielbia.

- Super - powtórzyłam, tym razem szczerze. - Brakuje mi już pomysłów na przyrzadzanie ryb, a Charlie z pewnością przywiezie dziś nową dostawę.

- Znow na rybach? - zainteresował się Billy. - Tam, gdzie zawsze? Może odwiedzimy go w drodze do domu.

- Nie, nie - skłamałam szybko, czując, że cała się najeżam.

- To jakieś nowe miejsce, ale nie mam pojęcia, gdzie.

Moja reakcja nie umknęła jego uwadze. Postanowił zmienić strategię.

- Jak - zwrócił się do sy na, wciąż bacznie mi się przyglądając. - Może byś tak skoczył do auta i przytnął do najnowszego zdjęcia Rebecki? Też je zostawimy dla Charliego.

- A gdzie jest? - spytał Jacob ponuro. Zerknęłam na niego, ale stał ze wzrokiem wbitym w podłogę. Czolo miał zmarszczone.

- Wydaje mi się, że powierzało się w bagażniku. Mogło się gdzie zaplątać.

Chłopak wyszedł z powrotem na deszcz. Zostaliśmy sami. Zapadła krepująca cisza. Po kilku sekundach miałam dość, więc przeszłam do kuchni. Mokra koła wózka zaskrzyziały za mną na linoleum.

Weisnąwszy brązową torbę na zapchaną górną półkę lodowni, odwróciłam się w stronę gościa gotowa na przyjęcie ataku. Twarz Billy'ego była nieprzenikniona.

- Charlie wróci dopiero za ładnych parę godzin. - Zabrzmiało to niegrzecznie, jakbym ich wyganiała.

Indianin przyjął ten fakt do wiadomości skinięciem głowy, ale nadal milczał.

- Jeszcze raz dziękuję za panierkę - spróbowałam z innej beczki.

Znow skinął głową. Westchnęłam ciężko i spletałam ręce na piersi.

Billy wyczuł widocznie, że zrezygnowałam na dobre z gadki - szmatki, bo odezwał się wreszcie:

- Bello...

Czekalam, co ma do powiedzenia.

- Bello, Charlie jest jednym z moich najbliższych znajomych.

- Wiem.

- Zauważyłam - ważył każde słowo - że ostatnio spędzasz sporo czasu z jednym z Cullenów.

- Zgadza się - odparłam cierpko.

Zmrużył oczy.

- Może wypycham nos w nie swoje sprawy, ale uważam, że to nie najlepszy pomysł.

- Masz rację. To wpychanie nosa w nie swoje sprawy.

Zaskoczył go mój hardy ton.

- Pewnie nie wiesz, że rodzina Cullenów ma u nas w rezerwacie bardzo złą reputację.

- Tak się składa, że wiem - Ponownie go zaskoczyłam. - Nie sądzę jednak by sobie na nią zasłużyli. Przecież żadne z nich nigdy się tam nie zapuszcza, nieprawdaż?

- Ta niezbyst subtelna aluzja do zawartego niegdyś paktu dała Billy'emu sporo do myślenia.

- To prawda - przyznał. Miał się na baczności. - Wydajesz się być dobrze poinformowana. Lepiej, niż się spodziewałem.

Rzuciłam mu wyzywające spojrzenie.

- Może nawet lepiej od pana. Zamyślił się na moment, zaciśnięwszy usta.

- Możliwe - odpowiedział z przebiegłą miną. - Pytanie tylko, czy Charlie jest równie dobrze poinformowany, co ty.

Bingo. Znalazł słaby punkt w mojej linii obrony. Zrobiłam unik.

- Charlie bardzo lubi Cullenów - przypomniałam. Indianin zrozumiał moją taktykę doskonale. Nie wyglądał na uszczęśliwionego takim obrotem sprawy, ale i nie był zaskoczony.

- Może to i nie mój interes - oświadczył - ale Charliego tak

- Ale będzie i mój, bez względu na to, czy uważam, że to jego interes, czy nie, prawda?

Miałam nadzieję, że Billy zrozumie tę chaotyczną wypowiedź. Staralam się jak mogłam, by nie powiedzieć niczego, co wskazywałoby na to, że jestem skłonna iść na kompromis.

I zrozumiał widocznie, bo zamyślił się tylko. Bębniecie deszczu o dach było jedynym dźwiękiem zakłócającym ciszę.

- Masz rację - poddał się w końcu. - To twoja sprawa.

Odetchnęłam z ulgą.

- Dziękuję, Billy.

- Ale przemyśl to sobie jeszcze, Bello - doradził.

- Jasne.

Spojrzał na mnie z powagą.

- Po prostu daj sobie z tym spokój.

Trudno było się z nim kłócić. Znał mnie od dziecka i martwił się o mnie.

Trzasnęły frontowe drzwi. Drgnęłam nerwowo.

- Wszędzie szukałem - dobiegł nas z przedsionka głos Jacoba. - W aucie nie ma żadnego zdjęcia.

Wszedł do kuchni. Całą górę koszuła miał przemoczoną, a z włosów kapłała mu woda.

- Hm? - Billy obrócił wózek w stronę syna. - Pewnie zostawiłem je jednak w domu.

- No to świetnie. - Jacob teatralnie wywrócił oczami.

- No cóż, Bello, proszę, powiedz Charliemu - Billy zrobił krótką pauzę - że wpadliśmy przejazdem.

- Okej - mruknęłam.

- To już się zbieramy? - zdziwił się Jacob.

- Charlie wróci dopiero wieczorem - wyjaśnił mi ojciec, wyjeżdżając z kuchni.

- Och. No to do zobaczenia.

- Do zobaczenia.

- Uważaj na siebie - rzucił Billy. Nic nie odpowiedziałam.

Jacob pomógł ojcu przejechać przez próg. Upewniwszy się, że moja furgonetka jest już pusta, pomachałam im na pożegnanie i zamknęłam drzwi, zanim odjechali, choć nie miałam zamiaru opuszczać przedsionka. Usłyszałam

odgłos zapuszczanego silnika. Gdy hałas uciech, odczekałam jeszcze dobrą minutę, by zebrać się na górę, żeby się przebrać w coś mniej wyzywającego.

Przymierzalam bez przekonania kilka bluz i bluzek - nie byłam pewna, czego się spodziewać po nadchodzącym wieczorze. Kiedy wybiegałam myślami w przyszłość, wszystko to, co się niedawno wydarzyło, zaczynało wydawać się

nieistotne. Poza tym, uwolniona spod wpływu uroku Jaspera i Edwarda, zaczęłam nadrabiać poranne godziny, kiedy to jeszcze nie a nie się nie bałam - Ze strachem przyszło otrzymanie. Przypomniało mi się, że tak czy siak cały wieczór

spędzę w wiatrówe, więc zrezygnowały ze strojenia się, włożyłam starą flanelową koszulę i dzinsy.

Zadzwonił telefon. Rzuciłam się biegiem do słuchawki. Tylko jeden głos chciałam teraz usłyszeć, każdy inny byłby rozczarowaniem. Wiedziałałam jednak, że gdyby Edward naprawdę miał mi coś do zakomunikowania

materializowały się po prostu w mojej sypialni. - Halo? - spytałam zdyszanyim głosem.

- Bella? To ja. - Dzwoniła Jessica.

- A, cześć. - Dziwnie było powrócić tak nagle do rzeczywistości. Miałam wrażenie, że znałam Jessicę w innym życiu, a przynajmniej, że od naszego ostatniego spotkania minęło ładnych parę miesięcy.

- I jak tam było na balu? - spytałam przytomnie.

- Fantastycznie się bawiłam! - Nie potrzebując więcej słów zachęty, dziewczyna przeszła do nadzwyczaj szczegółowego opisu wczorajszej potańcówki. Staralam się wtrącać odpowiednie partykuły w dogodnych momentach, ale miałam ogromne problemy z koncentracją. Jessica, Mike, szkoła - to wszystko było takie nierealne, takie blahe. Zerkałam co chwila przez okno na zachmurzone niebo, próbując ocenić, ile jeszcze do zachodu słońca.

- Czy ty mnie w ogóle słuchasz, Bello? - spytała less z irytacją.

- Przepraszam, co mówiłaś?

- Ze Mike mnie pocałował! Uwierzyysz?

- Gratulacje.

- A co ty wczoraj porabiałaś? - spytała, podkreślając, że jeśli o nią chodzi, jest gotowa słuchać. A może miała mi za złe, że nie chciałam wyciągnąć od niej szczegółów?

- Nic takiego. Głównie kręciłam się wkoło domu, żeby złapać trochę słońca.

Usłyszałam, że Charlie wjeżdża do garażu.

- Edward Cullen się z tobą nie kontaktował?

Trzasnęły frontowe drzwi, a potem słychać było, jak ojciec chowa sprzęt w skrytce pod schodami.

- Ehm - zawahałam się, nie wiedząc, której trzymać się wersji.

- Cześć, małeńka! - zawołał Charlie, wchodząc do kuchni. Po machałam mu na powitanie.

- Rozumiem, twój tata słucha 0 powiedziała Jess - Nie ma sprawy, pogadamy jutro. Do zobaczenia na trygonometrii!

- Do jutra - Odwiesiłam słuchawkę. - Cześć tato. - Szorował właśnie ręce w zlewie. - Gdzie ryby?

- Włożyłem do zamrażarki.

- Wyjmę kilka sztuk, zanim stwardnieją na kamień. Billy wpadł dziś po południu i podrzucił ci trochę panierki Harry'ego Clearwataera - dodałam z celowo przerysowanym entuzjazmem.

- Naprawdę? - Oczy Charliego rozbyły się. - To moja ulubiona. Dokończył toaletę, a ja przygotowałam obiad. Jedliśmy w milczeniu. Charlie rozkoszował się każdym kęsem, ja zaś łamałam sobie głowę, jak dotrzymać danego

Edwardowi słowa i przekazać ojcu radosną nowinę. Nie miałam pojęcia, od czego zacząć.

- Jak ci minął dzień? - Charlie przerwał raptownie moje rozważania.

- Po południu kręciłam się po prostu po domu... - Właściwie to tylko przez jakieś piętnaście minut. Staralam się, żeby mój głos nie zdradzał, jak bardzo jestem spięta, i może nawet mi to wychodziło, ale mój żołądek był jednym

wielkim suplem. - A rano odwiedziłam Cullenów.

Charlie opuścił widelec.

- Byłaś w domu doktora Cullena? - spytał zszokowany.

- Tak - Udałam, że nie dostrzegłam nic dziwnego w jego gwałtownej reakcji.

- I co tam robiłaś? - Charlie przerwał na dobre posiłek.

- Widzisz, umówiłam się na coś w rodzaju randki z Edwardem Cullenem na dziś wieczór i chciał mnie przedstawić swoim rodzicom... Tato?

Charlie wyglądał tak, jakby miał zaraz dostać zawału.

- Tato, nic ci nie jest?

- Chodzisz z Edwardem Cullenem? - zagrzmiał.

Oj.

- Myślałam, że lubisz Cullenów.

- Jest dla ciebie za stary! - zaprotestował Charlie.

Nawet nie wiedział, jak trafna jest jego uwaga.

- Oboje jesteśmy z tego samego rocznika. - Czekaj... - Charlie zamyslił się. - To który jest Edwin?

- Edward, nie Edwin, jest najmłodszy z całego rodzeństwa. To ten rudy.

Ten miedzianowłosy młody bóg...

- Aha. No... to... - Walczył sam ze sobą. - Chyba nie tak źle. Ale ten wielki mi się nie podoba. Z pewnością to bardzo miły chłopak, ale wygląda na zbyt... dojrzałego, jak na ciebie. Czyli ten Edwin to twój chłopak?

- Edward, tato.

- To twój chłopak tak?

- Można tak powiedzieć.

- A kto mi mówił wczoraj wieczorem, że w Forks nie ma nikogo godnego uwagi? Podniósł widelec, wiedziałam więc, że najgorsze minęło.

- Edward mieszka poza Forks, tato.

Rzucił mi spojrzenie, które miało mówić: „Ech, te nastolatki”.

- Ty le że, tato, rozumiem, dopiero zaczęliśmy się spotykać, więc, błagam, nie wyskakuj czasem z tym „chłopakiem”, dobrze?

- Kiedy ma po ciebie przyjść?

- Och, lada chwila.

- Dokąd cię zabiera? jęknęłam głośno.

- Mam nadzieję, że to już koniec przesłuchania, panie inkwizytorze. Będziemy grać w baseball z jego rodziną.

Charlie zdziwił się, a potem zachichotał.

- Ty i baseball?

- Wiem, wiem. Sądzę, że będę głównie kibicem.

- Musi ci naprawdę zależeć na tym chłopaku - zauważył podejrzliwym tonem.

Westchnęłam i wywróciłam oczami, jak przystało na nastoletnią córkę.

Nagle usłyszeliśmy parkujące pod domem auto. Zerwałam się na równe nogi i rzuciłam zmywać naczynia.

- Zostaw to, ja się tym zajmę. Za bardzo mnie rozpieszczasz.

Zadzwoił dzwonek do drzwi i Charlie poszedł otworzyć.

Trzymałam się tuż za nim.

Nie zdawałam sobie sprawy, że zaczęło lać jak z cebra. Edward stał na ganku w aureoli rzucanego przez lampę światła. Wyglądał jak model z reklamy drogich prochowców.

- Ach, to Edward. Zapraszamy do środka.

Odetchnęłam z ulgą, usłyszawszy, że tym razem nie pomylił imienia.

- Dzień dobry, panie komendancie.

- Wchodź, wchodź. Możesz mi mówić po imieniu. Daj no płaszcz, to powieszę.

- Proszę. Dziękuję. - Edward był wcieleniem dobrych manier. Przeszliśmy do saloniku.

- Siadaj, Edward.

Skrzywiłam się, bo usiadł w jedynym fotelu, zmuszając mnie do zajęcia miejsca koło Charliego na kanapie. Rzuciłam mu gniewne spojrzenie. Odpowiedział mrugnięciem, gdy Charlie nie patrzył.

- Jeśli dobrze zrozumiałem, udało ci się przekonać moją córkę do baseballu? - Fakt, że Cullenowie planują mecz, gdy za oknem szaleje ulewa, nie wzbudził jego podejrzenia. Tyłko w stanie Waszyngton coś takiego było możliwe.

- Zgadza się, proszę pana. - Nie wyglądał na zaskoczonego tym, że powiedziałam ojcu prawdę. Najprawdopodobniej podsłuchiwał wcześniej jego myśli.

- Cóż, musisz mieć jakiś dar.

Obaj wybuchnęli śmiechem.

- No dobra. - Wstałam. - Dość tych dowcipów moim kosztem. Zbierajmy się. - Przeszłam do przedsiönka i włożyłam kurtkę. Podążyli za mną.

- Tylko nie wróć za późno, Bello.

- Nie martw się, Charlie - obiecał Edward. - Odstawię ją o przy zwoitej porze.

- Zaopielajesz się moją dziewczynką jak należy?

Wydałam z siebie jęk protestu, ale mnie zignorowali.

- Tak jest. Przyrzekałam, że będzie przy mnie bezpieczna.

Od Edwarda aż były szczerzość i uczciwość. Charlie nie miał innego wyboru, jak tylko mu zaufać. Wyszedł za mną z domu, śmiejąc się z mojego poirytowania. Na ganku stałam jak wryta. Za moją furgonetką stał gigantyczny lśniący czerwienią jeep - jego opony sięgały mi niemal do pachy. Tyłne i przednie reflektory otaczały metalowe ochraniające, a do zderzaka przyczepione były cztery wielkie światła punktowe. Charlie gwizdnął z wrażenia.

- Zapnijcie pasy - wyduślił z siebie.

Podszełszy do auta od strony pasażera, Edward otworzył przede mną szarmancko drzwi. Kiedy zobaczyłam, jaka odległość dzieli mnie od siedzenia, zaczęłam gotować się do rozpaczliwego podskoku. Edward tylko westchnął i podsadził mnie jedną ręką. Miałam nadzieję, że ten pokaz siły uszedł uwadze Charliego.

Chciałam zapiąć pas, ale okazało się, że wokół fotela zwiisa ich kilka. Nie miałam pojęcia, co gdzie wpiąć.

- Co to ma być? - spytałam Edwarda, gdy już obszedł jeepa powolnym ludzkim tempie.

- To specjalne szelki do jazdy po wertepach.

- Och.

Zaczęłam się zapinać. Szło mi to opornie. Edward znów westchnął i pochylił się, żeby mi pomóc. Dzięki Bogu, rzęsisty deszcz uniemożliwiał ojcu podglądanie z ganku. Dłonie Edwarda zatrzymywały się na dłużej przy mojej szyi, ocierały o moje obojczyki...

Zrezygnowałam z manipulowania przy pasach, skłapiając się na kontrolowaniu swojego chorobliwie przyspieszonego oddechu.

- Eee... Duży ten jeep - wybąkałam, kiedy ruszyliśmy.

- Emmetta. Stwierdziłem, że pewnie wolalabyś nie biec całą drogę.

- Gdzie go trzymacie?

- Przerobiliśmy jeden z budynków gospodarczych na garaż.

- A ty nie zapniesz pasów? Spojrzał na mnie z niedowierzaniem.

Dopiero wtedy coś do mnie dotarło.

- Nie biec całą drogę? - Mój głos zrobił się piskliwy. - Całą. - Czy dobrze rozumiem, że kawałek drogi mimo wszystko przebiegniemy?

- Ty nie będziesz biec. - Edward uśmiechnął się cierpko.

- Za to będę wymiotować.

- Nie, jeśli zamkiesz oczy.

Przygryzłam wargi, próbując opanować narastający we mnie lęk. Edward pocałował mnie w czubek głowy i zniemacka głośno jęknął. Zdziwiona podniosłam wzrok.

- Przy deszczowej pogodzie pachniesz intensywniej - wyjaśnił.

- I jest ci z tym przyjemniej czy trudniej? Westchnąłem.

- I tak, i tak. Jak zawsze.

Przez ulewę panowały takie ciemności, że nie wiem, jakim cudem udało mi się wypatrzyć drogę, w którą miał skręcić. Właściwie nie przypominało to drogi, tylko jakiś górski szlak. O prowadzeniu konwersacji nie było mowy, bo rzucało mną rytmicznie niezmiernie koźlowaną piłką do koszykówki. Edward tymczasem świetnie się bawił - przez całą drogę z jego twarzy nie zniknął szeroki uśmiech.

Nagle szlak się urwał. Z trzech stron otoczył nas las. Deszcz przeszedł w mżawkę i słabł z każdą minutą. Spozął chmur zaczęło nieśmiało przecierać niebo.

- Przykro mi, Bello, ale od tego miejsca trzeba już iść pieszo.

- Wiesz co? Chyba sobie tu poczekam.

- Gdzie się podziała twoja odwaga? Rano byłaś gotowa na wszystko.

- Nie zapomniałam jeszcze, jak to było ostatnim razem.

Trudno mi było uwierzyć, że od tamtego wydarzenia minął ledwie jeden dzień.

Edward obszedł jeepa w ulamek sekundy i zanim się obejrzałam, wypinał mnie z szezela.

- Sama sobie poradzę. Idź już, idź.

- Hm - Zamyślił się na chwilę. - Coś mi się wydaje, że będę musiał popracować nad twoimi wspomnieniami.

W okamgnieniu wyciągnął mnie z wozu i postawił na ziemi. Deszcz był już tylko wilgotną mgiełką.

- Alice miała rację.

- Popracować nad moimi wspomnieniami? - Nie podobało mi się to wyrażenie.

- Zaraz zobaczysz. - Oparłszy dłoń o karoserię samochodu, pochylił się nade mną, przyglądając mi się z uwagą. Przywarłam do auta. Nie miałam jak uciec. Edward pochylił się jeszcze bardziej, nasze twarze dzieliło teraz zaledwie kilka centymetrów. Głęboko w jego oczach zarzyły się iskierki wesołości.

- Powiedz, czego dokładnie się boisz? - zapytał, oszłamniając mnie po raz kolejny samą wonią swojego oddechu.

- Tego, że uderzę o drzewo. - Przełknęłam głośno ślinę. - I zginę na miejscu. I że jeszcze potem zwymiotuję.

Nie pozwolił sobie na to, żeby się roześmiać - pocałował mnie za to we względnie między oboczek.

- Nadal się boisz? - zamruczał, nie odsuwając chłodnych warg od mojej skóry.

- Tak - Miałam trudności z koncentracją. - Że uderzę w drzewo. I, że zrobi mi się niedobrze.

Przejechał mi powolutku nosem po szyi, od miejsca, w którym mnie pocałował, aż po brodę. Jego oddech był tak lodowaty, że szczyłał niezmierzonym powietrze w mroźny dzień.

- A teraz? - szepnął wtulony w mój policzek.

- Bez zmian - wymamrotałam. - Drzewa. Wymioty. Edward złożył delikatne pocałunki na moich powieklach.

- Bello, chyba nie myślisz, że mogłbym uderzyć w drzewo?

- Ty nie, ale ja tak - odparłam, ale już bez większego przekonania.

Zwzęsłyśmy rychnie zwycięstwo, Edward pocałował mnie kilkakrotnie w policzek, zatrzymując się tuż przed kącikiem ust.

- Sądzisz, że pozwoliliby mi na to, żebyś się przy mnie zraniła?

- Musnął moją rozedrganą dolną wargę swoją górą.

- Nie. - Wiedziałam, że oprócz drzew miałam jeszcze jeden argument, ale zupełnie wyleciał mi on z głowy.

- Sama widzisz. - Nasze wargi dotykały się co chwila - Nie ma się czego bać, prawda?

Poddałam się.

- Nie, nie ma.

Słyszając to, Edward ujął moją twarz w obie dłonie i pocałował mnie nareszcie tak zupełnie na serio, namiętnie, niemal brutalnie.

Tym razem nie dało się w żaden sposób usprawiedliwić mojego zachowania - wiedziałam już przecież doskonale, jakie będą jego konsekwencje, a mimo to nie potrafiłam się powstrzymać i postąpiłam dokładnie tak samo. Zamiast dla własnego bezpieczeństwa, zaśnygnąć nieruchomo, przycisnęłam Edwarda mocno do siebie, rozwierając przy tym wargi i wydając z siebie głośne westchnienie.

Natychniast bez najmniejszego wysiłku wyrwał się z moich objęć.

- A niech cię, dziewczyno! Wpędzisz mnie do grobu.

Pochyliłam się do przodu, opierając dłoń o kolana.

- Jesteś niezniszczalny - wyduśliłam, starając się złapać oddech.

- Może i w to nawet wierzyłam, ale później poznałam ciebie! - krzyknął. - Ruszmy się stąd lepiej, zanim zrobimy coś naprawdę głupiego. Podobnie jak wczoraj, wziął mnie na barana. Zauważałam teraz, i doceniałam to, jak bardzo musi się starać, żeby opanować gwałtowność swoich gestów i nie zrobić mi krzywdy. Objęłam go z całych sił nogami w pasie, ręce zamknęłam zaś w mocnym uścisku wokół jego szyi.

- I nie zapomnij zamknąć oczu! - przypomniał mi srogim tonem.

Przycisnąjąc twarz do łopatki Edwarda, wsadziłam sobie głowę niemal pod pachę i zacisnęłam powieki.

Podziała. Ledwie czułam, że się przemieszczamy. Oczywiście mięśnie poruszały się pode mną delikatnie, ale równie dobrze mogłby spacerować właśnie po chodniku. Kusilo mnie, żeby podejrzec, czy naprawdę dziko pędzi przez las, powstrzymałam się jednak pamiętając wczorajsze potworne zawroty głowy. Pozostało mi tylko wsłuchiwać się w jego równy oddech.

Nie byłam pewna, czy to już koniec, dopóki nie poglaskał mnie po głowie.

- Jesteśmy na miejscu, Bello.

Odważyłam się otworzyć oczy. Rzeczywiście, staliśmy. Rozluźniając odrętwiałe mięśnie, zaczęłam ześlizgiwać się na ziemię, wyładowałam jednak na plecach i jęknęłam z bólu i zaskoczenia.

Z początku Edward nie zareagował, uznając najwyraźniej, że jest jeszcze na mnie zły, a zatem powinien mnie wyniośle ignorować. Musiałam jednak wyglądać wyjątkowo komicznie, bo po krótkiej chwili nie wytrzymał i wybuchł głośnym śmiechem.

Podniosłam się i nie zwracając na niego uwagi, zabrałam do ściierania z kurtki listków paproci i błota. Jeszcze bardziej go to rozmieszyło. Zirytowana odwróciłam się na pięć i ruszyłam w las.

- Dokąd to? - Schwytał mnie w talii.

- Na mecz baseballu. Ty, jak widzę, znalazłeś sobie inne zajęcie, ale jestem pewna, że inni zdołają się bez ciebie świetnie bawić.

- Idziesz w złą stronę.

Zawróciłam, nie patrząc nawet w jego kierunku. Znowu mnie przytrzymał.

- Nie wściekaj się, nie mogłam się opanować. Żałuj, że nie widziałaś swojej zdezorientowanej miny.

- Ach tak? - spytałam, unosząc brew. - To tylko tobie wolno się wściekać?

- Wcale nie byłam na ciebie zły.

- „Do grobu mnie wpędzisz?” - zacytowałam oschle. - To było tylko stwierdzenie faktu.

Próbowałam się odwrócić i odejść, ale trzymał mnie mocno.

- Byłeś wściekły.

- Byłem.

- A dopiero co powiedziałeś...

- Że nie byłem zły na ciebie. Nie widzisz tego, Bello? - Spowaźniał. - Naprawdę nie rozumiesz?

- Czego znowu nie rozumiem? - Zaskoczyła mnie ta nagle zmiana nastroju.

- Że nigdy nie jestem zły na ciebie. Jakże bym mógł? Jesteś taka dzielna, ufna... taka ciepła.

- To dlaczego tak się zachowujesz? - wyszeptaliśmy. Zawsze wydawało mi się, że w takich chwilach jest sfrustrowany - i ma do tego pełne prawo. Że irytują go moja powolność, mój słaby charakter, moje spontaniczne reakcje...

Przyłożył mi dłoń do policzków.

- Wpadam w straszliwy gniew - wyjaśnił cichym głosem - bo nie potrafisz cię należeć chronić. Sama moja obecność jest dla ciebie ryzykowna. Czasami czuję do siebie wstręt. Powinienem być silniejszy, powinienem móc...

Zakryłam mu usta dłonią.

- Prześnię.

Odsunął ją, ale przytrzymał przy policzku.

- Kocham cię - powiedział. - To marna wymówka, ale i szczerza prawda.

Po raz pierwszy wyznał wprost, co do mnie czuje, choć może sam nie zdawał sobie z tego sprawy.

- A teraz, proszę, zachowuj się jak należy - oświadczył i pocałował mnie ostrożnie w same usta.

Tym razem ani drgnęłam. Westchnęłam, gdy się wyprostował.

- Przyrzekłeś komendantowi Swanowi odstawić mnie o przyzwoitej porze, pamiętasz? Lepiej już chodźmy.

- Tak jest.

Uśmiechnąwszy się smutno, wypuścił mnie z objęć, wziął za rękę i poprowadził przez las. Przedzieraliśmy się przez wysokie wilgotne paprocie i zwisające z drzew girlandy mchu, potem minęliśmy olbrzymią choinę i znaleźliśmy się na ogromnej polanie u stóp gór Olympic. Była dwa razy większa od przeciętnego stadionu baseballowego.

Jakiś sto metrów od nas, na niewielkim nagim wypiętrzonym skałnym, siedzieli już Esme, Emmett i Rosalie. O wiele dalej majaczyły sylwetki Jaspera i Alice. Choć dzieliło ich dobre kilkaset metrów, sądząc z ich ruchów, najwyraźniej coś między sobą przerzucali, nie byłam jednak w stanie dostrzec żadnej piłki. Carlisle z kolei obchodził właśnie polaną i wydawał się zaznaczać bazy, ale trudno było mi uwierzyć, że będą położone tak daleko od siebie.

Zauważywszy nas, trójka na skale podniosła się z miejsc. Esme ruszyła w naszym kierunku. Rosalie oddaliła się z dumnie podniesioną głową, nie obdarzywszy nas choćby jednym spojrzaniem. Emmett przez jakiś czas wpatrywał się w jej plecy, po czym podążył za swoją przyszywaną matką. Poczulałam się nieswojo, widząc, że nie przez wszystkich jestem tu mile widziana.

- Czy to ciebie słyśmy przed chwilą, Edwardzie? - spytała Esme, podszedłszy bliżej.

- Myśleliśmy już, że to jakiś niedźwiedź się krztusi - dodał Emmett.

- Tak, to on. - Zerknęłam na Esme z nieśmiałym uśmiechem.

- Belli udało się mnie przypadkowo rozbawić - wyjaśnił Edward, wyrównując między nami rachunki.

Alice podbiegła do nas charakterystycznie dla siebie, tanecznym krokiem. Mimo wielkiej prędkości, potrafiła wyhamować niesłychanym wdziękiem.

- Już czas - ogłosiła.

Gdy tylko wypowiedziała te słowa, rozległ się grzmot. Błyskawica uderzyła gdzieś na zachód od Forks. Rozkołysały się korony drzew.

- Aż ciarki przebiegają po plecach, prawda? - zwrócił się do Emmett z porozumiewawczym mrugnieniem.

- Chodźmy. - Alice złapała go za rękę i rzuciła się dzikim pędem ku środkowej gigantycznej boisku. W biegu przypominała rączką gazelę. Jej bratu także nie brakowało wdzięku i poruszał się z równie zawrotną szybkością, ale z pewnością nie można było obdarzyć go takim epitetem.

- Gotowa na mecz? - spytał Edward. Jego oczy błyszczały.

- Do dzieła, drużyno! - zawołałam, starając się zabrnieć odpowiednio entuzjastycznie.

Parasknął śmiechem, zmierzwił mi pieszczołliwie włosy i ruszył w ślad za rodzeństwem. Szybko ich przeredził. W jego ruchach było coś z drapieżnika - wyglądał bardziej na geparda niż gazelę. Bila od niego taka moc i uroda, że aż zaparło mi dech w piersiach.

- Podejźmy bliżej? - Miękką, melodyjną głosem Esme wyrwał mnie z zamyślenia. Uświadomiłam sobie, że gapię się na Edwarda z rozdziawioną buzią. Nastychniast się opanowałam i pokiwałam głową. Esme trzymała się ponad metr ode mnie - cielawa byłam, czy nadal robi wszystko, co w jej mocy, żeby mnie nie przestraszyć. Dopasowała swoje tempo do mojego, ale nie wyglądała na zniecierpliwioną z tego powodu.

- A ty nie grasz? - wybąkałam nieśmiało.

- Nie, wolę sędziować. Lubię pilnować, żeby grał uczciwie.  
- Tak często oszukują?  
- O tak. Żebyś tylko słyszała, jak się przy tym wyklócają! Albo lepiej nie, pomyślisz jeszcze, że wychowali się ze stadem wilków.  
- Mówisz zupełnie jak moja mama - zaśmiała się zaskoczona. Też się roześmiała.  
- No cóż, nie ma co ukrywać, że rzeczywiście często traktuję ich jak własne dzieci. Nie potrafię zapanować nad swoim instynktem macierzyńskim. Czy Edward wspominał ci, że straciłam dziecko?  
- Nie - wymamrotałam zszokowana, zastanawiając się, czy doszło do tego przed czy po jej przemianie.  
Tak było, moje pierwsze i jedyne dziecko. Mój syneczek, biedactwo, zmarł zaledwie kilka dni po urodzeniu. - Westchnęła Ciekło. - Złamało mi to serce. To dlatego rzuciłam się z klifu do morza - dodała bez cienia zmieszania.  
- Edward mówił tylko, że spa... spadał z klifu - wyjąkałam.  
- Dżentelmen w każdym calu - skwitowała. - Edward był pierwszym z moich nowych synów. Zawsze tak właśnie o nim myślałam, jak o synu, chociaż poniekąd jest starszy ode mnie. - Uśmiechnęła się do mnie serdecznie. -  
Właśnie, dlatego tak bardzo się cieszę, że cię znalazł, skarbie. - To pieszczołliwe określenie zabrzmiało w jej ustach zupełnie naturalnie. - Zbyt długo sam chodził po tym świecie. Serce mi się krajało, że nie ma nikogo u jego boku.  
- Więc nie masz nic przeciwko? - spytałam z wahaniem. - Nie uważasz, że nie pasujemy do siebie?  
- Nie. - Zamyśliła się. - Taką sobie ciebie wybrał. Wszystko jakoś się ułoży. - Chciała mnie pocieszyć, ale minę miała zatroskaną. Rozległ się kolejny grzmot.  
Esme zatrzymała się - doszłyśmy widocznie do skraju boiska. Wszystko wskazywało na to, że gracze podzielili się już na drużyny. Edward stał daleko od nas, po lewej stronie, Carlisle pomiędzy pierwszą a drugą bazą, a Alice miała piłkę w dłoni, musiała, więc być miotaczem.  
Emmett czekał na piłkę, wymachując aluminiowym kijem. Robił to tak szybko, że niemal nie było go widać. Bijak przecinał wieczorne powietrze, wydając niesamowite, gwizdzące odgłosy. Spodziewałam się, że chłopak lada chwila przejdzie do ostatniej bazy, ale kiedy przykucał, gotując się do wybiecia, zorientowałam się, że właśnie tam się ona znajduje. Żaden człowiek na miejscu Alice nie zdołałby dorzucić piłki na taką odległość. Jasper, jako łapacz przeciwniej drużyny, stał kilka dobrych metrów za Emmettem. Oczywiście żaden z zawodników nie miał na sobie rękawic. - Wszystko gotowe! Alice, rzucaj! - zawołała Esme. Wiedziałam, że nawet Edward ją usłyszy.  
Alice stała wyprostowana jak struna, jakby wcale nie miała zamiaru się poruszyć. Jak gdyby nigdy nic, trzymała piłkę w obu dłoniach na wysokości pasa. Wołała widocznie działak przebiegłe, z zaskoczenia, niż drażnić przeciwnika kąśliwymi uwagami. Nagle wygięła się niczym atakująca kobra, jej prawa ręka ledwie mignęła w powietrzu, i już piłka wbiła się z impetem w nadstawioną dłoń Jaspera.  
- Czyli Emmettowi się nie udało? - szepnęłam do Esme.  
- Skoro Jasper ma piłkę, to nie - odpowiedziała.  
Jasper odrzucił piłkę do Alice. Pozwoliła sobie na szeroki uśmiech, po czym ponownie cisnęła ją w kierunku ostatniej bazy.  
Tym razem kij jakimś cudem trafił niewidzialny pocisk, o czym powiadomił nas przeraźliwy huk, który odbił się echem od pobliskich gór. Natychmiast zrozumiałam, czemu niezbędna była im burza z piorunami.  
Piłka wystrzeliła nad polaną niczym meteor, poszybowała nad drzewami i zasyłała się głęboko w lesie.  
- Stracona - mrugałam.  
- Czekał, czekał. - Esme nasłuchiwała czegoś z podniesioną jedną ręką. Rozzejrzałam się. Emmett miał się niemal niewidoczny po boisku, chcąc zaliczyć na czas wszystkie bazy. Carlisle biegł za nim. Zorientowałam się, że brakuje Edwarda.  
- Złapana! - zawołała Esme, wykonując swoje obowiązki sędziego. Spojrzałam z niedowierzaniem ku ścianie lasu. Edward wyskoczył spomiędzy drzew, trzymając piłkę wysoko w górze. Nawet z tej odległości widać było, że triumfalnie się uśmiecha.  
- Emmett uderza z nas wszystkich najmocniej - wyjaśniła mi Esme - ale Edward z kolei najszybciej biega.  
Przyglądałam się dalszym rundom z szeroko otwartymi oczami. Mój marny ludzki wzrok nie nadążał ani za piłką, ani za przemierzającymi się po boisku zawodnikami.  
Wkrótce poznałam drugą przyczynę, dla której grano w baseballi wyłącznie podczas burzy z piorunami. Pragnąc wywieść Edwarda w pole, Jasper odbił piłkę w stronę Carlisle'a tak, żeby poleciała tuż nad ziemią, po czym Carlisle przechwycił ją i pognął za miotaczem do ostatniej bazy. Kiedy wpadł na siebie, rozległ się taki loskot, jakby zderzyły się dwa głazy narzutowe. Przeraziłam się nie na żarty, ale wyszli z tej kolizji bezszwanku.  
- Bez straty kolejki! - poinformowała Esme pozostałych. Drużyna Emmetta prowadziła o jeden punkt - po sześciym biegu przez bazy Rosalie zaliczyła dotknięcie, gdy Emmett stał na pozycji odbijającego - a potem Edward po raz trzeci złapał piłkę. Podbiegł do mnie zaraz z uradowaną miną.  
- I jak ci się podoba?  
- Jedno wiem na pewno. Już nigdy nie będę w stanie obejrzeć w całości zwykłego meczu ligowego. Umarłabym z nudów.  
- Akurat uwierzę, że cię wcześniej ekscytowały - zaśmiał się.  
- Muszę jednak przyznać, że jestem odrobinę rozczarowana - oświadczyłam, chcąc się nieco podroczyć.  
- Co cię rozczarowało? - zdziwił się szczerze.  
- Cóż, miło by było się dowiedzieć, że istnieje, choć jedna dziedzina, w której nie jesteś najlepszy na świecie.  
Uśmiechnął się łobuzersko, tak jak lubiłam najbardziej. Z wrażenia zakręciło mi się w głowie.  
- Czas na mnie - rzucił i poszedł ustawić się na pozycji odbijającego.  
Zagrał z rozmysłem, puścił piłkę nisko, z dala od zwinnych rąk Rosalie na polu zewnętrznym, a potem w błyskawicznym tempie zaliczył dwie bazy, zanim Emmett zdołał włączyć piłkę z powrotem do gry. Później piłkę trafił Carlisle - od huku, jaki narobił, aż zabolaly mnie uszy - i wybił ją tak daleko, że obaj z Edwardem zdążyli obiecać całe boisko. Alice z gracją przybiła im piątki, obie drużyny szyły lew w lew, a strona wygrywająca nagrywała się drugiej z taką samą energią, co dzieci grające na podwórku. Od czasu do czasu Esme przywoływała ich do porządku. Nieraz jeszcze zagrzmiało, ale deszcz do nas nie docierał, dokładnie tak jak przewidziała to Alice. Carlisle trzymał akurat w ręku bijak, a Edward miał łapać, gdy dziewczyna w zniecka głośno krzyknęła. Odruchowo zerknęłam na Edwarda. W mgnienu oka poznał myśli siostry i znalazł u mojego boku, zanim inni zdążyli spytać, co się stało.  
- Alice? - W głosie Esme dało się wyczuć napięcie.  
- A myślałam... jak mogłam... Nie, nie byłam w stanie...  
Rodzina zebrała się wokoło spanikowanej dziewczyny.  
- O co chodzi, Alice? - spytał Carlisle stanowczym tonem głowy rodu.  
- Przemierzają się znacznie szybciej, niż myślałam - wyszeptala. - Teraz wiem, że źle to sobie obliczyłam.  
Jasper nachylił się nad nią z troską. - Co się jeszcze zmieniło? - spytał.  
- Usłyszeli, że gramy, i zmienili kurs - wyznała skruszona jakby była temu winna.  
Poczułam na sobie siedem par oczu, ale zaraz wszyscy odwrócili wzrok.  
- He mamy czasu? - spytał Carlisle Edwarda.  
Zanim odpowiedział, skoncentrował się na czymś intensywnie.  
- Mniej niż pięć minut. - Skrzywił się. - Biegną. Nie mogą się doczekać. Chcą się włączyć do gry.  
- Wyrobisz się? - Carlisle znów zerknął na mnie przelotnie.  
- Nie, nie z obciążeniem - odparł Edward krótko. - Poza tym ostatnia rzecz, której nam trzeba, to to, żeby coś wywęszyć i postanowili zapolować.  
- Ilu ich jest? - spytał Emmett Alice.  
- Troje - odpowiedziała lakonicznie.  
- Troje! - zachnął się. - To niech sobie przychodzą. - Nieświadomie napiął imponujące mięśnie ramion.  
Przez ułamek sekundy, który ciągnął się w nieskończoność. Carlisle zastanawiał się nad tym, jakie wydać dyspozycje. Tyko Emmett zdawał się nieporuszony całym zamieszaniem - pozostali z napięciem wpatrywali się w twarz doktora.  
- Po prostu grajmy dalej - oświadczył w końcu Carlisle. - Alice mówiła, że są tylko nas cielaki.  
Cała ta wymiana zdań od olzku dziewczyny trwała najwyżej kilkanaście sekund. Skłupiona wyłapałam większość słów, nie wiedziałam tylko, co Esme starała się właśnie przekazać Edwardowi, spojrzała na niego znacząco, a on dyskretnie pokręcił przecząco głową - Kobieta odetchnęła z ulgą.  
- Zastąp mnie, dobrze? - zwrócił się do niej. - Niech ja teraz trochę posędzuję. - Nadal nie odstępował mnie ani na krok. Wszyscy prócz niego wrócili na boisko, lustrując bystry mi oczami ciemną ścianę lasu. Odniosłam wrażenie, że Alice i Esme zajmują takie pozycje, by móc mieć mnie na oku.  
- Rozpuść włosy - rozkazał Edward cicho.  
Ściągnąwszy posłusznie gumkę, potrząsnęłam głową, żeby się równomiernie rozłożyły.  
- Obcy są coraz bliżej - powiedziałam, jakby nie wiedział.  
- Tak więc bardzo cię proszę, stój spokojnie, nie odrywaj się, nie hałasuj i trzymaj się blisko mnie. - Nie udało mu się do końca ukryć zdenerwowania. Zaczął przerzucać kosmyki moich długich włosów do przodu, przed ramiona, próbując chyba zasłonić mi twarz.  
- To nic nie da - zawołała Alice. - Czulam ją nawet z drugiego końca boiska.  
- Wiem - rzucił lekko spanikowanym tonem. Carlisle zajął miejsce przy ostatniej bazie. Nikomu nie było spieszo rozpocząć gry. - Co chciała wiedzieć Esme? - spytałam Edwarda szeptem. Zawahał się przez chwilę, ale zdecydował się mi to wyjawic.  
- Czy są głodni - wymamrotał, patrząc gdzieś w bok.  
Mijały kolejne sekundy. Gra toczyła się teraz apatycznie - nikt nie miał śmiałości wybijac piłkę poza boisko, a Emmett, Rosalie i Rosalie Jasper trzymali się pola wewnętrznego. Choć byłam coraz bardziej sparalizowana strachem, dostrzegłem, że Rosalie co jakiś zerka w moim kierunku. Wraz jej oczu pozostawał nieprzenikniony, ale sposób, w jaki wykrzywała usta, pozwalała mi domyślić się, że jest rozgniewana.  
Edward ignorował zupełnie to, co się działo na boisku. Wzrokiem i myślą przeczesywał las.  
- Tak mi przykro, Bello - szepnął z pasją. - Tak cię narażam. Zachowałem się beznymie, nieodpowiedzialnie. Mogę tylko przeproszać.  
Nagle wstrzymał oddech i nie odrywając oczu od drzew po prawej stronie boiska, zrobił krok do przodu, by znaleźć się między mną a zbliżającymi się gośćmi.  
Carlisle, Emmett i inni także obrócili się w tamtym kierunku. Wszyscy słyszeli to, czego mnie słyszeć nie było jeszcze dane - odgłosy przedzierania się przez chaszczę.



Wyrzulił się z lasu jedno po drugim, w odległości jakichś dwunastu metrów od siebie. Mężczyzna, który wyszedł na polane pierwszy, cofnął się natychmiast, by pojawić się po chwili ponownie, tym razem jednak za plecami bruneta, który, jak z tego wynikało, dowodził całą grupą. Trzecia była kobieta. Z tak dużej odległości mogłam o niej powiedzieć tylko tyle, że ma plomiennorude włosy niezwykłej urody.

Zbliżając się do rodziny Edwarda, mieli się wyraźnie na baczności i trzymali się blisko siebie, jak zresztą przy stało na trojęk drapieżników, które napotykały na drodze nieznanie, liczebniejsze stado tego samego gatunku.

Gdy podeszli dostatecznie blisko, uświadomiłam sobie, jak bardzo różnią się od Cullenów. W ruchach nieznanymi kryło się coś kociego, jakby w każdej chwili gotowi byli do sprężytego skoku. Strojem nie odstawiali zbytnio od zwykłych turystów - wszyscy mieli dłuższy i grube flanelowe koszule. Ubrania te były już jednak mocno wystrzępione, stóp przybyłszy zaś nie chroniło obuwie. Obaj mężczyźni mieli krótko przystryżone włosy, ale w imponującej ognistej barwie grzy wie kobiety roilo się od listki i innych leśnych pamiątek.

Carlisle wyszedł im naprzeciw w asyście Emmetta i Jaspera. On także zachowywał wszelkie zasady ostrożności. Nieznajomi przyjrżeli mu się uważnie. Wyglądał przy nich jak dystyngowany mieszczuch na wakacjach przy grupie prostych drwali. Musiało ich to nieco uspokoić, bo niezależnie od siebie wyprostowali się i rozluźnili.

Z całej trójki najbardziej urodziwy był z pewnością przywódca grupy. Pod charakterystyczną białością skóry lała się piękna, oliwkowa cera, pasująca do lśniących czernią włosów. Mężczyzna nie wyróżniał się wzrostem ani wagą, ale z pewnością wielu zazdrościło mu muskulatury, choć rzecz jasna daleko mu było do Emmetta. Uśmiechając się, odsłaniał ośniewający białe zęby.

Kobieta była bardziej dzika, jej oczy rozbiegane. Zerkała wciąż to na Carlisle'a i jego świtę, to na pozostałych, którzy stali rozproszeni bliżej mnie. Jej potargane włosy drgały w podmuchach lekkiego wieczornego wiatru. Nadal przy pominała mi kota. Drugi mężczyzna trzymał się z tyłu, nie narażał się ze swoją obecnością. Był nieco niższy i walejszy od bruneta, miał jasnobrązowe włosy o przeciętnym odcieniu, a w regularnych ryśach jego twarzy nie było nic, co przykuwałoby uwagę. Jego oczy, choć zupełnie nieruchome, wydały mi się najbardziej czujne.

To właśnie kolor oczu najbardziej ich wyróżniał. Spodziewałam się, że będą złote lub czarne, tymczasem miały złowrogą barwę burgunda. Po ich ujrzeniu trudno było dojść do siebie.

Nadał się uśmiechając, przywódca grupy podszedł do Carlisle'a.

- Wydawało nam się, że gra to ktoś z naszych - odezwał się swobodnym tonem. W jego głosie pobrzmiwały śladowe ilości francuskiego akcentu. - Jestem Laurent, a to Victoria i James. - Wskazał na swoich towarzyszy.

- Mam na imię Carlisle, a to moi najbliżsi: Emmett i Jasper, a tam dalej Rosalie, Alice i Esme, i Edward z Bella. - Nie przedstawił nas po kolei, tylko z rozmysłem parami bądź trójkami. Drgnąłem, gdy wymówił moje imię.

- Znajdzie się miejsce dla kilku nowych zawodników? - spytał Laurent przyjaźnie.

- Właściwie już kończyliśmy - odparł Carlisle podobnym tonem. - Ale możemy umówić się na później. Planujecie na dużej zatrzymać się w okolicy?

- Po prawdzie kierujemy się na północ, byliśmy tylko ciekawi kto tu jeszcze przebywa. Od bardzo dawna nikogo nie spotkaliśmy.

- W tej części stanu jesteśmy tylko my, no i czasami trafiają się przydrożni wędrowcy, tacy jak wasza trójka.

Napięcie stopniowo opadało, a wymiana zdań zamieniała w towarzyską pogawędkę. Domyślałam się, że to Jasper steruje emocjami nowo przybyłych, wykorzystując swój cudowny dar.

- Jak daleko zapuszczacie się na polowania? - zapytał Laurent. Ot, pytanie kolegi z innego kółka łowieckiego.

- Trzymamy się gór Olympic, tylko czasami odwiedzamy Nadbrzeże. Osiedliliśmy się na stałe tu niedaleko. Znamy jeszcze jedną rodzinę, mieszkają na północ stąd, koło Denali<sup>1</sup>.

Laurent odchylił się nieco na piętach.

- Na stałe? - spytał szczerze zdumiony. - Jak wam się to udało?

- To długa historia - odparł Carlisle. - Zapraszam do nas, do domu, tam będziemy mogli rozsiąść się wygodnie i porozmawiać.

Na dźwięk słowa „dom” James i Victoria wymienili zdziwione spojrzenia. Laurent lepiej się kontrolował.

- Brzmi to zachęcająco. - Wydawał się naprawdę uradowany. - Pięknje dziękujemy za zaproszenie. Polowaliśmy całą drogę z Ontario i od dłuższego czasu nie mieliśmy okazji doprowadzić się do porządku. - Zmierzył wzrokiem

schludnie odzianego doktora.

- Mam nadzieję, że się nie obruszy cie, jeśli poprosimy was, abyście powstrzymali się od polowań w najbliższej okolicy. Sami rozumiecie, nie możemy manifestować swej obecności.

- Nie ma sprawy - Laurent skinął głową. - Nie mamy zamiaru naruszać waszego terytorium. Poza tym najedliśmy się do syta pod Seattle - dodał z uśmiechem. Ciarki mi przeszły po plecach.

- Jeśli chcecie podbiec z nami, wskażemy wam drogę. Emmett, Alice, zabierzcie się z Edwardem i Bella jeepem - dodał jak gdyby nigdy nic, choć tak naprawdę był to rozkaz, mający zapewnić mi maksymalne bezpieczeństwo.

Kiedy mówił, trzy rzeczy wydarzyły się błyskawicznie jedna po drugiej. Silniejszy podmuch wiatru zmierzył mi włosy, Edward zamarł, a James odrzucił raptownie głowę i wbił we mnie wzrok. Jego nozdrza pulsowały. Przysiadł gotowy do skoku.

Wszyscy znieruchomieli. Edward przybrał podobną pozycję, obnażając zęby, a z głębi jego gardła dobył się zwierzęcy charkot, niemający nic wspólnego z wesolym warknięciem, którym postraszył mnie w żartach rano. Był to najbardziej przerażający odgłos, jaki dane mi było kiedykolwiek usłyszeć. Od czubka głowy po podeszwy stóp wstrząsnął mną zimny dreszcz.

- A to co ma być? - Laurent nie krył zdziwienia. Jamek i Edward trwali w swoich pełnych agresji pozach, nie zwracając na nikogo uwagi. Gdy obcy wampir zamarkował wyskok w lewo, Edward natychmiast przesunął się w odpowiednią stronę.

- Ona jest z nami - oświadczył Carlisle stanowczym tonem. Zwracał się do Jamesa. Laurent najwyraźniej miał mniej wyczulony zmysł powonienia, ale i on zorientował się już, o co chodzi.

- Przy nieślicie przekąskę? - spytał z niedowierzaniem, odruchowo robiąc krok do przodu.

Edward zawarczał ostrzegawczo, jeszcze bardziej dziko. Jego górna warga drżała podwinięta nad polyskający mi złowrogi zębami. Laurent się cofnął.

- Powiedziała mi, ona jest z nami - powtórzył dobitnie Carlisle głosem nieznoszącym sprzeciwu.

- Ależ to człowiek! - zaprotestował Laurent. Nie wymówił tego ostatniego słowa z obrzydzeniem, po prostu czegoś takiego nie spodziewał.

- Zgadza się - powiedział wpatrzony w Jamesa Emmett. Zwracając uwagę na swoją osobę, chciał zapewne przypomnieć, że w razie czego ma przewagę, i to nie tylko liczebną. James wyprostował się powoli, nie spuszczał jednak ze mnie wzroku, a jęgonozdrza pozostały rozszerzone.

- Cóż widzę, że nie wiemy o sobie paru rzeczy - stwierdził Laurent z udawaną swobodą, starając się rozładować napięcie.

- W rzeczy samej - przyznał Carlisle chłodno.

- Ale nadal jesteśmy gotowi przyjąć wasze zaproszenie. - Zerkał nerwowo to na Carlisle'a, to na mnie. - Rzecz jasna, waszej ludzkiej dziewczynie włos z głowy nie spadnie. Jak już mówiłem, nie mamy zamiaru polować na waszym terytorium.

Wzburzony James spojrział na kompana z niedowierzaniem, a potem zerkał na Victorię, która skakała wciąż oczami od twarzy do twarzy.

Przez chwilę Carlisle przyglądał się przywódcy grupy w milczeniu.

- Wskażemy wam drogę - przemówił w końcu. - Jasper, Rosalie, Esme? - Wywołane podeszły do Jaspera. Stał na ramieniu w ramieniu, zasilając mnie przed gośćmi. Alice błyskawicznie znalazła się u mojego boku, Emmett zaś odłączył się od doktora i podszedł do nas niespiesznym krokiem, cały czas mając oko na poczynania Jamesa.

- Chodźmy, Bello - powiedział cicho Edward. Był w bardzo ponurym nastroju.

Przez ostatnie kilka minut siedziałam jak przy gwoźdźona sparalizowana strachem. Edward musiał powyciąć mnie w łokciu i pociągnąć mocno, żeby wyrwać mnie z otępienia. Alice i Emmett osłaniaли tyły. Powlokłam się niezdarnie ku drzewom, nadal oszolomiona. Być może pozostali opuścili już polane, ale nie mi słyżalał. Wyczułam tylko, że idącego obok mnie Edwarda irytuje wymuszone moimi możliwościami ślimaczne tempo.

Zaraz po wejściu do lasu, nawet na moment nie zwalnając, wziął mnie na barana i natychmiast nabral prędkości. Uczepiłam się go kurtkowo. Alice i Emmett pędzili tuż za nami. Głowę trzymałam nisko, ale moje szeroko otwarte ze strachu oczu nie chciały się zamknąć. Las tonął w mroku, zapadał już zmierzch. Musieliśmy przypominać przemylające się ostępami żawy. Edward, zwykle tak podeksycytowany wampiryzm tempem, tym razem kąpiął gniewem, co pozwalało mu biec jeszcze szybciej. Nawet ze mną na plecach nie dawał się przecięgnąć pozostałym.

Ani się obejrzałam, a już byliśmy przy aucie. Edward cisnął mnie bezceremonialnie na tyłne siedzenie i w mgnieniu oka zasiadł za kierownicą.

- Przyjmij ją - rozkazał Emmettowi, który wślizgnął się za mną do jeepa. Alice zdążyła już zająć swoje miejsce, a Edward od palić silnik Burcząc coś pod nosem, ale wyrzucał z siebie słowa w takim tempie, że nie byłam w stanie nic wychwytać. Brzmiało to w każdym razie jak stek wulgarnych zło.

Wyboje jeszcze bardziej dawały mi się teraz we znaki, a otaczające nas ciemności i tylko pogłębiały moje przerażenie. Emmett i Alice wyglądali zaszepieni przez boczne szyby.

Wyjechawszy na główną drogę, znacznie przyspieszyliśmy. Zorientowałam się, że mierzymy na południe, w przeciwnym kierunku niż Forks.

- Dokąd jedziemy? - spytałam zaniepokojona.

Nikt mi nie odpowiedział. Nikt nawet na mnie nie spojrział.

- Edward, do cholery! Dokąd mnie wywozicie?

- Nie możesz tu zostać. Musimy cię odstawić jak najdalej stąd. Jak najprędzej. - Nie odrywał wzroku od szosy. Według prędkościomierza jechał sto siedemdziesiąt kilometrów na godzinę.

- Zawracaj, krety nie! Odwieź mnie do domu! - Próbowałam zerwać krępujące mnie pasy.

- Emmett - rzucił Edward tonem brutalnego gangstera.

Siłacz posłusznie unieruchomił moje dłonie swoim żelaznym uściskiem.

- Nie! Edward! Nie możesz mi tego zrobić!

- Nie mam wyboru, Bello. A teraz ucisz się, proszę.

- Nie mam zamiaru! Charlie powiadom FBI! Przzeświedł całą waszą rodzinę, Carlisle'a i Esme! Będą musieli wyjechać, ukrywać się bez końca!

- Uspokój się, Bello! - Wionęło od niego chłodem. - Już to przerabialiśmy.

- Ale nie z mojego powodu! Nie pozwól ci ich narażać z mojego powodu! - Rzucałam się i wyrywałam ile sił - na próżno.

Wtedy po raz pierwszy odezwała się Alice:

- Edwardzie, zatrzymaj się, proszę.

- Nic nie rozumiesz - zagrzmiał z rozpaczą. Przez sekundę myślałam, że ogłuchnę. Nigdy jeszcze nie słyszałam, żeby ktoś tak głośno krzyczał - w zamkniętej przestrzeni jeepa było to nie do zniesienia. Edward miał już na liczniku prawie sto osiemdziesiąt - To tropiciel, Alice, nie widziałas? To tropiciel!

Poczułam, że siedzący obok mnie Emmett cały zeszy wniął. Zachodziłam w głowę, czemu akurat słowa „tropiciel” tak bardzo ich przeraża. Chciałam się tego dowiedzieć, ale nie miałam szansy się odezwać.

- Zatrzymaj się, Edwardzie - powtórzyła spokojnie Alice. W jej głosie zabrzmiała niezmana mi władza nuta.

Wskaźówka prędkościomierza przekroczyła sto dziewięćdziesiąt.

- Edwardzie, proszę.

- Posłuchaj, Alice. Czy tałem mu w myślach. Tropienie to jego pasja, obsesja. Chce ją dorwać, Alice, właśnie ją, tylko ją. Ladachwila wyruszy na polowanie.

- Przecież nie wie, gdzie ona...

- Jak sądzisz - przerwał jej - ile czasu zabierze mu złapanietropu, gdy już dotrze do miasteczka? Zaplanował to sobie, jesszczezanim Laurent zdążył się odezwać.

Złapie trop i dokąd on go naprowadzi? Na kogo? Jęknęłam głośno, gdy to sobie uświadomiłam.

- Charlie! Nie możesz go tam zostawić! Nie! - Miotalam się spętana pasami.

- Ona ma rację - powiedziała Alice.

Edward nieco zwolnił.

- Stałmy choć na minutę i przemysłmy wszystko - zaproponowała przebiegle dziewczyna.

Samochód zaczął coraz wyraźniej wytracać szybkość, aż nagle zjechał na pobocze i ostro wyhamował. Wyrzuciło mnie do przodu, ale szelki zadziały i przygwoździły z powrotem do siedzenia.

- Tu nie ma się nad czym zastanawiać - wycedził Edward.

- Nie zostawię tak Charliego! - wrzasnęłam. Zignorował mnie.

- Musimy ją odwieźć - odezwał się wreszcie Emmett.

- Nie! - Edward nawet nie chciał o tym słyszeć.

- Jest nas więcej. Nie przechytrzy nas. Nic będzie miał szans jej tknąć.

- Przyczai się. Emmett się uśmiechnął.

- My też możemy zacząć.

- Nie czytałeś mu... Ech, nic nie rozumiesz. Wybrał już ofiarę, teraz nic go nie powstrzyma. Musielibyśmy go zabić.

Wizja ta wydawała się nie martwić Emmetta.

- Zawsze to jakaś alternatywa - mruknął.

- Jest jeszcze ta ruda. Są parę. A jeśli trzeba będzie się bić, Laurent też do nich dołączy.

- Mamą przewagę.

- Istnieje inne wyjście - wtrąciła Alice szeptem.

Edward spojrzął na nią z furją.

- Nie ma żadnego innego wyjścia!!! - W jego głosie brzmiało co raz więcej agresji i niż kiedykolwiek.

Emmett i ja wpatrywaliśmy się w niego szokowani, ale Alice najwyraźniej spodziewała się podobnej reakcji. Zapadła cisza. Alice i Edward patrzyli sobie prosto w oczy. Przezciągając się w nieskończoność minut toczyli niemy pojedynek

To ja go przerwałam.

- Czy nikt nie chce poznać mojego planu?

- Nie - uciął Edward. Nie spodobało się to Alice. Po raz pierwszy wyglądała na zagniewaną.

- Wysłuchaj mnie, błagam. Wpierw zabierzcie mnie do domu.

- Nie! - przerwał mi Edward.

Spojrzałam na niego tylko wilkiem i ciągnęłam dalej:

- Wpierw zabierzcie mnie do domu. Powiem ojcu, że chcę wracać do Phoenix. Spakuję się. Poczekaamy, aż ten cały tropiciel namierzy mój dom, i wtedy wyjedziemy. Facet ruszy za nami w pogoń i zostawi Charliego w spokoju, z kolei Charlie nie naśle FBI na waszą rodzinę. A potem możecie mnie wywieźć, gdzie wam się żywnie podoba.

Cała trójka była zaskoczona tym pomysłem.

To nie taki zły manewr - stwierdził Emmett. Mogłabym się za to na niego obrazić.

- Może się udać. - Alice myślała intensywnie. - Wiesz dobrze, że nie mamy prawa zostawić jej ojca na pastwę losu.

Wszyscy przenieśli wzrok na Edwarda.

- To zbyt niebezpieczne. Nie chcę, żeby zbliżał się do niej nawet na sto mil.

Emmett okazał się niesłychanie pewny siebie.

- Edwardzie, w razie czego na pewno go powstrzymamy.

- Nie widzę, żeby miał zaatakować. - Alice skorzyła ze swojego daru. - Spróbuj poczekać na moment, kiedy zostawimy ją samą.

- A szybko się zorientuje, że taki moment nie nastąpi.

- Żądam, aby odwieziono mnie do domu! - Starałam się, by zabrzmiało to dostatecznie stanowczo.

Edward przycisnął palce do skroni i zamknął oczy.

- Proszę - powiedziałam, spuszczając z tonu.

Nie podniósł głowy, a kiedy się odezwał, miał bardzo zmęczony głos.

- Wyjedziesz jeszcze dzisiaj, niezależnie od tego, czy tropiciel zobaczy, czy nie. Powiedz Charliemu, że nie wytrzymasz w Fors ani minuty dłużej. Powiedz mu zresztą cokolwiek, byle podziałało. Wszystko mi jedno, jak na to zareaguje. Spakuj, co będziesz miała pod ręką, i załaduj się do swojej furgonetki. Daję ci na to piętnaście. Piętnaście minut od wejścia do domu, słyszysz?

Jeep ożył raptownie. Edward zawrócił z piskiem opon. Wskazówka prędkościomierza znów zaczęła przesuwac się w prawo.

- Emmett? - Wskazałam głową swoje uwięzione dłonie.

- Ach, przepraszam, zapomniałem. - Zwolnił uścisk

Przez kilka minut sły chać by było tylko warkot silnika, a potem Edward powrócił do wydawania instrukcji:

- Zrobimy to tak. Staniemy pod domem. Jeśli tropiciela tam nie będzie, odprowadzę Bellę do drzwi. Będzie miała piętnaście minut. - Zerknął gniewnie na moje odbicie w lusterko wstecznym. - Emmett, zajmiesz się otoczeniem domu. Alice, zajmiesz się furgonetką. Będę w środku tak długo, póki nie skończy. Gdy wyjedziemy, możecie odwieźć jeepa do domu i opowiedzieć o wszystkim Carlisle'owi.

- Ani mi się śni - przerwał mu Emmett. - Zostaję z tobą.

- Emmett, zastanów się. Nie wiem, jak długo to potrwa.

- Dopóki się tego nie dowiemy, zostaję z tobą. Edward westchnął.

- A jeśli tropiciel już czeka - dokończył - nawet się nie zatrzymamy.

- Zdąży my przed nim - oświadczyła pewnie Alice.

Edward przyjął tę uwagę bez zastrzeżeń. Może nie podobała mu się niektóre jej pomysły, ale przy najmniej teraz jej ufał.

- Co zrobimy z jeepem? - zapytała. Znów się najęzył.

- Odwieziecie go do domu!

- Nie, nie sądzę - odpowiedziała spokojnie. Z ust Edwarda posy pały się przekleństwa.

- Zmieścimy się wszyscy w furgonetce - szepnęłam. Edward uśmiechnął się, że mnie nie słyszy.

- Uważam, że powinniście pozwolić mi wyjechać samej - dodałam jeszcze słabszym głosem.

Tym razem mnie nie zignorował.

- Bello, ten jeden jedyny raz zrób, jak ci każę - wycodził przez zaciśnięte zęby.

- Posłuchaj, Charlie nie jest imbecylem. Jeśli i ty znikniesz zaczniesz coś podejrzewać.

- To nie ma znaczenia. Dopilnujemy, żeby nic mu się nie stało. Tylko to się liczy.

- A co z tropicielem? Widział, jak się dziś zachowałeś. Domyśli się, że jesteśmy razem.

Emmetta po raz drugi zaskoczyła moja przebiegłość.

- Edwardzie, nie lekceważ jej. Myślę, że Bella ma rację.

- Też tak myślałam - przyznała Alice.

- Nie ma mowy - syknął Edward.

- Emmett też powinien zostać - wyjął dalszy ciąg mojego planu. - Ten cały James dobrze mu się przyjrzał.

- Ja też mam zostać? - obruszył się Emmett.

- Będziesz miał więcej okazji, żeby mu dokopać, jeśli zostaniesz - zauważyła Alice.

Edward spojrzął na siostrę z niedowierzaniem.

- Naprawdę sądzisz, że powinienem pozwolić jej jechać samej?

- Nie samej, nie - sprostowała Alice. - Będę ją osłaniać z Jasperem.

- Nie ma mowy - powtórzył Edward, ale już z mniejszym przekonaniem. Logika mojego planu zaczęła do niego przemawiać. Doszłam do wniosku, że mam szansę go przekonać, i zaczęłam działać.

- Przekleją ty dzień, no, kilka dni - poprawił się, widząc w lusterku jego minę. - Pokażę ci w miesiącach publicznych chodź do szkoły. Niech Charlie upewni się, że mnie nie porwał, a gdy James ruszy w pogoń, dopilnuj, żeby podchwycił zły trop. To wszystko. Potem przyjeżdż do mnie, byle okrężną drogą. Jasper i Alice wrócą do domu, a my znów będziemy mogli być razem.

Widać było, że zaczęła traktować moje urojenia na poważnie.

Zamyślił się.

- A dokąd pojedziesz?

- Do Phoenix. - Gdzieżby indziej. Przecież to właśnie powiesz ojcu. Tropiciel jak nie będzie podsłuchiwał.

- A ty zrobisz wszystko, żeby był przekonany, że chcemy go wykiwać. W końcu to, że będzie podsłuchiwał, to dla nas żadna tajemnica. Jest tego świadomy. Nigdy nie uwierzy w to, że naprawdę pojedę tam, dokąd obiecałam.

- Ta dziewczyna jest niesamowita. Aż się jej boję - zachichotał Emmett.

- A jeśli nie da się nabrać?

- Zobaczymy. Przecież w Phoenix mieszka kilka milionów ludzi.

- Ale nietrudno zaopatrzyć się w książkę telefoniczną.

- Nie wróć do siebie.

- Nie? - Zaniekował się.

- Edwardzie, nie będziemy odstępować od niej ani na krok - przypomniała mu Alice.

- I co zamierzacie robić w Phoenix? - spytał cierpko.

- Nie wychodzić na dwór.

- Hm - mruknął Emmett w zamyśleniu. - Nie ma co, brzmi nieźle. - Chodziło mu zapewne o możliwość dokopania Jamesowi.

- Zamknij się, Emmett.

- Sam pomyśl. Jeśli spróbujemy się z nim porachować, gdy Bella będzie gdzieś w pobliżu, istnieje o wiele większe prawdopodobieństwo, że komuś stanie się krzywda - jej albo tobie, gdy rzucisz się ją bronić. Ale jeśli dowiemy się, gdy będzie sam... - Emmett przerwał znacząco i uśmiechnął się do swoich myśli. A jednak miałam rację.

Wjechaliśmy do Eorks. Edward zwolnił. Mimo że przed chwilą stwierdziłam, że jestem gotowa na wiele, poczułam teraz, że ciarki przechodzą mi po plecach. Pomyślałam o Charliem, siedzącym samotnie w domu, i próbowałam wykręcać z siebie, choć trochę odwagi.

- Bello - odezwał się Edward czule. Alice i Emmett wbili wzrok w szyby. - Jeśli dopuścisz do tego, by coś ci się stało, cokolwiek, będziesz za to osobiście odpowiedzialna, rozumiesz?

- Tak - Przełknęłam głośno ślinę.

- Czy Jasper sobie poradzi? - spytał Edward siostrę.

- Okaż mu choć odrobinę zaufania, Edwardzie. Jak na razie mimo wszystko, spisuje się bez zastrzeżeń.

- A ty, poradzisz sobie?

W odpowiedzi Alice, ta zwiewna, gibka istota, wykrzywiła zmienacką twarz w potworny grymasie i warknęła gardłowo niczym tygrysyca. Przerazenie wbiło mnie w fotel.

Edward uśmiechnął się, ale zaraz rzucił ostrzegawczo:

- Tylko zapomnij o swoich pomysłach.

Charlie wyczekał mnie niecierpliwie - w domu paliły się wszystkie światła. Nie miałam zielonego pojęcia, jak przekonać go, żeby pozwolił mi wyjechać. Wiedziałam, że czekająca mnie rozmowa nie będzie należała do przyjemnych.

Edward zaparkował powoli, z dala od mojej furgonetki. Wszyscy troje, masywnie skłupi, siedzieli teraz wyprostowani jak struny, starając się doszukać się w otoczeniu budynku czegoś niety powego. Żaden dźwięk, żadna woń, żaden cień nie mógł ująć ich uwagę. Zamilkł silnik, ale ani drgnęłam, czekając na hasło.

- Nie ma go - odezwał się Edward. Był spięty. - Chodźmy.

Emmett pomógł mi wyciąć się ze wszystkich pasów. - Nie martw się, Bello - szepnął pogodnym tonem. - Wszystkim się tu zajmijemy.

Poczułam, że łada chwila się rozpadnie. Wprawdzie ledwie chłopaka znalazłam, ale trudno było mi pogodzić się z faktem, że nie wiem, kiedy go jeszcze zobaczę. A był to dopiero początek. Miałam świadomość, że prawdziwie bolesne pożegnania są jeszcze przede mną. Na myśl o nich po policzkach pociekły mi pierwsze łzy.

- Alice, Emmett - zarządził Edward. Rodzeństwo wysłiznęło się bezgłośnie z auta i w gniewnie oka rozplynęło w ciemnościach. Edward otworzył moje drzwiczki, przyciągnął do siebie i opiekuńczo objął ramieniem. Ruszyliśmy szybkim krokiem w kierunku domu. Jego sokoli wzrok bezustannie lustrował okolicę.

- Piętnaście minut - ostrzegł mnie cicho.

- Umowa stoi. - Łzy podsunęły mi pewien pomysł. Znalazłszy się na ganku, ująłłam twarz Edwarda w obie dłonie i zjrzałam mu głęboko w oczy.

- Kocham cię - szepnęłam z pasją. - Zawsze będę cię kochać, niezależnie od tego, co się stanie.

- Tobie nie się nic stanie, Bello - zapewnił mnie z mocą.

- Postępuj tylko według planu, jasne? Opiekuj się Charliem. Nie będzie po tym wszystkim za mną przepadał, ale chcę mieć szansę kiedyś go za to przeprosić.

- Wchodź już - popędził mnie. - Mamy mało czasu.

- Jeszcze tylko jedna rzecz. Nie wierz w ani jedno słowo, które odtąd dziś powiem! - Stał pochylony, wystarczyło, więc tylko wspiąć się na palce i już mogłam pocałować go z całych sił w zaskoczony, skamieniałe usta. Potem odwróciłam się jeszcze przed mną. Na myśl o nich po policzkach pociekły mi pierwsze łzy.

- Spadaj! - zawołałam, wbiegając do środka i zatrzaskując za sobą drzwi. Stał tam jeszcze zszokowany.

- Bella? - Charlie wynurzył się z salonika.

- Daj mi spokój! - wrzasnęłam, szlochając. Łzy ciekły mi ciurkiem. Wbiegłam po schodach do swojego pokoju, zamknęłam z hukiem drzwi i przekręciłam klucz w zamku. Wpierw rzuciłam się na podłogę wyciągną pod łóżka torbę podróżną, a następnie wyciągnęłam spod materaca starą, zrolowaną skarpetkę, w której trzymałam sekretny zapas gotówki.

Charlie zaczął walić w drzwi.

- Bella, nic ci nie jest? O co chodzi? - Nie gniewał się, bał się o mnie.

- Wracam do domu! - wydarłam się histerycznie. Głos drżał mi w idealny sposób.

- Zrobił ci krzywdę? - Charlie gotowy był mnie pomóc.

- Nie! - krzyknęłam kilka oktav wyżej. Edward zmateriałizował się przy komodzie i zaczął ciskać we mnie garściami wyjmowanych zeń ubrań.

- Zerwał z tobą? - Charlie nie wiedział, co o tym wszystkim sądzić.

- Nie! - Miałam nadzieję, że nie było by słychać, że robię się nieco zadyszana. Weciszałam wszystko na ślepo do torby. Edward obrzucił mnie zawartością kolejnej szuflady. Torba była już niemal pełna.

- To co się stało? - Charlie ponowił stulanie.

- To ja z nim zerwałam! - odkrzyknęłam, mocując się z zamkiem błyskawicznym. Edward odsunął mnie na bok i sam się tym zajął - nie dało się ukryć, miał większe zdolności manualne. Pasek torby zarzucił mi na ramię.

- Będę czekał w furgonetce - szepnął. - Do dzieła! - Pchnął mnie w kierunku drzwi, po czym zniknął za oknem.

Otworzywszy drzwi, przeciśniełam się brutalnie koło Charliego i rzuciłam w dół po schodach, silując się ze swoją ciężką torbą. Ruszył za mną.

- Ale dlaczego? - krzyknął. - Myślałem, że go lubisz.

W kuchni złapał mnie za łokieć. Oszłomienie nie pozbawiło go siły. Odwrócił mnie, żeby spojrzeć mi w oczy, i gdy zobaczyłam jego twarz, nabrałam pewności, że nie ma najmniejszego zamiaru pozwolić mi wyjechać. Miałam tylko jeden pomysł na to, jak się wymknąć, ale aby wcielić go w życie, musiałam zranić ojca tak bardzo, że nienawidziłam się już za to, iż coś takiego w ogóle przyszło mi do głowy. Nie pozostało mi jednak zbyt wiele czasu, najważniejsze było dla mnie jego bezpieczeństwo.

Do oczu napłynęły mi świeże łzy. Nie miałam wyboru, musiałam to powiedzieć.

- Lubię go, lubię, i w tym cały problem! Nie mogę tego dłużej ciągnąć! Nie mogę zapuszczać tu korzeni! Nie chcę spędzić swoich najlepszych lat na tym bezradnym wygwizdowie! Nie zamierzam popełniać błędów mamy!

Nienawidzę tej brudnej dziury! Nie wytrzymam tu ani minuty dłużej!

Ojciec puścił moją rękę, jakbym poraziła go prądem. Na jego warzy malował się szoki ból. Odwróciłam się na pięcie i ruszyłam do drzwi.

- Bells, nie możesz teraz wyjechać - szepnął. - Już ciemno.

Nawet na niego nie spojrzałam.

- Przebiegnę w furgonetce, jeśli poczuję się zmęczona.

- Wytrzymaj jeszcze do końca tygodnia, aż Renee wróci - poprosił. Moje zachowanie było dla niego jak uderzenie obuchem.

- Aż Renee wróci? - Informacja ta zupełnie zbiła mnie z tropu.

Charlie ożywił się, widząc moje wahanie.

- Dzwoniła, kiedy cię nie było. Nic układa im się na tej Florydzie. Jeśli Phil nie dostanie miejsca w drużynie do końca tygodnia, oboje wracają do Arizony. Drugi trener Sidewinders twierdzi, że być może będzie im potrzebny nowy

łącznik - Ojciec paplał, co mu ślina na język przyniosła, byle tylko mnie zatrzymać.

Próbowałam zebrać myśli. Czy ich powrót coś zmienił? Każda sekunda zwłoki mogła kosztować Charliego życie.

- Mam klucz - mruknęłam, naciskając kłamek. Ojciec stał tuż za mną, wyciągał ku mnie rękę. Nadal był tym wszystkim zorientowany. Nie mogłam sobie pozwolić na to, by dłużej z nim dyskutować. Wbiłam mu nóż w serce, a teraz musiałam przekręcić.

- Po prostu mnie puść, Charlie. Nie pasuję tu i tyle. Nienawidzę Forks, naprawdę nienawidzę! - Słowo w słowo powtórzyłam kwestię mamy, którą pożegnała go przed laty, stojąc w tych samych drzwiach. Wlałam w nią tyle jadu, na ile tylko było mi słac.

Moje okrucieństwo opłaciło się - Charlie zamarł na ganku, pozwalając mi wybiec w noc. Pusty, ciemny podjazd przed domem wystraszył mnie nie na żarty. Z duszą na ramieniu rzuciłam się w kierunku majaczącej w mroku furgonetki. Wrzuciwszy torbę na tył wozu, zasiadłam za kierownicą. Kluczyk czekał już na mnie w stacyjce.

- Jutro zadzwonię! - zawołałam. Niczego tak bardzo nie pragnęłam, jak móc mu wszystko wyjaśnić, a miałam świadomość, że być może nigdy nie będę miała ku temu okazji. Odpaliłam silnik i odjechałam.

Edward dotknął mojej dłoni.

- Zatrzymaj się na poboczu - rozkazał, gdy dom i Charlie znikli nam z oczu.

- Poradź sobie, mogę prowadzić - powiedziałam przez łzy.

Znielaczka chwycił mnie w tali, a jego stopa zepchnęła moją z pedału gazu. Przyciągnął mnie sobie na kolana, oderwał mi dłonie od kierownicy i ani się obejrzałam, a już siedział na moim miejscu. Furgonetka nawet na moment nie zmieniła kursu.

- Nie trafilibyś do nas do domu - wyjaśnił.

Za nami rozblęły światła drugiego samochodu. Wyjrzałam przez tylną szybę, trzęsąc się ze strachu.

- To tylko Alice - uspokoił mnie. Znowu ujął moją dłoń - Przed oczami stanął mi osamotniony Charlie na ganku.

- Co z tropicielem?

- Podłuchał końcówkę twojego popisu - przyznał Edward z ponurą miną.

- Nic nie robi ojcu?

- Woli nas. Biegnie teraz na nami.

Przeszedł mnie zimny dreszcz.

- Jesteśmy w stanie go zgubić?

- Nie - odparł, ale jednocześnie przyspieszył. Silnik wozu zawył proteście.

Mój plan przestał mi się nagle wydawać taki wspaniały.

Wpatrywałam się w światła auta Alice, kiedy furgonetka zatrzymała się, a za oknem mignął złowrogi cień. Wydarłam się na całe gardło. Edward natychmiast zatkał mi dłonią usta.

- To Emmett! - wyjaśnił, zanim odjął rękę. Objął mnie w pasie.

- Nie martw się, Bello. Przyrzekam, włos ci z głowy nie spadnie.

Pędziliśmy przez opustoszałe miasteczko ku drodze szybkiego ruchu na północy.

- Muszę przyznać, że nie zdawałam sobie sprawy, że nadal aż tak bardzo nuży cię życie na prowincji - zaczął Edward z zupełnie innej beczki. Wiedziałam dobrze, że chce odwrócić moją uwagę od groźących mi niebezpieczeństw.

- Wydawało mi się, że czujesz się tu coraz lepiej - zwłaszcza ostatnio. Cóż, może zbyt szybko schlebiałem, myśląc, że uczyniłem cię nieco szczęśliwszą.

- Zachowawał się podłe - wyznałam, puszczając mimo uszu te przekomarzenia. Wbiłam wzrok we własne kolana. - Powtórzyłam słowo w słowo to, co powiedziała moja mama, kiedy go rzucała. To był naprawdę cios poniżej

pasa.

- Nie przejmuj się. Wybacz ci. - Edward uśmiechnął się łagodnie.

Spojrzałam mu prosto w oczy i zorientował się, że wpadam w panikę.

- Bello, wszystko będzie dobrze.

- Bez ciebie nie - wyszeptalam.

- Za kilka dni znowu się zobaczymy - pocieszył mnie, obejmując ramieniem. - Nie zapominaj, że sama to wymyśliłaś.

- Jasne, że ja. W końcu to najlepszy plan z możliwych.

Na jego twarzy znowu zagościł błady uśmiech, ale zaraz zgasł.

- Dlaczego do tego doszło? - spytałam jęklwym głosem.

- Dlaczego ja?

Edward zasepony wpatrywał się w szosę.

- To wszystko moja wina. Byłem głupi, że tak cię naraziłem. - Jego głos drżał od gniewu. Był na siebie wściekły.

- Nie o to mi chodzi - poprawiłam się. - Przecież tamci dwoje też mnie zobaczyli i co? Jakoś to po nich szły. Poza tym dlaczego wybrał akurat mnie? Mało to ludzi dookoła?

Edward zaważał się, zanim zdążył mi prawdę.

Przeczeszałam starannie jego myśli - zaczęłam cicho - i nie jestem pewien, czy mieliśmy szansę zaradzić temu, co się stało. Poniekąd wina leży częściowo po twojej stronie - zdrwił. - Gdybyś nie pachniała tak wyjątkowo kusząco, może nie zawracałbyś sobie tobą głowę. Ale potem stanąłem w twojej obronie i, cóż, to tylko pogorszyło sprawę. Ten potwór nie jest przyzwyczajony do tego, że nie może zrealizować swoich planów, niezależnie od tego, jak blących rzeczy dotyczą, jest myśliwym i nikim więcej, tropienie to całe jego życie, a tropienie z przeszkodami to dla niego największy prezent od losu. Oto niespodziewanie grupa godnych go przeciwników staje w obronie jakiegoś marnego człowieka. Co za wyzwanie! Nie wierzyłybyś, w jakiej jest teraz euforii. To jego ulubiona rozrywka, a dzięki nam nigdy nie bawił się lepiej. - Głos Edwarda pelen był obrzydzenia.

Zamilkł na chwilę.

- Z drugiej strony - dodał sfrustrowany beznadziejnością sytuacji - gdybym wtedy nie zareagował, zabiłby cię od razu, bez mrugnięcia okiem.

- Myślałam... myślałam, że mój zapach nie działa na inny tak jak na ciebie.

- I nie działa. Co jednak nie znaczy, że twoja osoba żadnego z nich nie kusi. Ha! Jeśli działałabyś w ten szczególny sposób na tropiciela czy kórs z pozostałych, musielibyśmy stoczyć tam na polanie prawdziwą bitwę.

Zadrżałam.

- Chyba nie mam wyboru - mruknął Edward pod nosem.

Trzeba zabić drania. Carlisle'owi się to nie podoba.

Po odgłosie wydawanym przez opony odgadłam, że przejeżdżamy przez most, choć było zbyt ciemno, by dostrzec rzekę. . Wkrótce mieliśmy być na miejscu. Musiałam zadać to pytanie teraz albo nigdy.

- Jak można zabić wampira?

Zerknął na mnie z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

- Jedyńm sprawdzonym sposobem - powiedział surowym tonem - jest rozszarpanie ofiary na strzępy, a następnie ich spalenie.

- Czy tamci dwoje przyjdą mu z pomocą?

- Kobieta bez dwu zdań, ale co do Laurenta, nie jestem pewien. Nie łączą ich żadna silna więź - trzyma się z nimi i wyłącznie z wygody. Był zażenowany tym, jak James zachował się dziś na łące.

- Ale przecież James i ta kobieta - oni będą próbowali cię zabić!

- Bello, proszę, nie marnuj czasu na martwienie się o mnie. Myśl tylko o własnym bezpieczeństwie i - błagam - spróbuj, choć spróbuj nie postępować zbyt pochopnie.

- Czy on nadal nas goni?

- Tak, ale nie wróci do domu Charliego. Przy najmniej nie dziś.

Skręcił w niewidoczną dla mnie dróżkę. Alice pojechała naszym śladem.

Podjechaliśmy pod sam dom. Wprawdzie w oknach palily się światła, ale nie na wiele się to zdało - otaczający budynek las nadal wyglądał pęsnie i groźnie. Emmett otworzył moje drzwi, jeszcze nim samochód stanął.

Wyciągnął mnie ze środka, przytułił do swej szerokiej piersi i pędem ruszył w kierunku drzwi.

Wpadliśmy do białego salonu z Edwardem i Alice po bokach. Wszyscy już tam byli - wstali zapewne, kiedy usłyszeli, że nadjeżdżamy. Towarzyszył im Laurent. Powarkując cicho, Emmett postawił mnie na ziemi koło Edwarda.

- Śledzi nas - oświadczył zebzanym Edward, wpatrując się gniewnie w Laurenta.

- Tego się obawiałem. - Przywódca nowo przybyłych miał zatroskaną minę.

Alice podbiegła tanecznym krokiem do Jaspera i zaczęła szeptać mu coś do ucha. Sądząc po drganiach jej ust, wyrzucała z siebie słowa z zawrotną prędkością. Gdy skończyła mówić, znikła pośpiesznie na piętrze. Rosalie odprowadziła ich wzrokiem, po czym szybko przysunęła się do Emmetta. Jej piękne oczy rzucały przenikliwe spojrzenia, a gdy przy padkowo zerknęła na mnie, odlayam że dziewczyna jest wściekła.

- Jak teraz postąpi? - spytał Carlisle Laurenta z powagą.

- Tak mi przykro - odparł tamten. - Gdy wasz chłopak stanął w jej obronie, pomyślałem sobie, że teraz James już nie odpuści.

- Czy możesz go powstrzymać? Laurent pokręcił przecząco głową.

- Nic nie powstrzyma Jamesa, kiedy już zacznie tropić.

- Ja się nim zajmę - obiecał Emmett. Nie było wątpliwości, co do tego, co miał na myśli.

- Nie dasz rady. Żyję już trzyzsta lat i nigdy nie spałem kogoś takiego jak on. Pokona każdego. Dlatego właśnie dołączyłem do niego i Victorii.

To James był przywódcą grupy! No tak. Show poddaństwa, który urządzili na polanie, miał za zadanie zamyslić nam oczy.

Laurent pokręcił kilkakrotnie głową. Zerknął na mnie, nadal oszłolomiony moją obecnością, a potem na Carlisle'a.

- Czy jesteście pewni, że w ogóle warto?

Ogluszył nas zwierzęcy ryk Edwarda. Laurent cofnął się przerażony.

Carlisle spojrzął na niego z posępną miną.

- Obawiam się, że musisz teraz dokonać wyboru.

Przybyszowi nie trzeba było nic więcej tłumaczyć. Zastanawiał się przez chwilę, zerkając na każdego z zebzanych z osobna, a na koniec rozejrzał się po salonie.

- Intryguje mnie wasz styl życia, ale nie zostaną, by go zasmakować. Nie żywię do nikogo z was złych uczuć - po prostu nie mam zamiaru zmierzyć się z Jamesem. Sądzę, że udam się na północ, do tej rodziny mieszkającej koło Denali. - Zamilkł na moment.

- Nie lekceważcie możliwości Jamesa. Posiada błyskotliwy umysł i niezwykle wyczulone zmysły, a wśród ludzi czuje się równie swobodnie jak wy. Z pewnością nie będzie dążył do bezpośredniej konfrontacji... Jest mi niezmiernie przykro za to, co się tu wydarzyło. Mówię to szczerze. - Skłonił się, ale zdążył wcześniej posłać w moim kierunku kolejne pełne zadziwienia spojrzenie.

- Odejdź z pokoju - pożegnał go oficjalnie Carlisle. Laurent jeszcze raz zlustrował całe pomieszczenie i wszystkich zebzanych, po czym szybko krokiem opuścił salon. Gdy tylko wyszedł, Carlisle zwrócił się do Edwarda:

- He jeszcze?

Nie czekając na odpowiedź, Esme wcisnęła jakiś niepozorny przycisk na ścianie i ogromną połączony z szyby od strony ogrodu zaczęły przesłaniać wielkie, metalowe okiennice. Niemilosierne skrzyptały.

- Jest jakieś trzy mile od rzeki. Krąży, czekając na swoją towarzyszkę.

- Jaki macie plan?

- Odwróćmy jego uwagę, a wtedy Alice i Jasper odeskortują Bellę na południe.

- A potem?

- Gdy tylko Bella znajdzie się w bezpiecznej odległości, zapolujemy na gada - oświadczył Edward zimnym tonem wyrachowanego mordercy.

- Chyba nie mamy innego wyboru - przyznał Carlisle ponuro.

- Weź ją na górę - rozkazał Edward Rosalie. - Zamieńcie się draniem. - Wytrzeszczyła oczy z niedowierzaniem.

- Dlaczego ja? - syknęła. - A kimże ona jest dla mnie? To ty ją sobie sprowadziłeś na naszą zgubę.

Zadrżałam, tyle jadu było w jej głosie.

- Rose... - zamruczał Emmett, kładąc dłoń na jej ramieniu. Straciła ją.

Przyglądałam się uważnie Edwardowi. Znając jego wybuchowy charakter, bałam się, jak zareaguje.

Zaskoczył mnie. Puścił uwagę Rosalie mimo uszu. Dla niego mogłaby już nie istnieć.

- Esme? - odezwał się spokojnie.

- Jasne.

Zaraz znalazła się przy mnie. Nie zdążyłam nawet krzyknąć a już trzy mała mnie w ramionach, pędząc po schodach na górę.

- Po co to? - spytałam, starając się złapać oddech, gdy już postawiła mnie na podłodze jakiegoś zaciemnionego pokoju na pierwszym piętrze.

- Żebym pachniała tak jak ty. W końcu się zorientuje, ale może w tym czasie uda ci się wymknąć. - Usłyszałam, że ubrania Esme opadają na ziemię.

- Raczej nie będą na mnie pasować... - zaprotestowałam, ale zdejmowała mi już przez głowę koszulę. Szybko samodzielnie ściągnęłam dzinsy. Podala mi coś, co chyba było bluzką - miałam trudności z trafieniem rękami w odpowiednie otwory. Potem przyszła kolej na spodnie. Podciągnęłam je do góry, ale nie mogłam wydstać stóp z nogawek - były dla mnie o wiele za długie. Esme rzuciła się na kolana i podwinęła je kilkoma zwinnymi ruchami. Jakimś cudem zdołała się już przebrać w moje ciuchy. Wyciągnęła mnie za rękę na korytarz, gdzie czekała na nas Alice z małą, skózaną torbą. Każda ujęła mnie pod łokieć i niemal przez nie niesiona sfrunęłam schodami do salonu.

Pod naszą nieobecność najwyraźniej wszystko zostało ustalone. Edward i Emmett byli gotowi do wyjścia, a ten drugi dźwięgał imponujący wagą plecak. Carlisle podał Esme coś niewielkiego. Kiedy odwrócił się, by wręczyć podobny przedmiot Alice, okazało się, że to maleńki srebrny telefon komórkowy.

- Esme i Rosalie wezmą twój furgonetkę. Bello - poinformował mnie doktor, przechodząc obok. Skłębłam głową, zerkając z niepokojem na dziewczynę. Wpatrywała się w Carlisle'a z nieskrywaną niechęcią.

- Alice, Jasper - weźcie mercedesa. Na południu Stanów przydadzą wam się przy ciemniarne szyby.

Tak jak ja, oboje pokiwali głowami.

- My pojedziemy jeepem.

Zdziwiło mnie, że ma zamiar jechać z Edwardem. Nagle zdałam sobie z przerażeniem sprawę, że cała ta trójka wybiera się na polowanie.

- Alice, złapią haczyk? - spytał Carlisle przyszwaną córkę.

Oczy wszy stłkłych spoczęły na dziewczynie. Zaciśnięła powieki i znieruchomiała.

Po chwili otworzyła oczy.

- James pójdzie waszym tropem. Kobieta będzie śledzić furgonetkę. - Mówiła z dużym przekonaniem. - Powinniśmy zdążyć się im wymknąć.

- Chodźmy. - Carlisle ruszył w kierunku kuchni.

W gnieniu oka Edward znalazł się przy mnie, przycisnął mocno do siebie i uniósł tak, by mieć moją twarz przed sobą, po czym pocałował, nie zwracając uwagi na obecność rodziny. Jego lodowate wargi były twarde jak kamień. Trwało to ledwie ułamek sekundy. Postawiwszy mnie z powrotem na ziemi, wpatrywał się jeszcze w mnie jakiś czas z uczuciem, trzy mając moją twarz w dloniach. A potem uczucie zgasło, oczy zmartwiały. Odwrócił się i poszli.

Po mojej twarzy spływały bezgłośnie strumienie łez. Pozostali odwrócili grzecznie wzrok. Zapadła cisza.

Miałam jej już serdecznie dość, kiedy telefon Esme zawibrował. Nie zauważyłam nawet, kiedy przytknęła go sobie do ucha.

- Teraz - powiedziała. Rosalie wysłała gniewnym krokiem, ignorując mnie całkowicie, ale Esme, wychodząc, pogłaskała mnie po policzku.

- Uważaj na siebie. - Jej szept unosił się jeszcze w powietrzu, gdy już wyśliznęła się frontowymi drzwiami. Moich uszu dobiegł odgłos silnika furgonetki, głośny, potem coraz słabszy, Jasper i Alice czekali na rozkaz. Wydawało mi się, że dziewczyna sięgnęła po telefon, jeszcze zanim zadzwonił.

- Edward mówi, że kobieta poszła tropem Esme. Podjadę pod wejście. - Znikła w ciemnościach, jak przed nią Edward.

Jasper i ja zmierzylśmy się wzrokiem. Stał w pewnej odległości ode mnie i... miał się na baczności.

- Wiesz co, nie masz racji - powiedział cicho.

- Co takiego?

- Potrafię wyczuć targające tobą emocje. Uwierz mi, jesteście tego warta.

- Wcale nie - mruknęłam. - Poświęcając się bez sensu.

- Nie masz racji - powtórzył z serdecznym uśmiechem.

Przez frontowe drzwi weszła Alice, choć nie słyszałam nadjeżdżającego pojazdu. Podeszła do mnie z wyciągniętymi rękami.

- Mogę? - upewniła się.

- Ty pierwsza prosisz o pozwolenie. - Uśmiechnęłam się cierpko.

Mimo swej wątłej budowy podniosła mnie bez najmniejszego trudu i dla bezpieczeństwa otuliła własnym ciałem. Wybiegliśmy w noc, zostawiając za sobą zapalone światła.

Kiedy się obudziłam, nie potrafiłam zebrać myśli. Postrzęgałam wszystko jak przez mgłę, rzeczywiście myliłam się z sennymi koszmarami. Dopiero po dłuższej chwili zdałam sobie sprawę, gdzie się znajduję.

Nijaki wystrój pokoju wskazywał na to, że nocujemy w motelu. Zyskałam stu procentową pewność, zauważywszy, że lampki nocne są przykrębowane do szafek. Rzecz jasna sięgające ziemi zasłony uszyte były z tej samej tkaniny, co kapa na łóżko, a ściany ozdabiały reprodukcje młdych akwarelek.

Spróbowałam sobie przypomnieć, jak się tu znalazłam, ale najpierw moja głowa ziała pustką, a potem przed oczami stawały tylko fragmenty układanki.

Pamiętałam, że auto, którym jechałam, było czarne i ciemną skórą. O szybach czarna była też w zwykłej limuzynie. Siłnika tego cuda niemal wkładam nie było słychać, choć pędziliśmy autostradą ponad dwa razy szybciej, niż to było dozwolone.

Pamiętałam też, że na tylnym siedzeniu obitym ciemną skórą siedziałam z mną Alice. Nawet nie wiem, kiedy moja głowa opadła na jej ramię. Dziewczyna na najwyraźniej nie miała nic przeciwko takiej zżyłości, a dotyk jej chłodnej, przypominającej fakturę granit skóry przynosił mi nieco dziwaczne w swej naturze ukojenie. Lzy ciekły mi ciurkiem, przemoczyły cały przód koszulki mej pocieszy cię, aż w końcu moje czerwone, obrzęknięte oczy wyschły na dobre.

Mijały kolejne godziny. W końcu nad jakąś górą w Kalifornii pokazała się nieśmiało luna zbliżającego się świtu. Nie byłam jednak w stanie zasnąć. Ba, nie mogłam nawet przytknąć powiek, choć szare światło bezchmurnego nieba raziło mnie boleśnie w oczy. Każda próba kończyła się powtórką z poprzedniego wieczoru, niezdolność realistyczne obrazy przesuwały się jeden za drugim niczym w szalonym fotoplastykonie: zalamany Charlie, Edward z obnażonymi zębami, wściekła Rosalie, bystrooki tropiciel, martwe spojrzenie Edwarda, kiedy całował mnie na pożegnanie... Odpędzałam sen, byle tylko ich nie oglądać. Słońce stało na niebie coraz wyżej.

Nadal czuwałam, gdy zostawisz z sobą przełęcz, znaleźliśmy się w Dolinie Słońca<sup>...</sup>. Było teraz za nami, odbijało się w dachówkach ulicznych domów. Wyprana z wszelkich uczuć, nie zdziwiłam się nawet, że w jedną dobę pokonałszy trzydniową trasę. Wpatrywałam się tępo w rozciągającą się przede mną panoramę miasta. Phoenix - pierzaste palmy, pokryte zaroślami połacie kreozotu, przecinające się chaotycznie nitki autostrad, zaskakujące soczystą zielenią pola golfowe, turkusowe plamy przydomowych basenów - wszystko to przykryte czapą rzadkiego smogu, otoczone poszarpanymi skalistymi wzgóziami i wzgórzami, zbyt niskimi, by zasługiwać na miano gór.

Szose przecinały co jakiś czas cienie palm - ciemniejsze niż w moich wspomnieniach, ale nadal zbyt blade. W takim cieniu nic i nikt nie mógłby się ukryć. Trudno było podejrzewać, że coś tu grozi, ale mimo wszystko nie czułam ulgi, nie czułam wcale wracam do domu.

- Którędy na lotnisko, Bello? - spytał Jasper. Drgnęłam. W jego łagodnym głosie nie dało się doszukać niczego niepokojącego, był to jednak pierwszy dźwięk, jaki przerwał panującą od wielu godzin ciszę.

- Trzy maj się stodziesiątki - odpowiedziałam odruchowo. - Zaraz będziemy jej mijać. - Mój osłabiony brakiem snu mózg działał bardzo powoli.

- Wybieramy się dokądś samolotem? - spytałam po chwili Alice.

- Nie, ale lepiej być blisko, tak na wszelki wypadek Ostatnią rzecz, jaką zapamiętałam, było okrążanie lotniska - okrążanie, nie minięcie. To wtedy musiałam w końcu zasnąć.

Ach, i jeszcze coś, jak przez mgłę - wysiadanie z samochodu. Słońce zniknęło właśnie za horyzontem. Szłam, powłócząc nogami, obejmując jednym ramieniem Alice, która trzymała mnie mocno w talii. Powietrze narzeszczyło było ciepłe i suche...

Nie miałam pojęcia, jak znalazłam się w tym pokoju.

Zerknęłam na zegar na szafce nocnej. Podświetlane czerwienią cyfry głosiły światu, że dopiero, co wybiła trzecia, równie dobrze mogła być to jednak piętnasta. Grube zasłony okienne nie przepuszczały światła słonecznego, w pokoju paliły się za to liczne lampy.

Zeszywniała podniosłam się z łóżka i dowlókłam do okna. Wyjrzałam na zewnątrz. Za oknem było ciemno.

Trzecia nad ranem.

Autostrada poniżej sporadycznie przemyczał jakiś samochód. Rozpoznałam nowo wybudowany, wielopięsowy parking lotniska. Wiedziałam teraz, gdzie dokładnie jestem i która to godzina. Poczulałam się nieco różnie. Przeniosłam wzrok na własne nogi.

Nadal miałam na sobie ubrania należące do Esme. Były na mnie o wiele, o wiele za duże. Rozejrzałam się po pokoju. Na niskiej komódce stała moja torba turystyczna. Ucieszyłam się na jej widok.

Chciałam już poszukać czegoś do przebrania, kiedy ktoś zapukał cicho do drzwi. Serce podskoczyło mi do gardła.

- Mogę wejść? - spytała Alice. Wzięłam głęboki wdech.

- Jasne.

Wszedłszy do pokoju, przyjrzała mi się uważnie.

- Przydałoby ci się jeszcze trochę snu - doradziła. W odpowiedzi tylko pokręciłam głową. Podeszła bezszelestnie do okna i starannie zasunęła zasłony.

- Nie wolno nam wychodzić na dwór - powiedziała.

- Jasne - wychrypiałam. - Chce ci się pić? Wzruszyłam ramionami.

- Nie, dzięki. A co z wami, niczego wam nie potrzeba?

- Poradzimy sobie. - Uśmiechnęła się. - Zamówiłam dla ciebie coś do jedzenia, czeka w drugim pokoju. Edward przypomniał mi, że posiłki są znacznie częściej od nas.

Z miejsca się ożywiłam.

- Dzwonił?

- Nie, mówił mi już wcześniej.

Zasmuciłam się.

Alice schwyła mnie ostrożnie za rękę i poprowadziła do drugiego pokoju. Dobiegał z niego szum głosów cicho nastawionego telewizora. W rogu, przy biurku siedział nieruchomo Jasper. Bez cienia zainteresowania w oczach oglądał wiadomości.

Usiadłam na podłodze przy niskim stoliku, na którym czekała na mnie taca z posiłkiem. Wzięłam pierwszy łyk z ust, nie zastanawiając się nawet nad tym, co jem.

Alice przykupeła na oparciu kanapy i podobnie jak skupiła się na migoczących obrazkach, nie okazując przy tym żadnych emocji.

Jadłam powoli, przyglądając się dziewczynie, tylko od czasu do czasu zerkając na Jaspersa. Stopniowo zaczęło do mnie docierać, że ich zniemienie nie jest normalne. Nie odrywali oczu od ekranu nawet wtedy, gdy leciały reklamy. Coś się musiało stać. Odepchnęłam od siebie tacę, czując narastające mdłości. Alice odwróciła głowę.

- Alice, co jest grane?

- Nic. - Jej spojrzenie wydawało się szczerze... ale jej nie ufałam.

- Co teraz? - spytałam.

- Czekaamy na telefon od Carlisle'a.

- A powinien być już dawno zadzwonił? - Strzał był celny. Alice zerknęła mimowolnie na leżącą na jej torbie komórkę.

- Dlaczego nie dzwoni? Co to oznacza? - Głos mi się lamał, choć starałam się nad nim zapanować.

- Po prostu nie mają nam nic do przekazania - odparła spokojnie, ale jej opanowanie wydało mi się sztuczne, przesadzone. Powietrze zrobiło się jakby gęstsze.

Nagle przy Alice znalazł się Jasper. Jeszcze nigdy nie stał tak blisko mnie.

- Nie masz się o co martwić, Bello. Nic ci tu nie grozi. - Jego pocieszy cię, ton tylko rozbudził moje podejrzenia.

- Wiem, wiem.

- Więc czego się boisz? - spytał zdeszorientowany. Wyczuwał mój lęk, ale nie wiedział, co go powoduje.

Słyszałam, co powiedział Laurent. - Mówił bardzo cicho, pewna, że i tak mnie słyszy. - Stwierdził, że James pokona każdego. A jeśli coś pójdzie nie tak, jeśli się przypadkiem rozdzieli? Jeśli coś kóremuś z nich się stanie - Carlisle'owi, Emmettowi... Edwardowi...? - Zadrzałam. - A jeśli ta dzika kobieta zaatakuję Esme? - Mój głos robił się coraz cięsz, zdradzając początek hysterii. - Jak mogłaby myśleć, że to wszystko przeze mnie? Żadne z was nie powinno ryzykować życia z mojego powodu.

- Bello, przestań, proszę - przerwał mi Jasper. Mówił w wampirzym tempie, więc trudno go było zrozumieć. - Niepotrzebnie się zamartwiasz. Uwierz mi, żadnemu z nas nic nie grozi. Dużo ostatnio przesłała, nie zdręczaj się bez potrzeby. Posłuchaj mnie! - rozkazał, bo odwróciłam wzrok - Nasza rodzina jest silna. To ciebie boimy się stracić.

- Po co sobie mną...

Tym razem to Alice weszła mi w słowo.

Iż niemal sto lat Edward nie może znaleźć dla siebie towarzyski życia. - Dziewczyna dotknęła mojego policzka lodowatymi palcami. - Teraz pojawiła się ty. Tylko my, którzy znamy go od tylu lat, jesteśmy w stanie dostrzec, jak wielka zmiana. Czy sądzisz, że ktoś z nas byłoby zdolne spojrzeć mu w oczy, gdyby przez następne sto lat miał być pogrążony w żalobie?

Im dłużej wpatrywałam się w jej bladą twarz, tym mniejsze czułam wyrzuty sumienia. Spokój był dla mnie zbawienny, zdawałam sobie jednak sprawę, że może być on zasługą szachrajstwa Jaspersa. Dzień ciągnął się w nieskończoność.

Nie ruszaliśmy się z pokoju. Alice zadzwoniła do recepcji z prośbą, by nie niepokojono nas sprzątnięciem. Okna pozostały zamknięte, a telewizor włączony, choć tak naprawdę nikt telewizji nie oglądał. W równych odstępach czasu dostarczano mi zamówione przez telefon jedzenie. Srebrna komórka milczała i z godziny na godzinę wydawała się coraz większa. Moi opiekunowie lepiej niż ja radziłam sobie z tą sytuacją. Kręciłam się, wierciłam, chodziłam od ściany do ściany, oni tymczasem powoli zmieniali się w dwa posagi - nieruchome, acz śledzące dyskretnie każdy mój ruch. Zabijałam czas, zapamiętując wszystkie detale wystroju. Kanapy na przykład obite były materiałem w paski, których kolory powtarzały się według pewnej reguły: po beżowym szedł brzoskwinowy, kremowy, matowy złoty, a potem znów beżowy, brzoskwinowy tak bez końca. Czasem przyglądałam się abstrakcyjnym wzorom na innych tkaninach, podobnie jak w dzieciństwie chmurom, doszukując w nich ukrytych kształtów. Tu leciała w powietrzu błękitna dłoń, tam kobieta czesała włosy, jeszcze gdzieś indziej przeciągał się jak kot. Ale kiedy niewinne czerwone kółko przeobraziło się w ślepię drapieżnika, zdegustowana, czym prędzej odwróciłam wzrok.

Po południu postanowiłam wrócić do sypialni, po to tylko, żeby choć przez chwilę czymś się zająć. Miałam nadzieję, że przebywając samotnie w ciemnościach, będę w stanie przywołać wszystkie ukryte na granicy świadomości lęki, przed którymi chroniły mnie do tej pory manipulatorskie talenty Jaspersa.

Niestety z miejsca w moje ślady poszła Alice, jakby w tym samym momencie znużono jej się siedzenie w drugim pokoju. Zaczęłam się zastanawiać, jak dokładnie brzmiały przekazane jej przez Edwarda instrukcje. Położyłam się na łóżku, a ona usiadła po turecku tuż obok. Z początku zrobiłam się senna, więc łatwo przyszło mi ignorować jej obecność, ale już po kilku minutach, gdy mój umysł wyzwoilił się spod wpływu Jaspersa, orzeźwiła mnie fala narastającej paniki. Zwinęłam się ciasno w kłębek, obejmując rękami kolana.

- Alice?

- Tak?

- Jak sądzisz, co oni teraz robią? - spytałam z udawanym spokojem.

- Carlisle zamierzał wyprowadzić tropiciela tak daleko na północ, jak to tylko możliwe, a potem zawrócić i zaatakować go zniemacka. Esme i Rosalie dostały rozkaz kierować się na zachód i nie przerywać jazdy, dopóki Victoria nie zrezygnuje z pogoni. W razie, gdyby dała się wygrana, miały wracać do Forks, żeby pilnować twojego taty. Myślę, że skoro nie dzwonią, wszystko idzie według planu. Nie dzwonią, bo tropiciel jest tak blisko, że mógłby ich podsłuchać.

- A Esme?

- Pewnie wróciła już do Forks. Nie zadzwoniła, nie mając pewności, że nie jest podsłuchiwana. Sądzę, że wszyscy są po prostu bardzo ostrożni.

- I bezpieczni?

- Bello, ile razy mamy ci jeszcze powtarzać, że nic grozi nam żadne niebezpieczeństwo?

- Nie kłamiesz?

- Nie. - Zabrzmiło to szczerze. - Nigdy cię nie okłamie. Zamilkłam na chwilę. W końcu postanowiłam jej zaufać.

- To powiedz mi... jak się zostaje wampirem?

Nie odpowiedziała od razu. Moje pytanie zbiło ją z pantofelku. Obróciłam się tak, by móc jej spojrzeć w twarz, ale nie potrafiłam odgadnąć, o czym myśli.

- Edward nie chce, żebyś wiedziała, jak to się dzieje - oświadczyła stanowczym tonem, wyczułam jednak, że się z nim w tej kwestii nie zgadza.

- To nie fair. Uważam, że mam prawo wiedzieć.

- Rozumiem cię.

Czekałam, nie odrywając od niej oczu. Westchnęłam.

- Wściełnie się, jak się dowie.

- Nie mu do tego. To sprawa między nami. Proszę cię, Alice, jesteśmy przecież przyjaciółkami. Tak, jakimś cudem byśmy teraz przyjaciółkami, a Alice musiała od samego początku wiedzieć, że tak będzie.

Wpatrywałam się uporczywie w jej piękne, mądre oczy. Podejmowała decyzję.

- Powiem ci - odezwiała się wreszcie - ale musisz zdawać sobie sprawę, że będzie to czysta teoria. Nie pamiętam, co mi się przytrafiło, nigdy też nikomu tego nie robiłam i nie widziałam, jak komuś innemu to robiono.

Czekałam cierpliwie.

- Natura wypożyła nas, jako drapieżników, w cały arsenał, jest tego aż za dużo: siła, szybkość, wyuczalne zmysły, nie wspominając o dodatkowych talentach, jak to się ma w przypadku Edwarda, Jaspera czy moim. Na dodatek niczym mięsożerne kwiaty, przyciągamy nasze ofiary atrakcyjnym wyglądem.

Siedziałam zupełnie nieruchomo. Pamiętałam doskonale, jak Edward zademonstrował mi ów arsenał w sobotę na łące.

Alice uśmiechnęła się złowrogo.

- Posiadamy jeszcze jedną broń, poniekąd zupełnie zbędna. Dziewczyna odsoniła polskujące zęby. - To jad. Nie zabija jedyn nieuruchamia, niespiesznie rozchodząc się po krwiobiegu. Ukąszona ofiara jest zbyt obolała, by uciec. Jak już wspominałam rzadko się przydaje. Skoro podeszło się na tyle blisko, by ukąsić, ofiara nie ma szans na ucieczkę. Ale, rzecz jasna, zdarzają się wyjątki. Dajmy na to Carlisle...

- Więc jeśli zostawi się kogoś z jadem we krwi...

- Przemiana trwa kilka dni, zależnie od tego, ile jadu i jak daleko od serca dostało się do krwiobiegu. Tak długo, jak serce bije, trucizna się rozprzestrzenia, zmieniając kolejne fragmenty ciała i wspomagając gojenie ran. Wreszcie, gdy przemiana dobiega końca, serce przestaje bić. Cały ten czas ofiara nie marzy o niczym prócz śmierci.

Wzdrygnęłam się.

- Cóż, to doświadczenie nie należy do przyjemnych.

- Edward wspominał, że bardzo trudno jest to komuś zrobić. Muszę przyznać, że nie do końca rozumiem, dlaczego.

- W pewnym sensie jesteśmy podobni do rekinów. Kiedy już posmakujemy krwi, ba, kiedy pocujemy sam jej zapach, niezmiernie trudno powstrzymać się nam od ugaszenia pragnienia. Czasami to wręcz niemożliwe.

Rożmiesz, gdy się już kogoś ugryzie, wpada się w szał. Obou stronom jest trudno - jedna walczy ze sobą, druga cierpi katuse.

- Jak sądziś, czemu nie pamiętasz?

- Nie wiem - odparła ze smutkiem. - Dla wszystkich, którym znam, to najlepiej zapamiętane wydarzenie z ich pierwszego życia. Ja z bycia człowiekiem nie pamiętam niczego.

Leżałyśmy tak jakiś czas razem pogrążone w rozmyślniach. Mijały minuty. Niemalże zapomnialam o jej obecności.

Nagle, bez żadnego ostrzeżenia, Alice zerwała się na równe nogi. Zaskoczona podniosłam się na rękach.

- Coś się zmieniło - oświadczyła przejętym głosem, było to jednak wszystko, co miała do powiedzenia.

Dopałła drzwi, ale stał już w nich Jasper. Musiał słyszeć całą naszą rozmowę i niespodziewany komunikat Alice. Położył jej dłonie na ramionach i odprowadził do łóżka. Usiadła na jego skraju.

- Co widzisz? - spytał na napięciu, przyglądając się jej uważnie. Oczy dziewczyny skupiły się na czymś oddalonym o setki mil. Przyśunęłam się bliżej, by lepiej rozumieć wypowiediane cichym głosem słowa. Mówiła w wampirzym tempie.

- Widzę długą salę. Drewniana podłoga, wszędzie lustra. Jest tam, czeka. Przez lustra... przez lustra biegnie złoty pasek

- Gdzie jest ta sala?

- Nie wiem. Czegoś brakuje... Kolejna decyzja nie została jeszcze podjęta.

- Kiedy to się wydarzy?

- Wkrótce. Będzie tam dziś, może jutro. To zależy. Na coś czeka. Teraz jeszcze nie wie.

Jasper zachowywał spokój. Działal metodycznie, wypytując o najbardziej praktyczne wskazówki.

- Co robi teraz?

- Ogląda telewizję. Nie, ogląda coś na wideo. Gdzieś indziej. Ciemno tam.

- Rozpoznajesz to miejsce?

- Nie, jest za ciemno.

- A w tej sali z lustrami, co tam jeszcze jest?

- Tylko lustra i złoty pasek. Biegnie po wszystkich ścianach, jeszcze czarny stolik z wielką wieżą stereo i telewizor. On dotyka wideo, ale nie ogląda tak, jak w tym zaciemnionym pokoju. To sala, w której czeka. - Jej wyraz twarzy zmienił się, przeniosła wzrok na Jaspera.

- Nic więcej?

- Pokręciła przecząco głową. Znieruchomieli wpatrzeni w siebie.

- Co to wszystko znaczy? - spytałam.

Nie odpowiedzieli od razu, ale w końcu Jasper odwrócił głowę.

- Oznacza to, że tropiciel zmienił plany. Podjął decyzję, która zaprowadzi go do sali z lustrami i do zaciemnionego pokoju.

- Ale nie wiemy, gdzie one są?

- Tego nie wiemy.

- Wiemy jednak jedno - wtrąciła Alice ponuro. - Nie będzie dłużej uciekał przed nagonką w górach na północy. Wymknie się im.

- Czy nie powinniśmy w takim razie do nich zadzwonić?

Spojrżeli na siebie niezdecydowani.

I wtedy zadzwonił telefon.

Alice miała go w ręku, zanim zdążyłam choćby podnieść głowę. Nacisnąwszy odpowiedni przycisk, przyłożyła komórkę do ucha, ale odezwała się dopiero po pewnym czasie.

- Carlisle - szepnęła, nie wydawała się jednak przy tym ani zaskoczona, ani uszczęśliwiona. Odetchnęłam z ulgą.

- Tak - powiedziała do aparatu, zerkając na mnie. Później długo słuchała najnowszych wiadomości.

- Przed chwilą go widziałam. - Opisała swoją wizję. - Niezależnie od tego, co nakazało mu wsiąść do tego samolotu, prędzej czy później trafi do tej sali i tego pokoju.

Jej rozmówca coś powiedział.

- Tak Bello? - zwróciła się do mnie, podając mi komórkę. Rzuciłam się do niej biegiem.

- Halo?

- Bella. - To był Edward.

- Och, tak się martwiłam!

- Bello - westchnął zniecierpliwiony. - Przecież ci mówiłem, że masz się o nic nie martwić prócz własnego bezpieczeństwa. - Czulałam się wspaniale, mogąc słyszeć jego głos. Wypełniająca moje serce rozpacza ustępowała miejsca nadziei.

- Gdzie teraz jesteście?

- Pod Vancouver. Wymknął się nam, wybacz. Musiał zacząć coś podejrzewać - trzymał się na tyle daleko, żeby mi nie mógł czytać mu w myślach. Wszystko wskazuje na to, że wsiadł do jakiegoś samolotu. Sądźmy, że wróci do Forks podając poszukiwania. - Za moimi plecami Alice zdawała relację Jasperowi, ale mówiła tak szybko, że nie rozróżniałam poszczególnych słów.

- Wiem. Alice widziała, że uciekł.

- Tylko się nie zamartwiaj. Nie ma szans wpaść na twój trop. Siedz spokojnie w ukryciu, dopóki znów go nie namierzmy.

- Nic mi nie będzie. Czy Esme pilnuje Charliego?

- Tak. Wróciła Victoria. Poszła do waszego domu, ale Charlie był akurat w pracy. Nie przejmuj się, nawet się do niego nie zbliżyła. Z Esme i Rosalie pod bokiem nic mu nie grozi.

- Co ona knuje?

- Najprawdopodobniej próbuje złapać trop. W nocy obeszła całe miasteczko. Rosalie ją śledziła - była na lotnisku, sprawdziła drogi wylotowe, szkołę... Stara się, jak może, ale, wierz mi, nic nie znajdzie.

- Jesteś pewien, że Charlie jest bezpieczny?

- Esme nie spuszcza go z oka, no i my niedługo wrócimy. Jeśli tropiciel pojawi się w Forks, na pewno go dopadniemy.

- Tęsknię za tobą - wyszeptalam.

- Wiem, Bello, i dobrze rozumiem, co czujesz. Mam wrażenie, że zabrałaś ze sobą połowę mnie.

- To przyjeżdż po nią - podkusiłam go.

- Przyjadę, gdy tylko będę mógł. Ale najpierw muszę zadbać o twoje bezpieczeństwo - powiedział tonem żołnierza walczącego o ojczyznę.

- Kocham cię - przypomniałam mu.

- Czy wierzysz, że mimo wszystkich tych rzeczy, na które cię naraziłem, też cię kocham?

- Jasne, że wierzę.

- Wkrótce się zobaczymy.

- Będę czekać.

Gdy tylko się rozłączyłam, znów zrobiło mi się ciężko na sercu.

Odwróciłam się, żeby oddać telefon Alice, i okazało się, że oboje z Jasperem pochylają się nad stołem, a dziewczyna szcącuje coś na kartce papieru z hotelowej papeterii. Zajrzałam jej przez ramię.

Rysowała salę ze swojej wizji. Było to długie prostokątne mieszczące z dużą kwadratową wnęką z tyłu. Podłoga zrobiona była z drewnianych desek. Wszędzie lustra przecinały, co jakiś pionowe linie wyznaczające koniec danej tailli, a także ciągnąca się na poziomie pasa poręcz - wspomniany przez Alice złoty pasek

- To studio taneczne - powiedziałam, nagle rozpoznając znajome kształty.

Rzucili mi zaskoczone spojrzenia.

- Znasz je? - Jasper był jak zwykle opanowany, ale w jego pytaniu wyczułam jakąś uluzę. Alice wróciła do szćcowania. Z tyłu pomieszczenia dorysowała wyjście ewakuacyjne, a z przodu po prawej wieżę stereo i telewizor na niskim stoliku.

- Przypomina miejsce, do którego chodziłam na lekcje tańca. Miałam wtedy osiem czy dziewięć lat. Tamto miało taki sam kształt. - Dotknęłam palcem kwadratowej wnęki. - Tam były toalety, wchodziło się przez inną salę. Ale wieża stała po lewej stronie i nie była taka nowoczesna. No i nie mieli telewizora. W poczekalni było takie duże okno wychodzące na tę salę - właśnie takby to wyglądało, gdyby przez nie zjrzyć do środka.

Opiekankowie przyglądali mi się podziwicznie.

- Jesteś pewna, że to to samo miejsce? - spytał Jasper spokojnie.

- Nie, nie na sto procent. Chyba wszystkie takie sale są do siebie podobne - lustra, poręcz, no wiecie. Po prostu ta wnęka wygląda znajomo. - Wskazałam na drzwi z tyłu sali, które znajdowały się dokładnie w tym samym miejscu, co w mojej szkole tańca.

- Czy teraz masz jakiś powód, żeby tam być? - odezwała się Alice.

- Nie,, ślad. Nie zagłądałam tam od prawie dziesięciu lat. Byłam bezładniejsza, na pokazach zawsze stawali mnie w tylnym rzędzie - wyznałam.

- Więc ta szkoła tańca nic ma teraz z tobą nic wspólnego? - drążyła.

- Nie. Nie sądzę nawet, żeby prowadziła ją ta sama osoba. To musi być jakaś inna sala, w innym mieście.

- A ta twoja szkoła, gdzie się mieściła? - spytał Jasper, niby to od niechcenia.

- Koło naszego domu, tuż za rogiem. Chodziłam tam spacerkiem po szkole... - Przerwałam, widząc, że patrzą po sobie porozumiewawczo.

- Czyli tu, w Phoenix? - Jasper nadal wydawał się prowadzić zwyczajną rozmowę.

- Tak - wyszeptalam. - Na rogu ulic Pięćdziesiątej Ósmej i Cactus.

Wpatrywałyśmy się w szkie sali w milczeniu.

- Alice, czy nikt nas nie namierzy, jeśli użyję twojej komórki?
- Nie - zapewniła mnie. - Będą najwyżej wiedzieli, że jest z Waszyngtonu.
- To zadzwonię do mamy.
- Na Florydzie nic jej nie grozi.

- Tam nie, ale zamierza wrócić do Arizony. Lepiej, żeby nie była w domu, kiedy... kiedy... - Głos mi się załamał. Myślałam intensywnie o tym, co powiedział Edward - partnerka tropiciela przeszukała dom Charliego i szkołę w Forks, gdzie trzymano moje akta.

- Znasz jej numer na Florydzie?

- Nie, nie ma stałego, ale w domu jest sekretarka automatyczna, którą można obsługiwać przez telefon. Mama teoretycznie odsłuchuje regularnie nagrane na niej wiadomości.

- Co o tym myślisz, Jasper?

Zastanowił się.

- Cóż, chyba nic złego się nie stanie. Nie mów tylko, gdzie jesteś, ale o tym, mam nadzieję, nie trzeba ci przypominać.

Szybko wyciągnęłam rękę po aparat i wystukałam tak dobrze sobie znany numer. Automat włączył się po czterech sygnałach. Charakterystycznym dla siebie, energicznym głosem mama poprosiła o pozostawienie nagrania.

- Mam o, to ja. Sluchaj, musisz coś dla mnie zrobić. To ważne. Zadzwoni do mnie, gdy tylko odsłuchasz tę wiadomość. Podaje numer. - Alice napisała go dla mnie szybko pod szkiecem. Powtórzyłam ciąg cyfr dwukrotnie. - Proszę, nie wychodź nigdzie, zanim się ze mną nie skontaktujesz. Nie przejmuj się, nic mi nie jest muszę tylko z tobą pilnie porozmawiać. Możesz dzwonić choćby w środku nocy. Kocham cię, mamusi. Pa. - Zamknęłam oczy, modląc się z całej siły o to, by za sprawą jakiegoś nieprzewidzianego splotu wypadków mama nie wróciła do domu przed odsłuchaniem mojej wiadomości.

Usadowiłam się na kanapie, skubiąc resztki niedojedzonych owoców. Zapowiadał się długi, nużący wieczór. Przyšla mi do głowy myśl, że mogłabym zadzwonić i do Charliego, ale nie byłam pewna, czy minęło już tyle czasu, ile zabrałaby podróż autem z Waszyngtonu. Skoncentrowałam się na oglądaniu wiadomości telewizyjnych - byłam zwłaszcza ciekawa tego, co słyhać na Florydzie. Mogli wspomnieć coś o przyjęciu Philpa do drużyny, liczyłam też na jakiś huragan, strajk bądź atak terrorystyczny.

Doszłam do wniosku, że nieśmiertelność daje nieskończone zapasy cierpliwości. Ani Jasper, ani Alice nie zdawali się odczuwać potrzeby robienia czegośkolwiek. Alice przez pewien czas szkicowała zarys drugiego pomieszczenia ze swojej wizji, wszystko to, co zdołała dostrzec w białym świetle włączonego telewizora, a gdy skończyła, wzorem Jaspera wbiła po prostu wzrok w ścianę. Ja tymczasem walczyłam ze sobą, by nie zacząć miotać się po pokoju, nie wyglądać, co chwila przez okno, a przede wszystkim nie wybiec z wrzaskiem na dwór.

Czekając, aż zadzwoni telefon, musiałam zasnąć na kanapie. Ocknęłam się wprawdzie, gdy Aliceniosła mnie do łóżka, zapadłam jednak na powrót w sen, nim moja głowa dotknęła poduszki.

Obudziłam się, czując, że znów jest o wiele za wcześnie. Najwyraźniej przestawiałam się stopniowo na nocny tryb życia. Przez chwilę wsłuchiwałam się w dochodzące zza ściany dwojga opiekunów. Zdziwiłam się, że rozmawiają tak głośno - gdyby chcieli, nie słyszałabym ich wcale. Wygrzebałam się z łóżka i przeszłam niepewnym krokiem do drugiego pokoju.

Zegar na telewizorze wskazywał drugą nad ranem. Alice szkicowała coś zawzięcie, siedząc na kanapie - Jasper zaglądał jej przez ramię. Nie podnieśli głów, kiedy weszłam, zbyt pochłonięci ryśnięciem.

Podeszłam zaciekawiona.

- Alice miała kolejną wizję? - spytałam Jaspera.

- Tak. Coś kazało mi wrócić do pokoju w widoku, ale teraz nie był już zaciemniony.

Przyjrzyłam się wykańczanemu na moich oczach szkicowi. Rysowany pokój miał niski, belkowany ciemno strop i ściany pokryte niemodną, odrobinę zbyt ciemną boazerią. Na podłodze leżała ciemna wykładzina w jakiś wzorek, jedną ze ścian zajmowało spore okno, a połowę innej kamienny kominiec o tak szerokim palenisku, że można by było z niego korzystać także z sąsiadującego z pokojem salonu. Na samym środku obrazka, w kącie między oknem a kominikiem, na rachitycznej szafce stały telewizor i wideo. Telewizję można było oglądać z podniszczonej narożnej kanapy. Między sofą a szafką stał okrągły niski stolik.

- A tam stoi telefon - szepnęłam, wskazując odpowiednie miejsce.

Spojrzel na mnie.

- To dom mojej mamy - wyjaśniłam.

Alice w okamgnieniu dopadła komórkę. Nie odrywałam w zroko od szkicu znajomego wnętrza. Jasper przy sunął się do mnie bliżej niż kiedykolwiek i delikatnie przyłożył swą dłoń do mojego ramienia. Ledwie czułam jej dotyk, ale podziałało - strach został dziwnie stłumiony, rozproszony.

Alice rozmawiała z kimś przez telefon, ale tak cicho i w takim tempie, że moich uszu dochodził tylko szmer. Przez szkic Jaspera i tak nie mogłam się skoncentrować.

- Bello?

Spojrzałam na nią tępo.

- Bello, przyjedź po ciebie Edward. Wywiezie cię dokądś w asyście Carlisle'a i Emmeta. Przechcesz tam jakiś czas w ukryciu.

- Przyjedź Edward? - Poczulałam się niczym topielec, który ostatkiem sił chwytając przepływającą nieopodal kamizelkę ratunkową.

- Tak pierwszym możliwym lotem. Spotkamy się na lotnisku i zaraz polecicie dokądś dalej.

- Ale co z moją mamą, Alice? Ten potwór czatuje na moją mamę! - Mimo bliskości Jaspera w moim głosie pobrzmiwała nuta hysterii.

- Nie ruszamy się stąd tak długo, jak będzie grozić jej niebezpieczeństwo.

- Tak się nie da, Alice. Nie możecie pilnować w nieskończoność wszystkich moich bliskich. Nie widzisz, jaką przyjął taktykę? To nie mnie stara się wytropić, tylko ludzi na których mi zależy. W końcu kogoś osaczy, zrobi mu krzywdę. Nie mogę.

- Złapiemy go, Bello.

- A co, jeśli to tobie coś się stanie? Myślisz, że dobrze się z tym czuję? Sądzisz, że moi bliscy ograniczają się do samych ludzi?

Alice rzuciła Jasperowi porozumiewawcze spojrzenie. Ni stąd, ni zowąd ogarnęła mnie potężna fala senności. Oczy same mi się zamknęły. Świadoma tego, co się dzieje, zmusiłam się do rozwarcia powiek i czym prędzej odsunęłam od Jaspera.

- Nie chcę teraz spać - syknęłam, wychodząc z pokoju.

Zatrzasnęłam za sobą drzwi do sypialni. Nie chciałam, żeby ktoś był świadkiem tego, jak mierzę się z rozpaczą i strachem. Tym razem Alice zostawiła mnie w spokoju. Przez trzy i pół godziny, skulona w kłębek, kołysząc się rytmicznie, wpatrywałam się w ścianę. Nie miałam pojęcia, jak wyrwać się z tego koszmaru, nie wiedziałam dla siebie żadnej drogi ucieczki. Znalazłam się w sytuacji bez wyjścia - czekała mnie okrutna śmierć, a jedyną niewiadomą było to, ile osób zginie przede mną.

Moją ostatnią deską ratunku był Edward. Ludziłam się myślą, że na widok jego twarzy coś się we mnie odblokuje i znajdę jakieś rozwiązanie.

Wyszłam z sypialni dopiero wtedy, gdy zadzwonił telefon. Wstydziałam się trochę za swoje zachowanie. Miałam nadzieję, że nie uraziłam żadnego z moich opiekunów i że oboje zdawali sobie sprawę, jak bardzo jestem im wdzięczna za ich poświęcenie.

Alice jak zwykle wyrzucała z siebie słowa z szybkością błyskawicy, nie zwróciłam więc nawet uwagi na to, co mówi. Moją uwagę przykuło co innego - zniknął Jasper. Zerknęłam na zegarek. Było wpół do szóstej.

- Właśnie wchodzą na pokład samolotu - poinformowała mnie Alice. - Wyglądają za piętnaście dziesiąta.

Za kilka godzin znowu mieliśmy się zobaczyć. Do tego czasu warto jeszcze było oddać chać.

- Gdzie jest Jasper? - Poszedł nas wymeldować.

- Nie zostaniecie tutaj?

- Nie, wolimy być bliżej domu twojej mamy.

Na myśl o tym, po co to robią, ścisnęło mnie w gardle. Nie miałam jednak czasu na dalsze rozmyślenia, bo znowu zadzwonił telefon. Alice wyglądała na zaskoczoną, ale ja podejrzewałam, że to może być, i z nadzieją wyciągnęłam rękę po słuchawkę.

- Halo? - powiedziała Alice. - Już ją dają... Twoja mama - szepnęła do mnie bezgłośnie.

- Halo?

- Bello? Bello? - usłyszałam znajomy głos. Znałam też bardzo dobrze jego ton. Jako dziecko słyszałam podobny okrzyk tysiące razy - zawsze, gdy podeszłam zbyt blisko do krawężnika albo znikłam mamie z oczu w jakimś zatoczonym miejscu. Była przerażona.

Westchnęłam głęboko. Tego właśnie się spodziewałam, choć starałam się przecież, by wiadomość, którą jej zostawiłam, zmusiła ją do działania, napędzając przy tym stracha.

- Uspokój się, mamó - powiedziałałam jak najbardziej kojącym głosem. Odeszłam parę kroków od Alice - nie byłam pewna, czy pod jej czujnym okiem będę umiała kłamać dostatecznie przekonująco. - Nic takiego się nie stało. Daj mi minutkę, a wszystko ci wyjaśnię, obiecuję.

Zamilkłam zdziwiona tym, że mi jeszcze nie przerwała.

- Mamó?

- Ani pary z ust, póki ci nie powiem, co mówić. - Nie tego się spodziewałam. W słuchawce odezwał się nieznan mi męski głos, przyjemny baryton podobny do tych, które słyszy się w reklamach luksusowych samochodów. Mężczyzna mówił bardzo szybko. - Rób, co ci każę, a twojej matce włos z głowy nie spadnie.

- Przerwał na chwilę. Sparaliżowana strachem czekałam na dalsze instrukcje. - Świetnie - pogratulował mi. - A teraz powtórz za mną, byle naturalnym tonem: „Nie ma mowy, mamó. Zostań tam, gdzie jesteś”.

- Nie ma mowy, mamó. Zostań tam, gdzie jesteś - wyszeptalam z trudem.

- Widzę, że nie idzie ci najlepiej. - Mężczyzna wydał rozbawiony. Rozmawiał ze mną jak gdyby nigdy nie, jakby był moim znajomym. - Może przejdź do innego pomieszczenia, żeby niczego nie zdradzić swoim wyrazem twarzy? Twoja matka wciąż może wyjść z tego cało. No, rusz się. I powtórz: „Mamó, proszę posłuchaj”. Czekam.

- Mamó, proszę, posłuchaj - odezwałam się błagalnym tonem, przechodząc posłusznie do sypialni. Na swoich plecach czułam stroskane spojrzenie Alice. Zamknęłam za sobą drzwi, usiłując myśleć logicznie, mimo obezwładniającego mnie przerażenia.

- Jesteś już sama? Odpowiedz tylko „tak” lub „nie”.

- Tak.

- Ale twoi przyjaciele nadal mogą podsłuchiwać tę rozmowę, prawda?

- Tak.

- Dobra nasza. Powiedz teraz: „Mamó, zaufaj mi”.

- Mamó, zaufaj mi.

- Nie spodziewałam się, że los będzie dla mnie tak łaskawy. Byłem gotowy czekać, a tymczasem twoja matka zjawiała się dużo wcześniej. I chyba dobrze, że tak się stało, nieprawda? Nie musisz się już dłużej zamartwiać.

Czekałam, co powie dalej.

- A teraz słuchaj uważnie. Chcę, żebyś odłączyła się od swoich opiekunów. Sądzisz, że ci się to uda? Odpowiedz „tak” lub „nie”.

- Nie.

- Przykro mi to słyszeć. Miałem nadzieję, że jesteś nieco bardziej pomyslowa. Od tego zależy w końcu życie twojej matki. Powtarzam. Czy sądzisz, że uda ci się odłączyć od swoich opiekunów?

Nie miałam wyboru, musiałam coś wymyślić. Przyomniało mi się, że pojedziemy na lotnisko, dobrze mi znane lotnisko międzynarodowe Sky Harbor: zatłoczone, z płataniną przejść i korytarzy.

- Tak.

- Teraz lepiej. Nie wątpię, że czeka cię trudne zadanie, ale, sama rozumiesz, jeśli tylko się zorientuję, że ktoś ci jednak towarzyszy, cóż, nie będę dłużej taki miły dla twojej matki. Musisz o nas już wiedzieć dostatecznie dużo, żeby zdawać sobie sprawę jak szybko wyczułbym obecność jednego z pobratymców. I jak szybko w takim wypadku byłbym w stanie odpowiednio potraktować twoją rodzicielkę. Czy wszystko jasne? Tak lub nie?

- Tak - odpowiedziałam łamiącym się głosem.

- Świetnie, Bello. A oto, co będziesz musiała później zrobić. Przyjdź do domu swojej matki. Koło telefonu będzie pewien numer. Zadzwoni pod niego. Powiem ci wtedy, dokąd masz się udać. Wiedziałam, rzecz jasna, jakie miejsce ma na myśli i jak cała ta historia ma się zakończyć. Mimo to zamierzałam postępować zgodnie z jego instrukcjami. - Poradzisz sobie? Odpowiedz „tak” lub „nie”.

- Tak.

- By le do południa, Bello, bardzo cię proszę - dodał uprzejmie. - Nie mogę tak siedzieć cały dzień.

- Gdzie jest Phil? - zapytałam prosto z mostu.

- Och, niegrzeczna dziewczynka. Miałas nie odzywać się bez pozwolenia.

Zamilkłam.

- Pamiętaj, że twoi przyjaciele nie mogą zacząć niczego podejrzawać. To bardzo ważne. Powiedz im, że dzwoniła twoja mama i że udało ci się ją przekonać, że nie powinna na razie wracać do domu. A teraz powtórz za mną: „Dziękuję, mamó”.

- Dziękuję, mamó. - Do oczu napłynęły mi łzy, ale robiłam wszystko, co w swojej mocy, żeby się nie rozlecieć.

- Powiedz „Kocham cię, mamó. Niedługo się zobaczymy”. No, mów.

- Kocham cię, mamó - wykrztusiłam. - Niedługo się zobaczymy.

- Do zobaczenia, Bello. Nie mogę się już doczekać naszego kolejnego spotkania. - Tropiciel się rozłączył.

Z emocji mięśnie odmówiły mi posłuszeństwa. Nie byłam w stanie oderwać słuchawki od ucha i opuścić rękł.

Wiedziałam, że muszę zastanowić się nad tym, co teraz poczynić, ale moją głowę wypełniało wspomnienie paniki w głosie matki. Minęło trochę czasu, zanim odzyskałam kontrolę nad własnym umysłem i ciałem.

Powolotku przez mur bólu i rozpacz zaczęły przebiegać się pierwsze myśli. Jak postąpić? Wydałoby mi się, że nie mam wyboru - muszę iść do lustrzanej sali i zginać z rąk wampira. Nie miałam przy tym żadnej gwarancji na to, że jeśli się tam pojawię, mamie nie się stanie. Mogłam tylko mieć nadzieję, że James poprzestanie na mnie, że usatyfakcjonuje go samo pokonanie Edwarda. Ogarnęła mnie rozpacz - nie było mowy o żadnym kompromisie, to James dyktował warunki. Nie miałam innego wyjścia. Musiałam spróbować uciec, choć wiedziałam, co mnie czeka. Odepchnęłam strach na granicę świadomości. Decyzja została podjęta, nie było więc sensu zadrezczać się jakimś dramaty czym mi wizjami. Musiałam teraz trzeźwo zaplanować każdy swój krok. Lada chwila miałam stanąć twarzą w twarz z Alice i Jasperem, a oni nie mogli się niczego domyśleć. Wiedziałam doskonale, jak bardzo jest to istotne i jak bardzo nierealne. Dziękowała Bogu, że Jasper poszedł do recepcji. Gdyby wycał przez drzwi, co przeżyłaby rozmawiając przez telefon, cały mój plan spaliłby na panewce. Po raz kolejny spróbowałam zdławić w sobie lęk. Musiałam się za wszelką cenę uspokoić, chłopak mógł wrócić w każdej chwili. Skupiałam się na planowaniu ucieczki. Liczyłam na to, że przyjdzie mi pomoc dobra znajomość zakamarków lotniska. Tylko pod tym względem miałam nad moimi towarzyszami przewagę. Zaczęłam się zastanawiać, jak by tu oderwać się od Alice...

Wiedziałam, że dziewczyna czeka na mnie za ścianą mocno już zniciertpliwiona, została mi jednak jeszcze jedna rzecz, z którą powinnam była poradzić sobie bez świadków, a także przed powrotem Jaspera - musiałam pogodzić się z tym, że miałam już nigdy nie zobaczyć Edwarda.

Nie dane mi było choćby zerknąć na niego ze świadomością, że oto staram się wyrzyć w pamięci obraz jego twarzy, by móc za brać go ze sobą do lustrzanej sali. Zamierzałam go zranić jak nikt przedtem, a nie mogłam się z nim nawet pożegnać. Przez chwilę pozwoliłam się unieść falom cierpienia, ale wkrótce, tak jak w wcześniej pozostałe uczucia, odepchnęłam je od siebie jak najdalej. Teraz pozostawało mi tylko wrócić do Alice.



Jedyną w miarę naturalną miną, na jaką było mnie stać była twarz zupełnie bez wyrazu, tępą, niemal martwą. W oczach Alice dostrzegłam niepokój. Nie czekałam, aż zada mi jakieś pytanie. Miałam tylko jeden jedyny scenariusz i z pewnością nie poradziłabym sobie z trzymaniem emocji na wodzy, gdybym miała od niego odejść choćby na moment.

- Mama była podenerwowana, chciała wrócić do domu, ale udało się, przekonałam ją, żeby nie ruszała się z Florydy. - Mój głos był równie pozbawiony życia, co mina.

- O nic się nie martw, Bello. Dopilnujemy tego, by nie się jej nie stało.

Odwrociłam się. Gdyby patrzyła na mnie dłużej, mogłaby się zorientować, że coś jest nie tak.

Zauważyłam, że na biurku leży czysta kartka z hotelowej papeterii, i w mojej głowie zaczął formować się pewien plan. Była też i koperta. Świetnie, pomyślałam.

- Alice - odezwałam się, starając się panować nad głosem. - Czy gdybym napisała list do mamy, dopilnowałabyś, żeby do niej trafił? Zostawiłabyś go u nas w domu?

- Jasne - odparła ostrożnym tonem policyjnego negocjatora. Wyczuwała, że jestem na skraju załamania nerwowego. Musiałam, musiałam lepiej się kontrolować.

Przeszłam do sypialni i uklękłam przy szafce nocnej.

Edwardzie, napisałam. Ręka mi się trzęsła, litery ledwie dało się odczytać.

Kocham cię. Jestem jeszcze taka młoda. James znalazł moją mamę. Nie mam wyboru, muszę coś zrobić. Wiem, że może mi się nie udać. Tak bardzo mi przykro.

Nie gniewaj się na Alice ani na Jaspersa. To będzie cud, jeśli ud, jeśli uda mi się im wymknąć. Podziękuj im w moim imieniu za wszystko, zwłaszcza Alice. Ma jeszcze jedną ogromną prośbę - nie próbuj odnaleźć Jamesa. Sądzę, że o to właśnie mu chodzi. Nie mogę znieść myśli, że komuś mogłoby się coś stać z mojego powodu - zwłaszcza Tobie.

Błagam, zrób to dla mnie. To wszystko, co możesz teraz dla mnie zrobić.

Kocham cię. Wybacz mi.

Bella

Byłam pewna, że list prędzej czy później trafi w ręce Edwarda. Mogłam tylko mieć nadzieję, że zrozumie, co mną kierowało, i że choć ten jeden raz mnie posłucha. Złożywszy starannie arkusik, wsunęłam go do koperty i ją zakleiłam.

A potem, równie starannie, zapieczętowałam własne serce.

Od złowieszczego telefonu musiało minąć zaledwie parę minut, ale rozpacz, ból i lęk wydużyły je w nieskończoność. Gdy wyszłam z sypialni, Jasper jeszcze nie wrócił. Byłam się być sama z Alice w jednym pokoju, mogła się czegoś domyślić, z tych samych powodów nie mogłam jednak jej unikać.

Wydałoby się, że w ciągu kilku ostatnich godzin przeżyłam dość dużo, by nic nie było w stanie mnie już zaskoczyć, ale myliłam się. Stałam jak wryta, widząc Alice pochyloną nad biurkiem z dłońmi zacisniętymi i kurczowo na jego krawędziach.

- Alice?
- Nie zareagowała, kołysała tylko rytmicznie głową. Wtedy zwróciłam uwagę na wyraz jej oczu - były nieprzytomne, puste, zamglone... Natychmiast pomyślałam o mamie. Czyżby było już za późno?
- Czym prędzej podeszłam do dziewczyny, chcąc odruchów schwycić ją za rękę.
- Alice! - usłyszałam krzyk Jaspera. Znalazł się przy niej tak szybko, że dopiero gdy odrywał jej dłonie od blatu, zatrzasnęły sięza nim prowadzące na hotelowy korytarz drzwi.
- Co widzisz, to znówu on? - dopytywał się. Wtulila twarz w jego pierś.
- Bella - dobyło się z jej ust.
- Jesteś przy tobie - odparłam.

Odróciła głowę w moim kierunku, ale choć patrzyła mi prosto w oczy, jej spojrzenie pozostawało nieobecne. Uświadomiłam sobie, że wcale mnie nie wołała - odpowiadała jedynie na pytanie Jaspera.

- Co zobaczyłaś? - spytałam tak wyprany z wszelkich emocji głosem, że nie zabrzmiało to wcale jak pytanie.

Jasper przyjrzał mi się badawczo. Utrzymując ze wszystkich sil tępy wyraz twarzy, czekałam na jego dalszą reakcję. Spoglądał to na mnie, to na Alice, i widać było, że coś mu się nie zgadza. Wyczuwał panujący w moim sercu chaos - zgadłam, bowiem, czego dotyczyła najnowsza wizja dziewczyny.

Nagle zaczął ogarniać mnie błogi spokój. Tym razem ucieśalam się, że Jasper stosuje swoje sztuczki. Mogłam się dzięki temu skupić na lepszym kontrolowaniu swoich emocji.

Alice doszła wreszcie do siebie.

- Nic takiego, ten sam pokój co wcześniej - z opóźnieniem odpowiedziała spokojnym tonem. Zabrzniało to całkiem przekonująco.

Spojrzała na mnie w końcu, ale w beznamiętny sposób.

- Zjadłabyś może coś?

- Przekąsę coś na lotnisku. - I ja zachowywałam spokój. Poszłam do łazienki wziąć prysznic, odniosłam, bowiem wrażenie, jak gdyby udzieliły mi się zdolności Jaspera, że Alice bardzo zależy na tym, żeby zostać z nim sam na sam, choć świetnie to ukrywa pod maską opowiadania. Chciała mu powiedzieć, że muszę coś szybko zmienić w swojej taktyce, bo wkrótce popelnia wielki błąd...

Przygotowywałam się do wyjścia wyjątkowo metodycznie, w skupieniu wykonując każdą najdrobniejszą czynność. Rozpuszciałam włosy, pozwalając, by zakryły twarz. Jasper pomógł mi się uspokoić, więc mogłam teraz myśleć logicznie, zastanowił się nad tym, co dalej. Grzebałam w swojej torbie tak długo, aż znalazłam skarpetkę ze schowanym mi oszczędnościarni. Przełożyłam całą kwotę do kieszeni spodni.

Spieszno mi było znaleźć się na lotnisku. Na szczęście opuściliśmy hotel już koło siódmej. Tym razem zsiadaliśmy na tylnym siedzeniu sama. Alice oparła się plecami o drzwiczki, tak że patrzyła na Jaspera, ale co kilka sekund zerkała i na mnie zza szklei swoich ciemnych okularów.

- Alice? - spytałam niby to od niechcenia.

- Tak? - Miała się na baczności.

- Jak to działa? No wiesz, te twoje wizje. Jak to jest? - Wyglądałam przez boczną szybę ze znużoną miną. - Edward mówił mi, że nie są stu procentowo pewne, że pewne elementy się zmieniają, czy tak? - Nie myślałam, że aż tak trudno będzie mi wypowiedzieć jego imię. Musiał wyczuć to Jasper, bo znów załapał mnie fala otępienia.

- Tak, to prawda. Pewne elementy - powiedziała cicho. Miejmy nadzieję, pomyślałam. - Niektóre przepowiednie są pewniejsze od innych, na przykład te dotyczące pogody. Gorzej z ludźmi. Widzę, co robią, dopiero wtedy,

kiedy się na daną rzecz zdecydują. Gdy zmieniają zdanie, choćby jeden drobiazg, wszystko może potoczyć się inaczej.

Pokiwałam głową w zamyśleniu.

- Czy li zobaczyłaś Jamesa w Phoenix dopiero wtedy, kiedy decydował się tu przyjechać?

- Tak - potwierdziła. Nadał by ją czarjma.

Mnie również zobaczyła w lustrzanej sali z Jamesem, wtedy, kiedy zdecydowałam się tam z nim spotkać. Starала się myśleć o tym, co jeszcze widziała. Jasper wyczulby, że panikuję, i zrobiliby się podejrzliwy. Tak czy siak, po najnowszej wizji Alice mieli zapewne zamiar obserwować mnie wyjątkowo uważnie. Moje szanse na ucieczkę były zerowe.

Gdy dotarliśmy na lotnisko, okazało się, że szczęście mi sprzyja, przynajmniej odrobnie. Mieliśmy czekać na Edwarda w terminalu czwartym, tym największym, który przyjmował najwięcej lotów. Nie marzyłam o niczym więcej - terminal ten zapewne z racji swoich rozmiarów, miał najbardziej skomplikowany układ i, co najważniejsze, pewne drzwi na poziomie drugim, które były moją jedną nadzieją.

Zostawiliśmy auto na trzecim piętrze olbrzymiego parkingu. Po raz pierwszy znalazłam drogę lepiej od moich towarzyszy i mogłam służyć im za przewodnika. Zjechawszy windą z masą innych podróżnych na poziom drugi, podeszliśmy pod tablicę z informacjami o najbliższych odlotach. Alice i Jasper omawiali przez dłuższy czas wady i zalety różnych miast - Nowego Jorku, Atlanty, Chicago - miast, w których nigdy nie byłam i których nie miałam już zobaczyć.

Coraz bardziej zniecierpliwiona czekałam na odpowiedni moment. Nie potrafiąc opanować nerwowego odruchu, stukала rytmicznie butem o posadzkę. Usiedliśmy w jednym z wielu długich rzędów krzesel nieopodal bramek z wykrywaczami metalu. Jasper i Alice udawali, że przyglądają się przechodniom, ale tak naprawdę nie spuszczali mnie z oczu. Czulałam na sobie ich czujne spojrzenia za każdym razem, gdy zmieniałam pozycję choćby o centymetr. Sytuacja była beznadziejna. Czy miałam, ot tak rzucić się do ucieczki? Czy w publicznym miejscu odważyliby się użyć wobec mnie siły? A może po prostu pobiegliby za mną?

Wyciągnęłam z kieszeni nieopisaną kopertę i połozylam ją na należącej do Alice czarnej skórzanej torbie. Dziewczyna na zerkała na mnie przytając.

- Mój list - powiedziałam. Kiwając głową, wsunęła go pod górną klapę torby. Już niedługo miał trafić do Edwarda.

Mijały kolejne minuty, od jego przylotu dzieliło mnie coraz mniej czasu. Zadzwiwołam, że każda komórka mojego ciała zdaje się wiedzieć o tym, że Edward jest coraz bliżej, każda z utęśnieniem czeka na jego powrót. Tym trudniej było mi nie zmieniać powziętej decyzji. Zaczęłam wymyślać przeróżne wymówki, by mieć usprawiedliwienie na to, że podejmę próbę ucieczki dopiero po zobaczeniu swojego ukochanego. Zdawałam sobie jednak oczywiście sprawę z tego, że wymlknięcie się moim opiekunom byloby wtedy jeszcze bardziej nieprawdopodobnym osiągnięciem.

Alice proponowała mi kilkanaście razy, że pójdzie z mną na śniadanie. Później, zbywałam ją, jeszcze nie teraz.

Wpatrywałam się w tablicę, na której wyświetlane były informacje o przylocach. Co kilka minut kolejny samolot lądował o czasie, a wyraz, „Seattle” wskazywał na coraz to wyższe miejsce w tabeli.

Nagle, na pół godziny przed planowanym przylotem Edwarda, przy numerze jego lotu pojawił się nowy komentarz. Samolot miał się zjawić w Phoenix dziesięć minut przed czasem. Musiałam działać natychmiast.

- Chyba w końcu zgłodziłam - oświadczyłam. Alice podniosła się z miejsca.

- Pójdę z tobą.

- Jeśli nie masz nic przeciwko, wolałabym pójść z Jasperem, dobra? Czuję się tak jakoś... - Nie dokończyłam zdania. W moich oczach było dość zaleśństwa, by mogła zrozumieć, o co mi chodzi.

Jasper wstał. Alice wyglądała na zdziwioną moją prośbą, ale, dzięki Bogu, chyba nie nie wzbudziło jej podejrzeń. Sądziła zapewne, że jej najnowsza wizja wzięła się ze zmiany planów tropiciela, a nie stąd, że coś przed nią ukrywałam.

Jasper towarzyszył mi w milczeniu, trzymając dłoń na karku, jak gdyby mnie prowadził. Udałam, że w pierwszych kilku barach z brzegu nie zauważyłam nic, na co miałabym ochotę, omiatałam wzrokiem wystawy i menu, niby to szukając czegoś odpowiedniego. Wkrótce skręciliśmy za róg, gdzie Alice nie była w stanie nas obserwować, i znaleźliśmy się u celu - przed toaletami damskimi na poziomie drugim.

- Pozwolisz? Zaraz wrócę. - Skinęłam głową w kierunku wejścia do ubikacji.

- Będzie tu czekał - obiecał Jasper.

Gdy tylko zamknęły się za mną drzwi, puściłam się biegiem. Pamiętałam doskonale, jak kiedyś się tu zgubiłam, i pamiętałam, dlaczego - toaleta ta miała dwa wyjścia. Drugie drzwi tylko kilkanaście metrów dzieliło od wind. Liczyłam na to, że Jasper rzeczywiście nie ruszy się z miejsca, bo wówczas nie miał szans mnie zobaczyć. Wybiegłam z toalet, nie oglądając się za siebie. Wiedziałam, że druga taka okazja się nie powtórzy, więc nawet gdyby mnie dostrzegł, nie wolno mi się było zatrzymać. Gapił się na mnie ludzie, ale ich zignorowałam. Winda kryła się za najbliższym rogiem, a drzwi tej, która akurat jechała w dół wypełniona po brzegi, właśnie się zamykały. Dałam szczupaka w ich stronę i śmiało wsunęłam rękę w szparę, żeby się otworzył. Udało się. Wepchnęłam się przedko pomiędzy poirytowanych podróżnych, sprawdzając przy okazji, czy świeci się parter. Na szczęście ktoś już wcisnął ten guzik przede mną.

Gdy tylko drzwi otworzyły się na interesujący mnie poziomie, wyskoczyłam z niej i popędziłam dalej, nie zważając na protesty potrąconych przechodniów. Zwolniam jeden nie na chwilę przy strażnikach nadzorujących odbiór bagaży. W oddali majaczyło już wyjście. Nie mogłam nawet upewnić się, czy nikt mnie nie goni - miałam tylko kilka sekund przewagi nad tropiącym mnie po zapachu Jasperem. Biegłam tak szybko, że o mały włos nie rozbiłam szyby w otwierających się automatycznie drzwiach - jak dla mnie otwierały się zbyt wolno. Wypadłam na zewnątrz.

Na podjeździe klebiły się tłumy, ale w zasięgu wzroku nie by żadnej taksówki.

Nie mogłam czekać. Alice i Jasper mieli odkryć mój fortel lada chwila, oczywiście jeśli jeszcze nie zorientowali się, że znikłam.

Oboje byli w stanie dogonić mnie w mgnienu oka.

Tymczasem kilka kroków ode mnie zamykał właśnie drzwi autokar podwożący z lotniska gości hotelu Hyatt.

- Stać! - wrzasnęłam, ruszając w jego kierunku i machając dziko do kierowcy.

- To autobus do Hyatta - poinformował mnie zaskoczony, otwierając drzwi.

- Wiem - odparłam hardo. - Właśnie tam się wybieram. - Wskoczyłam po kilku stopniach do środka.

Zerknął na mnie podejrzliwie, bo nie miałam bagażu, ale w końcu nieskory do przepychanki wzruszył jedynie ramionami.

Większość miejsc była pusta. Usiadłam tak daleko od pozostałych pasażerów, jak to tylko było możliwe. Wkrótce zastawiliśmy w tyle zatoczony chodnik i całe lotnisko. Oczami wyobraźni widziałam, jak Edward stoi na skraju drogi, zgubiwszy mój ślad. Nic potrafiłam odgonić od siebie tej natrętniej wizji. Nic placz, powiedziałam sobie, jeszcze wiele przed tobą.

Szczęście nadal mi sprzyjało. Przed wejściem do hotelu Hyatt zmęczona trudami podróży para wypakowywała właśnie z bagażnika taksówki ostatnią walizkę. Wypadłam z autokaru jak strzała i wślizgnęłam się na tylne siedzenia auta. Kierowca autobusu i para z walizkami wlepili we mnie oczy.

Poddałam zdziwionemu taksówkarzowi adres mamy.

- Byłoby szybko, nie mam czasu do stracenia - dodałam.

- Toż to aż w Scottsdale - jęknął mężczyzna. Rzuciłam mu cztery banknoty dwudziestodolarowe.

- Tyle starczy?

- Jasne, małeńka. Do usług.

Opadłam na fotel, splatając ręce na podolku. Za oknami przesuwały się znajome ulice, ale nie zwracałam na nie uwagi. Wytężyłam siły, aby jak najlepiej się kontrolować. Za nic nie chciałam się rozkleić, zaszędzsy tak daleko. Udało mi się uciec, więc pograza nie się w lękach nie miało sensu. Mój los był przesądzony - teraz musiałam się mu poddać.

Tak rozumując, zamiast wpaść w panikę, zamknęłam oczy i spędziłam następną dwadzieścia minut z Edwardem.

Wyobraziłam sobie, co by było, gdyby m została na lotnisku. Stojąc na palcach, wyciągałabym szyję ponad ludzkie kłębowski, by le tylko jak najszybciej zobaczyć ukochaną twarz. Z jakim wdziękiem z jaką chęcią Edward przemyslałby w rozdzielającym nas tłumie. A potem, gdy zostaloby mu jeszcze tylko parę kroków, lekkością jak zawsze, rzuciłabym się w jego kierunku, by nareszcie znaleźć się w jego marmurowych ramionach. Wtedy byłabym już bezpieczna. Zastanawiałam się, dokąd byśmy pojechali. Pewnie gdzieś na północ, gdzie i za dnia mógłby przebywać na dworze. A może w miejsce tak odлюдne, że znów moglibyśmy leżeć razem w słońcu? Wyobraziłam sobie Edwarda nad brzegim morza, ze skórą iskrażącą się niczym powierzchnia wody. Nie przeszkadzałoby mi to zbyt, gdybyśmy mieli się tak ukrywać w nieskończoność. Chybałby mi się jak w niebie nawiel uwieszona z nim w pokoju hotelowym. O tyle rzeczy chciałam się go jeszcze zapytać. Mogłibym rozmawiać cały mi godzinami - nie musiałabym spać, nie musiałabym się ani na moment od niego oddalać.

Stałałam mi przed oczami jak żywy, niemal słyszałam jego głos. Mimo grozy sytuacji przez chwilę byłam szczęśliwa. Tak dalece oderwałam się od rzeczy wistoci, że straciłam poczucie czasu.

- To jaki to był numer?

Pytanie taksówkarza sprowadziło mnie na ziemię. Moje piękne marzenia natychmiast wyblakły, a ich miejsce gotowy był zająć dławiący strach.

- Pieć tysięcy osiemset dwadzieścia jeden. - Słowa z trudem przechodziły mi przez gardło. Taksówkarz spojrzał na mnie zaniepokojony. Bał się zapewne, że zaraz będę miała jakiś atak.

- No to jesteśmy na miejscu - oświadczył, chcąc się mnie jak najszybciej pozbyć z auta. Liczył być może na to, że w takim stanie nie poproszę o resztę z moich osiemdziesięciu dolarów.

- Do widzenia - szepnęłam. Nie ma się czego bać, zrugalam się w myślach, dom jest pusty. Musiałam się spieszyć, mama czekała, umierała ze strachu. Jej życie było w moich rękach.

Podbiegłam do drzwi, sięgając odruchowo po ukryte pod okapem klucze. Domy był wymarły i ciemny, ale poza tym w środku nic się nie zmieniło. Czym prędzej przeszedłam do kuchni, zapalając po drodze światło. To tam znajdował się telefon i to tam właśnie, na białej tablicy do zmywalnych pisaków, ktoś o słudnym, drobny charakterze pisma postawił dla mnie dziesięciocyfrowy numer. Zaczęłam go wystukując zeszywniały mi z nerwów palcami, ale myliłam się i kilkakrotnie musiałam oddłdać przedwcześnie słuchawkę. Dopiero po kilku próbach skontaktowałam się na tyle, że udało mi nie popelnić żadnego błędu. Drżącą ręką przyłożyłam słuchawkę do ucha. James odebrał już po pierwszym

sygnale.

- Witaj, Bello - odezwał się, jak poprzednio rozdźwięczonym głosem. - Szybko się uwinęłaś. Jestem pod wrażeniem
- Co z mamą? Nie jej nie jest?
- Nic a nic. Nie bój się, Bello, jest mi obojętna. Nie tknę jej palcem. No, chyba że pojawi się z obstawą, rzecz jasna. - Znowu wydawał mi się rozbawiony.
- Nikogo ze mną nie ma. - Jeszcze nigdy nie byłam tak samotna.
- Świetnie. Ale przejdźmy do rzeczy. Czy wiesz, gdzie w pobliżu twojego domu jest szkoła tańca?
- Tak, znam do niej drogę.
- No to już wróćcie się zobaczmy.

Rozłączyłam się.

Wbiegłam pędem z kuchni przez korytarz i drzwi od frontu na skłapany w słońcu chodnik.

Nie miałam czasu oglądać się za siebie, nie chciałam zresztą tak zapamiętać miejsca, w którym spędziłam tyle szczęśliwych lat. Dom rodzinny stał się dla mnie symbolem strachu, a ostatnią osobą, która gościła w znajomych wnętrzach, był ktoś, komu zależało na mojej śmierci.

Niemal dostrzegłam moją matkę, jak stoї w cieniu olbrzymiego eukaliptusa, wod którym zwykłam bawić się w dzieciństwie. Albo jak kęczy przy skrawku ziemi otaczającym skrzynekę na listy, z którego bezskutecznie usiłowała zrobić klomb. Ileż to roślinek straciło na nim życie! Wspomnienia miały o stołkroć lepsze od wody stłięgo, czego miałam dzisiaj doświadczyć, ale musiałam zostać z je za sobą.

Wydawało mi się, że biegnę straszliwie wolno, jakby beton nie dawał moim stopom dość oparcia, jakbym przedzierała się przez mokry piasek Killkanaście razy się potknęłam, a raz nawet przewróciłam - upadłam, podniosłam chwiejnie i znowu upadłam. Zdarłam sobie przy tym skórę na obu dloniach. W końcu dotarłam do najbliższego skrzyżowania. Do pokonania została mi tylko jeszcze jedna przeznica. Biegłam, ciężko dysząc, po twarzy spływały mi krople potu. Przesadnie jaskrawe promienie słońca parzyły skórę, oślepiły mnie, odbijając się od białej nawierzchni ulicy. Nigdzie nie można było się przed nimi schronić. Nigdy bym nie przypuszczała, że kiedykolwiek będę potrafiła tak mocno zaatakować za cieniem gąszczem zielonych lasów Forks. Nagle zdałam sobie sprawę, że to tam teraz był mój dom...

Skręcałam za róg w ulicę Cactus i moim oczom ukazał się budynek studia tanecznego. Wyglądał tak samo, jak przed laty. Parking dla klientów był pusty, pionowe żaluzje zasłaniały okna. Nie byłam w stanie dłużej biec, nie byłam w stanie złapać tchu - dopadły mnie w końcu strach i wyzerczerpnie. Żeby zmusić się do dalszego wysiłku, pomyślałam o mamie. Noga za nogą powlokłam się w kierunku wejścia.

Podszedłszy bliżej, zauważyłam, że na jednej z szyb ktoś przykleił od wewnątrz jaskraworóżową kartkę. Odręcznie napisany komunikat informował, że na czas ferii wiosennych szkoła tańca jest zamknięta. Ostrożnie nacisnąłam klamkę. Drzwi były otwarte. Starając się oddać chań normalnie, weszłam do środka.

W hallu było ciemno i chłodno, cicho buczyła klimatyzacja, wykładzina pachniała szamponem do dywanów. Wzdłuż ścian stały wieże z wciśniętych jedno w drugie plastikowych krzeseł. W sali po lewej, tej większej, paliło się światło, ale żaluzje w oknie, przez które zazwyczaj można było przyglądać się z hallu ćwiczącym, dzisiaj były szczelnie zaciągnięte.

Strach mnie obezwładnił, zupełnie sparaliżował. Nie mogłam pobić ani kroku dalej.

I wtedy usłyszałam swoją matkę.

- Bella? Bella? - Znowu ten histeryczny ton. Odruchowo rzuciłam się do drzwi oświetlonego studia, zza których dobiegał ułochany głos.

- Ale mi napędzała stracha, Bello! Nigdy więcej mi tego nie rób! - odbiło się echem od ścian długiej, wysokiej sali.

Rozejrzałam się, dookoła, ale sala była pusta. A potem usłyszałam za plecami jej śmiech i odwróciłam się na pięcie.

Rzeczywiście, była tu, a raczej tam - na ekranie telewizora. Mierzwiąc mi włosy, przytulała mnie do siebie z wyrazem ulgi na twarzy. Nagranie to pochodziło z Święta Dziękczynienia, miałam wtedy dwanaście lat. Po raz ostatni

odwiedzałyśmy moją babcie z Kalifornii, która zmarła niespełna rok później. Pewnego dnia pojechałyśmy na plażę i na molo straciłam równowagę, wychylając się przez barierkę. To stąd wzięła się panią w głosie mamy.

Ktoś zdalnie wyłączył film i ekran zrobił się niebieski.

Odwróciłam się powoli. James stał nieruchomo przy tylnym wyjściu. To dlatego z początku go nie zauważyłam. W dłoni trzymał pilota. Przez dłuższą chwilę wpatrywałam się w siebie w milczeniu, a potem na jego twarzy pojawił się uśmiech.

Podszedł do mnie, ale mnie minął, żeby położyć pilota koło wideo. Ani na sekundę nie spuszczałam go z oczu.

- Przykro mi, Bello - odezwał się uprzejmym tonem - ale poniekąd, czy nie dobrze się złożyło, że nie trzeba było mieszać w to twojej matki? I nagle łuski spadły mi z oczu. Mamie nic nie groziło, była nadal na Florydzie. Moja wiadomość jeszcze do niej nawet nie dotarła, Nigdy nie miało być jej dane umierać ze strachu na widok tej nienaturalnie białej twarzy o ciemnoczerwonych oczach Mamie nic nie groziło.

- Rzeczywiście - przyznałam głosem pełnym ulgi.

- Jakoś nie masz mi za złe tego, że wystrychnęłam cię na dudka.

- Nie mam. - Moje odkrycie dodało mi odwagi. Nie dbałam o to, co się ze mną teraz stanie. Wróćcie będzie po wszystkim pomyślałam. James zostawi Charliego i mamę w spokoju, a ja już nigdy nie będę musiała się bać. Zaczęłam odzwajać zawroty głowy. Z krańców świadomości otrzy małam ostrzeżenie, że nadą chwila może zalać się pod ogromem stresów.

- Hm, nie kłamiesz. Cóż za niezwykła postawa. - Przyjrzał mi się z zainteresowaniem. Tęczywki jego ciemnych oczu, niemal czarne, jedynie przy brzegach polyskiwały rubinowo. Był głodny.

- W jednym muszę przyznać racje twojej wampirzej rodzinie, wy, ludzie, potraficie jednak zaintrygować. Chyba rozumiem teraz, po co się z wami zadawać. To doprawdy zadziwiająca, że można do tego stopnia nie dbać o własne dobro.

Stał z założonymi rękami za ledwie kilka kroków ode mnie i nadal przyglądał mi się z zaciekawieniem. Zarówno w jego wyrazie twarzy, jak i pozie nie dało się doszukać ani cienia agresji. Wyglądał zupełnie przeciwnie, w żaden sposób się nie wyróżniał, no, może wyjątkowo jasną cerą i podkrążonymi oczami, ale do tego zdążyłam się już przyzwyczaić. Miał na sobie wyblakłe dzinsy i błękitną koszulkę z długimi rękawami.

- Pewnie teraz postraszyś mnie, że twój chłopak w końcu mnie dopadnie? - Odniosłam wrażenie, że James właśnie na to liczył.

- Nie, nie sądzę, żeby miał mnie pomścić. W każdym razie prosiłam go, żeby tego nie robił.

- I co on na to?

- Nie mam zielonego pojęcia. - Dziwnie łatwo było mi konwersować z moim uprzejmym katem. - Zostałam dla niego list.

- List pożegnany, jakie to romantyczne. I co, myślisz, że ciebie posłucha? - Ton jego głosu zmienił się odrobinę - po raz pierwszy wyczułam nutkę sarkazmu.

- Taką mam nadzieję.

- Cóż, ja mam nadzieję, że stanie się inaczej. Widzisz, trochę za szybko się z tym wszystkim uwinęłam i, szczerze mówiąc, nie jestem w pełni usatysfakcjonowany. Spodziewałem się znacznie większego wyzwania. Tymczasem wystarczyło mieć odrobinę szczęścia.

Milczałam.

- Kiedy Victoria zorientowała się, że nie zdoła osaczyć twojego ojca, kazałam jej dowiedzieć się czegoś więcej o tobie. Tropienie cię z kontyentu na kontyent nie miało większego sensu, skoro mogłam zacząć na ciebie w komfortowych warunkach w wybrany przez siebie miejscu. I tak po rozmowie z Victorią, postanowiłem udać się do Phoenix, by złożyć krótką wizytę twojej matce. Poza tym sama twierdziłaś przecież, że masz zamiar wrócić do domu. Z początku nawet nie marzyłem o tym, że mówisz prawdę, ale potem zacząłem się zastanawiać. Ludzkie istoty są w końcu tak bardzo przewidywalne, a znajome strony dają im poczucie bezpieczeństwa. I czy nie byłoby to istic diabelski fortel? Schowac się w najbardziej nieodpowiednim i nieprawdopodobnym miejscu - właśnie tam, gdzie obiecało się być.

Oczywiście nie miałem stuprocentowej pewności, tylko przeczacie. Często mi się to zdarza, kiedy poluję. Można by rzec, taki szósty zmysł. Zjawiwszy się w domu twojej matki, odsłuchałem nagraną przez ciebie wiadomość, ale rzecz jasna nie miałem pojęcia, skąd dzwoniłaś. Nie powiem, miło było poznać numer twojej komórki, wiedziałem, że może się przydać, ale mogłaś dzwonić choćby z Antarktydy, a mój plan wy magał tego, abyś była gdzieś w pobliżu.

- I wtedy twój chłopak wszedł na pokład samolotu lecącego do Phoenix. Tak, tak, Victoria nie spuszczała go i pozostałych z oczu. Przy tyłu przeciwnikach nie mogłem sobie pozwolić na działanie w pojedynkę. Tak oto dowiedziałem się tego, na czym mi zależało że naprawdę przebywasz gdzieś w okolicy. Na tę ewentualność byłem już przygotowany, zdjąłem przejrzyć twoje uroczę rodzinne filmiki. Pozostawało mi tylko wcielić mój plan w życie.

- Jak wiesz, wszystko poszło jak z płatka. Co za rozczarowanie. Teraz mogę tylo mieć nadzieję, że mylisz się jednak, co do planów swojego przyjaciela. Edward, tak mu na imię, nieprawdaż?

Nie odpowiedziałam. Znowu zaczęłam się bać. Wyczuwałam, że przemowa Jamesa powoli dobiega końca. Nie widziałam zresztą, po co mi to wszystko opowiada. Byłam przecież tylko małym, słabym przedstawicielem niższej rasy.

- Mam nadzieję, że nie pogniwiesz się na mnie bardzo, jeśli ja zostawię dla Edwarda coś w rodzaju listu?

Zrobił krok do tyłu i dotknął małej kamerki przy frowej postawionej na sztorze na wieży stereo. Świecąca się czerwona dioda wskazywała na to, że James już wcześniej włączył nagrywanie. Poprawił kilka ustawień, poszerzył kadr. Z przerażeniem przypatrywałam się jego poczynaniom.

- Wybacz, że to powiem, ale uważam, że po tym, jak to obejrzy, Edward nie będzie w stanie zrezygnować z zemsty. A nie chcę, żeby cokolwiek przegapił. W końcu cały ten show jest właśnie dla niego. Ty sama jesteś tylko istotą ludzką, która miała nieszczęście znaleźć się w złym czasie, w złym miejscu i do tego z pewnością w złym towarzystwie.

Uśmiechając się, zrobił krok w moim kierunku.

- Zanim zaczniemy...

Poczułam, że zbiera mi się na wymioty. Takiego obrótu rzeczy się nie spodziewałam.

- Chciałbym wpiernić o czymś wspomnieć, nie zajmie to zbyt wiele czasu. Bałem się już, że Edward się domyśli i zepsuje mi tym samym całą zabawę. Otóż jeden jedyny raz, lata temu, wymknęła mi się upatrzona przeze mnie ofiara.

Przeszkodził mi pewien wampir, który darzył ją idiotycznie gorącym uczuciem - nigdy nie zrozumiał, co też takiego niektórzy moi pobratymcy widzą w ludziach. Ów wampir odważył się na coś, przed czym twój słaby Edward się wzdraża. Gdy tylo dowiedział się o moich zamiarach, wykradł dziewięćdziesiąt przytułku dla obłąkanych, w którym pracował, i sprawił, że przestała być dla mnie kusząca. Biedulka była tak otepiała, że chyba nawet nie czuła bólu - tak długo przebywała samotnie w celi. Sto lat wcześniej za jej wizje spalono by ją na stosie, w latach dwudziestych dwudziestego wieku zostawał dom wariatów i elektrowstrząsy. Kiedy w końcu otworzyła oczy, silną siłą wiecznej młodości, czuła się tak, jakby nigdy wcześniej nie widziała słońca. Stary wampir zrobił z niej żwawego młodego wampira i nie miałem już powodów, by ją ścigać. - Westchnął ciężko.

- W gniewie zglądziłem więc starego.

- Alicje - szepnęłam zszokowana.

- Tak jest, twoja przyjaciółka. Muszę przyznać, że byłem zaskoczony, widząc ją wśród nas na polanie. No cóż, być może twoją rodzinę nieco to pocieszy - wprawdzie dostalem ciebie, ale to oni dostali ją, jedyną ofiarę, jaka kiedykolwiek mi się wymknęła. Ponięką do zaszczytu.

A pachniała tak smacalnie... Nadal żaluję, że nie dane mi było jej skosztować. Pachniała nawet lepiej od ciebie. Bez obrazy. Moją bardzo ładny zapach, jakiś taki kwiatowy...

Zrobił kolejny krok w moim kierunku, tak że dzieliło nas już tylko parę centymetrów. Dwoma palcami ujął kosmyk moich włosów i zbliżywszy go sobie do nozdrzy, wziął kilka płytkich wdechów. Nie puścił kosmyka ot tak, lecz delikatnie odłożył go na miejsce. Poczułam na szyi jego chłodne palce. Potem, patrząc na mnie z zaciekawieniem, pogłaskał mnie po policzku. Marzyłam o tym, żeby wziąć nogi za pas, ale byłam jak sparaliżowana. Nie potrafiłam nawet wzdrgnąć się ze wstrętem.

- Nie - mrugnął do siebie James, opuszczając dłoń. - Nie rozumiem. Cóż - znowu westchnął - trzeba się nam już chyba zabierać do roboty. A po wszystkim zadzwonię do twoich przyjaciół, żeby wiedzieli, gdzie znaleźć ciebie i mój, hm, list.

Ponownie zebrało mi się na wymioty. Chciał zadać mi ból widziałam to w jego oczach. To, że mnie złapał, nie satysfakcjonowało go. Nie miał zamiaru po prostu pożywić się i odejść. A tak liczyłam na szybką, łatwą śmierć! Zaczęły mi się trząść kolana przstraszyłam się, że zaraz się przewrócę.

James odsunął się ode mnie i zaczął okrążać, jakby był tury sta podziwiacym w wystawionym w muzeum rzeźbę. Zastanawiał się za pewne, od czego by tu zacząć, ale nie zmienił wyrazu twarzy i nadal uśmiechał się pogodnie.

Nagle przyjął znaną mi z polany poze - pochylił się do przodu niczym drapieżnik gotowy do skoku. Jego uśmiech robił się coraz szerszy, aż w końcu przestał być uśmiechem, a stał się palisadą obnażonych polysklających zębisk. Tym razem nie potrafiłam opanować naturalnego odruchu - rzuciłam się do ucieczki. Wiedziałam, że nie ma to najmniejszego sensu i że ledwie trzymam się na nogach, ale panią wzięła górę. Ruszyłam w stronę tylnego wyjścia. James w mgnienu oka zastąpił mi drogę. Działł tak szybko, że nie zdołałam nawet dostrzec, czy ułręki, czy też nogi, w każdym razie z ogromną siłą uderzyli mnie w pierś. Odrzuciło mnie aż pod ścianę. Tyłem głowy uderzyłam o lustro. Tafla szła wygięła się w kilku miejscach, a na podłogę spadała kaskada srebrnych odłamków.

Byłam zbyt oszołomiona, by odczuwać ból. Nie potrafiłam nawet złapać tchu.

Mój kat podszedł do mnie powolnym krokiem.

- Ładny efekt, nie powiem - skwitował, lustrując wyrządzone przez siebie szkody. Ton jego głosu nadal był swobodny, uprzejmy. - Właśnie, dlatego wybrałem tę salę na miejsce naszego spotkania. Doszedłem do wniosku, że doda mojemu filmikowi wizualnej dramaturgii. I chyba zgodzisz się ze mną, że się nie myliłem?

- Puściłam tę uwagę mimo uszu. Stańęłam na czworakach i zaczęłam pełznąć w kierunku drugich drzwi.

Ani się obejrzałam, a już stał nade mną. Z całych sił nastąpił mi na nogę. Zanim poczułam cokolwiek moich uszu dobiegł trzask ale tym razem los nie był już dla mnie tak łaskawy i zaraz potem zalała mnie fala potwornego bólu. Nie potrafiłam powstrzymać krzyku. Zwinęłam się w kłębek, żeby dosięgnąć złamanej nogi. James stał wciąż nade mną, uśmiechając się promiennie.

- Nie chciałabyś może zmienić swojej ostatniej prośby? - spytał spokojnie. Dźgnął stopą moją nogę i usłyszałam przeraźliwy wrzask. Ułamek sekundy później zdałam sobie sprawę, że wydobywa się on z mojego własnego gardła.

- Nie wolałabyś teraz, żeby Edward spróbował mnie odnaleźć? - podpowiedział.

- Nie! - wycharczałam. - Nie, Edwardzie! - Przerwał mi kolejny cios. Znowu poleciałam na lustro.

Do bólu bijącego od złamanej kości przydołączył inny, z miejsca, w którym szło przecięło mi skórę głowy. A potem coś ciepłego zaczęło sypać mi po włosach z przerażającą szybkością. Poczulałam, że powoli przemaka mi góra podkoszulki, usłyszałam, jak krople owego ciepłego płynu uderzają o parkiet. Znajomy zapach wywołał kolejną falę mdłości.

Kręciło mi się głowie, było mi niedobrze, powoli odpływałam w niebyt. Ale właśnie wtedy dostrzegłam coś, co niespodziewanie wlało w moje serce odrobinę otuchy. Oczy Jamesa, do tej pory jedynie pełne skupienia, płonęły teraz niepokonanym pragnieniem. To moja krew - barwiąca czerwień białą podkoszulkę, lejąca się gorącą strugą na podłogę - doprowadzała go do szaleństwa, którego nie był w stanie dłużej kontrolować, choć początkowo miał przecież wobec mnie inne plany.

Byłam szybko, pomyślałam. Nie marzyłam już o niczym więcej. Z upływem krwi stopniowo traciłam przytomność. Moje oczy powoli się zamykały.

Zaczęłam odbierać dźwięki tak, jakbym była pod wodą. Usłyszałam ostatnie warknięcie zgłodniałego łowcy, a potem wśród mgły, którą zaszyły moje oczy, zamajaczył zmierzający w moją stronę cień. Ostatkiem sił odruchowo przesłoniłam twarz dłońmi. Moje powieki zamknęły się i odpłynęłam w nicłość.

Unosiłam się w pustce, w ciemnych morskich głębinach.

Śniłam. Musiałam śnić, bo usłyszałam najwspanialszy ze wszystkich odgłosów, jakie byłam w stanie sobie wyobrazić, choć równie piękny i podnoszący na duchu, co przerażający. Było to także warknięcie, ale dłuższe - niski, głęboki ryk. Ten drapieźnik był naprawdę rozszczęszony.

Moją dłoń przesyłał ostry ból, niemal przywracając mi świadomość, ale nie znalazłam w sobie dość sił, by wypłynąć na powierzchnię.

A potem zyskałam pewność, że już nie żyję.

Pomyślałam tak, ponieważ z oddali, sponad powierzchni wody, dobiegło moich uszu wołanie anioła. Anioł powtarzał moje imię, wzywał mnie właśnie do tego nieba, do którego tak bardzo pragnęłam się dostać.

- Nie! Och, Bello! Nie! - wołał anioł zalamany.

Ale oprócz tego cudownego głosu zaczęłam też słyszeć inne dźwięki, dźwięki tak okropne, że mój mózg usiłował mnie przed nim i chronić - jakieś wielkie poruszenie, złowieszczy, basowy pomruk, głośnie chrupnięcie i czyjeś wycie, które nagle się urwało...

Wolałam skupić uwagę na tym, co mówi anioł.

- Bello, proszę, tylko nie to! Proszę, Bello! Posłuchaj mnie! Bello, błagam!

Chciałam odpowiedzieć, że jestem gotowa zrobić dla niego wszystko, o co tylko poprosi, ale nie potrafiłam odnaleźć swoich ust.

- Carlisle! - krzyknął anioł z rozpaczą. - Bello, nie! Och, tylko nie to! Nie! Bello! - Anioł zaniósł się spazmatycznym szlochem.

Nie, pomyślałam, anioły nie powinny płakać, choćby i bez łez. Spróbowałam się do niego przedostać, powiedzieć mu, że nic mi nie jest, ale byłam za głęboko, ciężar wody przygniatał mnie, nie pozwalał oddychnąć.

Poczułam, że coś wciska mi się w czaszkę. Zabolalo. A potem, jeden po drugim, obudziły się inne źródła bólu, silnego bólu. Ból przedarł się do mnie przez ciemność, wyrwał mnie z niej, wy dobył na powierzchnię. Głośnie jęknęłam.

- Bello! - zawołał anioł.

- Straciła trochę krwi, ale rana na głowie nie jest głęboka - oświadczył ktoś opanowanym głosem. - Uważaj na nogę, jest złamana.

Anioł wydał z siebie groźny ryk

Coś w boku klulo mnie dotkliwie. Chyba jednak nie trafiłam do nieba. W niebie nie musiałyby tak cierpieć.

- Myślę, że poszło też parę żeber - spokojny głos ciągnął swoją metodyczną wyliczankę.

Ale obrażenia nogi, żeber i głowy nie były już dla mnie takie ważne. Teraz liczyły się tylko ból płynący z dłoni, potworniejszy niż wszystkie inne.

Jakby ktoś przy piekał mnie żywym ogniem.

- Edward... - Chciałam mu o tym powiedzieć, ale dźwięki ociężałe opuszczały moje gardło. Sama nie rozumiałam tego, co mówię.

- Wyjdiesz z tego, Bello, słyszysz? Kocham cię.

- Edward... - ponowiłam próbę. Tym razem poszło mi lepiej.

- Jestem, jestem przy tobie.

- Boli - jęknęłam.

- Wiem, Bello, wiem. - A potem, do kogoś innego, głosem przepelnionym cierpieniem: - Czy nie się nie da z tym zrobić?

- Podajcie mi torbę - poprosił Carlisle. - Spokojnie, Alice, zaraz poczujecie się lepiej.

- Alice? - wykrztusiłam.

- Tak, też tu jest - powiedział Edward. - To ona wiedziała, gdzie cię szukać.

- Ten ból w dłoni... - próbowałam zwrócić jego uwagę.

- Wiem, Bello. Zaraz minie, Carlisle już ci coś zaaplikował.

- Ręka mi się pali! - wrzasnęłam, wreszcie w pełni odzyskując przytomność. Otworzyłam oczy, ale przesłaniało je coś ciepłego i ciemnego. Czy oni poszaleli? Dlaczego nie gasili tego cholernego ognia?

- Bello? - W głosie Edwarda sły chać było przerażenie.

- Niech ktoś wyjmie moją rękę z ognia! - krzyczałam. - Niech ktoś go ugasi!

- Carlisle, co z tą ręką?

- Jednak ją ugryzł. - Doktor był zbulwersowany swoim odkryciem.

Usłyszałam jęk zdruzgotanego Edwarda.

- Ty musisz to zrobić - odezwała się Alice tuż nad moją głową. Chłodne palce przetarły do sucha moje mokre oczy.

- Nie! - wydarło się z jego piersi.

- Alice - szepnęłam błagalnie.

- Jest szansa, że się uda - oświadczył Carlisle.

- Co takiego? - spytał Edward z niedowierzaniem.

- Zobacz, może będziesz umiał wyssać jad. Rana jest tylko odrobinę zabrudzona. - Gdy mówił, znów poczułam, że coś wciska mi się w czaszkę, silniej, że ktoś tam czymś gmera, naciąga mi skórę. Bolało, ale to było nic w porównaniu z bólem bijącym od dłoni.

- I to starczy? - Alice była wyraźnie spięta.

- Nie wiem - przyznał Carlisle. - Ale musimy się spieszyć.

- Carlisle, ja chyba... - Edward się zawahał. - Nie jestem pewien, czy będę w stanie to zrobić. - Jego cudowny głos był rozdarty bólem.

- Decyzja należy do ciebie, Edwardzie. Nie mogę ci pomóc. Jeśli masz zamiar wyssać jad, musisz najpierw powstrzymać krwawienie.

Ręka piekała tak przeraźliwie, że odruchowo się skuliłam, co tylko zwiędziło tortury, jakie zadawała mi złamana kończyna.

- Edward! - zawylałam. Chciałam spojrzeć mu prosto w twarz, uświadomiłam sobie jednak, że oczy znowu mam zamknięte. Gdy je otworzyłam, wreszcie udało mi się go zobaczyć. Wpatrywał się we mnie, piękny jak zawsze, z miną pełną udręki i niezdecydowania.

- Alice, rozjerzyj się za czymś, czym można by było uszywnić jej nogę. - Carlisle pochylił się nade mną, majstrując przy mojej głowie. - Edwardzie, musisz działać błyskawicznie, inaczej będzie za późno.

Jako że patrzyłam mu prosto w oczy, byłam świadkiem tego, jak na te słowa zmienił się wyraz jego twarzy. Miejsce wahania zajęła dzika determinacja. Zaciśnął zęby. Poczułam, że jego chłodne palce przyciskają w zdecydowany sposób moją zmierzwaną rękę do podłogi. A potem Edward pochylił się nade mną i przytknął wargi do rany.

Z początku ból przybrał na sile. Wilałam się, krzycząc, ale Edward trzymał mnie mocno. Alice przemawiała do mnie łagodnie, usiłując mnie uspokoić. Coś ciężkiego nic pozwalało się ruszyć mojej złamanej nodze, a Carlisle zwał obie ręce wokół mojej głowy w żelaznym uścisku.

Stopniowo jednak moja dłoń robiła się coraz bardziej odrętwiała. Ogień kurczył się i gasł. Z czasem przestałam się rzucać.

Poczułam, że odpływam. Przestraszyłam się, że znów trafię w głębinę, że zgubię Edwarda w mroku.

- Edward... - Chciałam go zawołać, ale nie słyszałam własnego głosu. Za to usłyszełam mnie pozostali.

- Jest tuż obok ciebie, Bello.

- Zostań, zostań ze mną, proszę...

- Nie rusz się ani na krok - Sły chać by było, że jest wyczerpany, ale w jego głosie pobrzmiwała też nutka triumfu.

Westchnęłam uradowana. Ogień zgasł, a ból w pozostałych częściach ciała zelżał pod wpływem ogarniającej mnie fali senności.

- Jesteś pewien, że wszystko wyssałeś? - spytał Carlisle z oddali.

- Nie wyczuwam już smaku jadu - oznajmił Edward cicho. - Nie prócz morfiny.

- Bello? - zwrócił się do mnie Carlisle.

- Mmm? - wymamrotalam.

- Dłoń cię już nie pali?

- Nie. - Westchnęłam. - Dziękuję, Edwardzie.

- Kocham cię - szepnął w odpowiedzi.

- Wiem, że mnie kochasz. - Byłam taka zmęczona.

Moich uszu dobiegł najśladzszy dźwięk na świecie: cichy śmiech wdzięcznego losowi Edwarda.

- Bello? - Carlisle miał do mnie jeszcze jedno pytanie. Niezadowolona zmarszczyłam czoło. Chciałam już zasnąć.

- Tak?

- Gdzie jest twoja matka?

- Na Florydzie. - Znów westchnęłam. - Oszukał mnie, Edwardzie. Obejrzał nasze domowe filmiki z kamery. - Byłam tak słaba, że oburzenie w moim głosie było ledwie słyszalne.

Coś mi się przypominało.

- Alice. - Spróbowałam otworzyć oczy. - Alice, jego nagranie. On ciebie znał, Alice. Wiedział, skąd się wzięłaś. - Nie byłam w stanie przekazać im, jak ważna to wiadomość. - Pachnie benzyną - dodałam zdziwiona, coraz mniej przytomna.

- Czas ją przenieść - zakomunikował Carlisle.

- Nie - jęknęłam. - Chcę spać.

- Śpij, kochanie, śpij - uspokoił mnie Edward. - Ja cię wyniosę.

Już po chwili byłam w jego ramionach, twarz wtuliłam w jego pierś. Ból minął. Odpływałam w niebytu.

- Śpij, śpij - usłyszałam jeszcze przed zaśnięciem.

Kiedy na powrót otworzyłam oczy, otaczało mnie intensywnie białe światło. Znajdowałam się w nieznanym sobie pokoju, całym w bieli. Najbliższą ścianę przesłaniały pionowe żaluzje, nad moją głową wisiły oślepiające mnie lampy. Leżałam na dżwiny m łóżka - twarzym, z poręczami, o kilku segmentach nachylnych pod różnym kątem. Poduszki były płaskie, a ich wypełnienie zbrzytane.

Przy moim uchu coś irytyjąco pikało. Mogłam mieć tylko nadzieje, że oznacza to, że jeszcze żyję. Nie spodziewałam się zresztą podobnych niewygod pod śmierci.

Od moich dłoń biegły przezroczyście rurki, czułam też, że mam coś przyklejone do twarzy pod nosem. Podniosłam rękę, żeby się tego pozbyć.

- Ani mi się waż - Powstrzymały mnie chłodne palce.

- Edward? - Obróciłam odrobinę głowę. Jego cudowna twarz była tuż obok, brodą opierał się o jedną z moich poduszek. Po raz kolejny uświadomiłam sobie, że żyję, i tym razem bardzo się ucieszyłam. - Och, Edwardzie, mam takie wyrzuty sumienia!

- Spokojnie, tylko spokojnie - uciszył mnie. - Wszytoko jest już w najlepszym porządku.

- Jak to się w ogóle skończyło? - Nie pamiętałam szczegółów, mój umysł buntował się, gdy próbowałam coś z niego wycisnąć.

- Cudem zdążyliśmy na czas. Jeszcze chwila, a byłoby za późno. - Nadal wzdygał się na samą myśl o tym.

- Byłam taka głupia, Edwardzie. Myślałam, że James złapał mamę.

- Wszytłak nas przechytrzył.

- Muszę zadzwonić do niej i do Charliego. - Mój mózg zaczął trzęść się.

- Alice już to zrobiła. Renee jest tutaj, to znaczy tu, w szpitalu. Poszła tylko coś zjeść.

- Przyjechała? - Chciałam usiąść, ale dostałam gwałtownych zawrotów głowy. Edward powstrzymał mnie delikatnie.

- Niedługo wróci - obiecał. - A tymczasem leż spokojnie.

- Ale jak jej wytłumaczyć liście to wszytoko? - Przestraszyłam się nie na żarty. Jak mogłam leżeć spokojnie? Moja mama miałaby być świadkiem tego, jak dochodzę do siebie po ataku wampira? - Co jej powiedzieliście?

- Ze spadłaś z bardzo długich schodów, a potem z rozbiłaś szybę i wyleciałaś przez okno. - Zadumał się na moment.

- Musisz przyznać, że takie rzeczy czasem się zdarzają.

Westchnęłam. Zabolalo. Spojrzałam na moje ciało przykryte cienką kołdrą. Zamiast jednej z nóg miałam grubąsią kłodę.

- Jakie właściwie odniosłam obrażenia?

- Masz złamaną nogę, złamane cztery żebra, kilka pełnięć w czaszce i siniaki gdzie się da, a do tego straciłaś dużo krwi. Przeszaś kilka transfuzji. Nie byłam tym zbyt zachwycona - przez jakiś czas pachniałaś zupełnie nie tak.

- Musiała to być dla ciebie miła odmiana.

- Skąd. Lubię twój zapach.

- Jakim cudem ci się udało? - szepnęłam. Od razu domyślił się, o co mi chodzi, i uciekł wzrokiem przed moim pytaniem spojrzeniem.

- Nie jestem pewien. - Ujął moją zabandażowaną dłoń, ostrożnie, tak aby nie zerwać przewodu łączącego mnie z jednym z monitorów.

Czekałam cierpliwie na dalsze zwierzenia. Westchnął głęboko, nadal nie patrząc w moją stronę.

- Tego nie dało się... nie dało się powstrzymać - zaczął cicho.

- Było to zupełnie niemożliwe. A jednak dopiąłem swego. - Nasze oczy nareszcie się spotkały. Edward uśmiechał się nieśmiało. - Chyba naprawdę cię kocham.

I ja się uśmiechnęłam. Nawet to zabolalo.

- Czy smakują równie dobrze jak pachnę? - spytałam.

- Jeszcze lepiej. Lepiej, niż przy puszczałam.

- Przepraszam.

Edward wzniosł oczy ku niebu.

- Naprawdę, nie masz już za co przeproszać!

- Za co w takim razie powinnam cię przeprosić?

- Za to, że mało brakowało, a już nigdy więcej bym cię nie zobaczył.

- Przepraszam - powtórzyłam.

- Rozumiem, dlaczego tak postąpiłaś - pocieszył mnie. - Choć oczywiście nie zmienia to faktu, że nie miało to większego sensu. Trzeba było zacząć na mnie, trzeba było mi powiedzieć!

- Nie puściłbyś mnie.

- Nie - przyznał ponuro. - Nie puściłbyś.

Zaczęłam przypominać sobie różne nieprzyjemne szczegóły. Wzdrygnęłam się, a potem skrzywiłam. Edward natychmiast zwrócił na to uwagę.

- Nic ci nie jest, Bello?

- Co się stało z Jamesem?

- Gdy go od ciebie odciągnąłem, zajęli się nim Emmett i Jasper. - Z tonu jego głosu można było odczytać, jak bardzo żaluje tego, że nie mógł im towarzyszyć.

Zdziwiłam się.

- Nie było ich wtedy z wami.

- Musieli przejść do innego pomieszczenia... połało się sporo krwi.

- Ale ty zostałeś.

- Tak zostałem.

- I Alice, i Carlisle... - dodałam, kręcąc głową z niedowierzaniem.

- Widzisz, oni też cię kochają.

Przed oczami stanęła mi z troską twarz pochylonej nade mną Alice. Znowu sobie coś przypomniałam.

- Czy Alice obejrzała jego nagranie? - Bardzo mi na tym zależało.

- Tak - Głos Edwarda przesycony był teraz nienawością.

- Zawsze trzymała ją w odosobnieniu, w ciemnościach. To dlatego nic o sobie nie wiedziała.

- Tak. Teraz już wie. - Starał się mówić normalnie, ale jego twarz pociemniała z gniewu.

Chciałam wolną ręką pogłaskać go po policzku, kiedy coś mnie powstrzymało. Zerknęłam w bok. Miałam podłączoną kroplówkę.

- Fúj. - Skrzywiłam się.

- Wszytoko w porządku? - spytał zaniepokojony, w jego oczach czaił się jeszcze głęboki smutek, ale całym sercem był przy mnie.

- Igły - wyjaśniłam. Nie miałam najmniejszej ochoty na nie patrzeć. Skupiłam wzrok na wyszczerbionym panelu sufitowym mimo złamanych żeber usiłując oddychać głęboko.

- Boi się igły - mruknął Edward pod nosem, kręcąc głową. - Sadystryczny wampir, który chce ją zamęczyć na śmierć, prosi o spotkanie - nie ma sprawy, już leci, już jej nie ma. Ale gdy podłączyć ją do kroplówki...

Wywróciłam oczami. Dzięki Bogu, przynajmniej to nie zabolalo. Postanowiłam zmienić temat.

- Co tutaj właściwie robisz?

Spojrzał na mnie, najpierw zdziwiony, potem urażony.

- Mam sobie iść? - Zmarszczył czoło.

- Nie, skąd! - zaprotestowałam. Strach mnie zjął na samą myśl o tym. - Nie o to mi chodziło. Co robisz w Teksasie? Jak wytłumaczyłeś mojej mamie swoją obecność? Muszę poznać twoją wersję, zanim się tu zjawi.

- No tak - Uspokoił się. Zmarszczki z czoła zniknęły. - Przyjechałem do Phoenix, żeby przemówić ci do rozsądku i skłonić do powrotu do Forks. - Powiedział to z tak szczerą miłą, że nieomal sama mu uwierzyłam. - Zgodziłaś się ze mną spotkać i przyjechałaś do hotelu, w którym zatrzymałem się z Carlislem i Alice - tak, tak, przyjechałam, masz świetne usprawiedliwienie.

Zastanowiłam się nad tym, co powiedział.

- W swojej historyjce nie wszytoko trzyma się kupy. Nie było na przykład żadnego rozbitego okna.

Ależ było, było - sprostował. - Alice miała niezłą frajdę, fabrykując dowody. Nawet się trochę zagalopowała. Wszytoko wyglądało bardzo przekonująco - mogłabyś się pewnie procesować z hotelem o odszkodowanie, gdybyś chciała. Nie martw się, zadaliliśmy o wszytoko - zapewnił, głaszcząc mnie czule po policzku. - Twoim jedynym zadaniem jest teraz powrót do zdrowia.

Nie byłam ani na tyle obolała, ani na tyle otumaniona lekami, by nie zareagować na tę pieszczotę. Rytmiczne pikanie jednego z aparatów przeszło w dziki galop - teraz nie tylko Edward był w stanie usłyszeć, co wyczytało moje serce.

- Boże, chyba zapadnę się pod ziemię - mruknęłam pod nosem. Edward parskał śmiechem, a potem przechylił głowę w zadumie.

- Hm, zobaczmy... - Pochylił się nade mną powoli. Pikanie przyspieszyło, zanim jeszcze jego usta dotknęły moich, ale kiedy w końcu złożył na mych wargach pocałunek, choć ledwie je musnął, w pokoju zaległa cisza.

Edward odskoczył ode mnie i przerażony zerknął na monitor. Odetchnął z ulgą, widząc, że moje serce zamarło tylko na chwilę.

- Coś mi się wydało, że będę musiał przy tobie uważać jeszcze bardziej niż do tej pory.

- Jeszcze nie skończyłam z całowaniem! - zaprotestowałam. - Nie zmuszaj mnie do tego, żeby próbowała usiąść.

Rozpromieniony ponowił próbę, a aparat znowu zaczął pikać jak szalony. Zignorowaliśmy go tym razem, jednak już po chwili Edward zestywniał i wyprostował się.

- Chyba słyszysz swoją mamę - szepnęła z lobuzerskim uśmiechem na twarzy.

- Tyko mnie nie zostawiaj! - zawołałam. Nie wiedzieć czemu, nagle zaczęłam się bać, że lada moment zniknie i już go więcej nie zobaczę.

Wszytoko to wyczytał z moich oczu. - Nie zostawię cię - przyrzekł z powagą, a potem znowu się uśmiechnął. - A tymczasem się zdrzemnął - oświadczył.

Przesiadł się na obity turkusową sztuczną skórą rozkładany fotel stojący w nogach mojego łóżka i przechyliwszy jego oparcie maksymalnie do tyłu, ułożył się na nim i zamknął powieki. Leżał tak zupełnie nieruchomo.

- Tyko nie zapomnij oddychać - rzuciłam z ironią. Edward nabrał powietrza do płuc, ale nie otworzył oczu.

Teraz i ja usłyszałam głos mamy, rozmawiała bodaj że z jakąś pielęgniarką. Słysząc było, że jest przemęczona i zdenerwowana. Zapragnęłam wyskoczyć z łóżka, żeby pobiec do niej i zapewnić ją, że wszystko ze mną jest w najlepszym porządku, ale ledwie mogłam się ruszać. Pozostało mi wyglądać jej niecierpliwie.

Uchyliła ostrożnie drzwi i zajrzała do środka.

- Mama! - szepnęłam. Moja kochana mama! Tak dobrze było ją widzieć.

Zauważywszy, że Edward śpi u stóp łóżka, podeszła do mnie na palcach.

- Ten to zawsze na stanowisku - mruknęła do siebie.

- Mamó! Jak dobrze, że jesteś!

Uściskała mnie delikatnie. Po policzku spłynęły mi jej ciepłe łzy.

- Bello, tak się bałam!

- Przepraszam za wszytoko. Ale nie się nie martw, szybko wyzdrowieję.

- Dzięki Bogu, że wreszcie się ocknęłaś. - Usiadła na skraju łóżka.

Nagle zdałam sobie sprawę, że nie mam pojęcia, kórego dzisiaj mamy.

- Jak długo byłam nieprzytomna?

- Już piątek, skarbie. Trochę to trwało.

- Piątek? - powtórzyłam zszokowana. Spróbowałam sobie przypomnieć, w jaki dzień poszłam na tamto spotkanie... ale doszłam do wniosku, że nie mam ochoty się nad tym zastanawiać.

- Przecież mielić w takim stanie celowo. Masz sporo obrażeń, kochanie.
  - Wiem. - Czuję je aż za dobrze.
  - Miałaś szczęście, że pod ręką był doktor Cullen. To taki miły człowiek... tylko taki młody, i wygląda bardziej na modela niż lekarza.
  - Poznałaś Carlisle'a?
  - Tak i siostrę Edwarda, Alice. Uroczą dziewczyną.
  - Jest fantastyczna - przyznałam z entuzjazmem. Mama zerknęła przez ramię na drzemiącego Edwarda.
  - Nie mi nie wspominałaś o tym, że masz w Forks tyłu dobrych znajomych.
- Jęknęłam głośno.
- Co boli? - Mama natychmiast spojrzała w moją stronę, a i Edward zaniepokojony otworzył oczy.
  - Nic, nic - zapewniłam. - Zapomniałam, że nie mogę się tyle ruszać. - Uspokojony tym Edward ponownie zapadł w „sen”.

Uznałam, że to dobry moment na zmianę tematu. Nie było mi spieszone tłumaczyć się, czemu wróciłam do Phoenix.

- A gdzie Phil? - spytałam szybko.
- Został na Florydzie. Ach, Bello, nie uwierzysz! Już mieliśmy pakować manatki, a tu taka niespodzianka!
- Zaproponowano mu kontrakt?
- Tak! Skąd wiedziałaś? The Suns go przyjęli! Niesamowite, prawda?
- Rewelacja - starałam się wykrzesać z siebie nieco entuzjazmu, choć nazwa The Sun nic mi nie mówiła.
- Oj spodoba ci się w Jacksonville, zobaczysz. - Mama rozgadała się na dobre. Wpatrywałam się w nią tępo. - Najpierw się martwiłam, bo była mowa o Akron. Tam przecież jest normalna zima ze śniegiem, a sama dobrze wiesz, jak ją nie lubię zimą. A tu Jacksonville! Słońce cały rok, a ta wilgoć wcale nie jest taka zła, jak mówią. Znaleźliśmy dla nas przecudny dom, żółty z białymi framugami, werandą jak z jakiegoś starego filmu. Rośnie przed nim ogromny dąb, a na plażę jest tylko kilka minut spacerkiem, spacerkiem w dodatku miałabyś jedną łazienkę tylko dla siebie, a ...

- Wstrzyмай się na chwilę - przerwałam jej wywód. Edward nadal leżał z zamkniętymi oczami, ale mięśnie miał tak napięte, że nikt by nie uwierzył, że śpi. - O czym ty mówisz? Nie mam zamiaru przeprowadzać się na Florydę. Mieszkam w Forks.

- Ależ już nie musisz, głupek - roześmiała się mama. - Phil będzie teraz o wiele częściej w domu... W ogóle to dużo na ten temat rozmawialiśmy i zdecydowałam, że aby być więcej z tobą będę z nim jeździć tylko na co drugi mecz.

- Ale mamo... - Zahałałam się, nie wiedząc, które uzasadnienie zabrzmi najbardziej dyplomatycznie. - Chcę zostać w Forks. Przyzwyczaiłam się już do nowej szkoły, mam kilka dobrych koleżanek... - Słyszysz słowo „koleżanki”, mama spojrzęła na Edwarda, więc postanowiłam pójść w inny kierunek. - ... a Charlie mnie potrzebuje. Siedzi tam zupełnie sam, a ani trochę nie potrafi gotować.
- Chcesz mieszkać w Forks? - spytała zaskoczona. Nie mieściło jej się to w głowie. Ale potem znów zerknęła na Edwarda. - Dlaczego?
- Dopiero, co powiedziałam - jest szkoła, jest Charlie - au! - Odruchowo wruszyłam ramionami i okazało się, że nie był to najlepszy pomysł.

Mama rzuciła się, żeby mnie pocieszyć poklepać, ale przez chwilę tylko wisiała nade mną, nie wiedząc, którą część ciała wybrać. W końcu zdecydowała się na czoło - przy najmniej nie było zabandażowane.

- Ależ, Bello, skarbie, ty nie cierpisz tej dziury - przypomniała mi.
- Nie jest taka zła.

Zacisnęła usta i po raz kolejny zerknęła na Edwarda, tym razem rozmyślnie.

- To o niego chodzi? - szepnęła.

Otworzyłam już usta, żeby skłamać, ale wpatrywała się we mnie z taką uwagą, że z pewnością przejrzałaby mnie na wylot.

- Częściowo - przyznałam. Na razie tyle wystarczy. - Miałaś w ogóle ochotę zamienić z Edwardem kilka słów?
- Tak - Zahałała się, wpatrzona w sylwetkę „śpiącego”. - I chciałabym z tobą o nim porozmawiać.

Tylko nie to.

- O czym dokładnie?
- Sądzę, że ten chłopiec jest w tobie zakochany - rzuciła oskarżycielskim szepcetem.
- Też tak sądzę - wyznałam.
- A co ty czujesz do niego? - Usiłowała maskować palącą ją ciekawość, ale kiepsko jej to wychodziło.

Westchnęłam, odwracając wzrok. Bardzo kochałam moją mamę, ale nie miałam ochoty się jej zwierzać.

- Mam fioła na jego punkcie - odparłam. Proszę bardzo. Tak chyba nastolatka może powiedzieć o swoim pierwszym chłopaku?
- No cóż, wydaje się bardzo sympatyczny i musisz przyznać, że jego uroda zwała z nóg, ale jesteś jeszcze taka młoda, Bello... - Mama nie była pewna, co o tym wszystkim myśleć. Jeśli mnie pamięć nie myliła, po raz pierwszy odłąd skończyłam osiem lat udao jej się niemal przybrać ton głosu godny prawdziwej surowej rodzicielki - stanowczy, ale stanowiany zarazem. Głos rozsądki. Próbowwała użyć go już wcześniej, za każdym razem, gdy rozmawialiśmy o mężczyznach.

- Wiem o tym, mamo. Nie przejmuj się, to tylko młodzińcze uroczenie.
- O właśnie - zgodziła się szybko. Tak bardzo chciała w to wierzyć.

Westchnęła i z miną przepelnioną poczuciem winy zerknęła na wiszący na ścianie zegar.

- Musisz już iść?

Przygryzła dolną wargę.

- Lada chwila powinien zadzwonić Phil, tak się umówiliśmy. Nie wiedziałam, że odzyskasz przytomność.

Idź, idź. Nie ma sprawy. Będzie ze mną Edward. - Ucieszyłam się, ale starałam to ukryć, żeby nie urazić maminych uczuć.

- Wrócę raz - dwa. Wiesz, mieszkam teraz w szpitalu - dodała z dumą.
- Och, mamo, nie musiałaś tego robić. Możesz spać w domu mnie to bez różnicy. - Byłam tak odurzona środkami przeciwbólowymi, że nadal miałam kłopoty z koncentracją, chociaż z tego co mi mówiono, wynikało, że spałam kilka dni.

- Za bardzo bym się denerwowała - wyznała mama bojaźliwie - Po tym, co się stało ledwie przecznicę dalej, wołę nie siedzieć tam sama.
- A co się takiego stało? - spytałam zaalarmowana.
- Jacyś bandyci włamali się do tej szkoły tańca za rogiem i podpaliли budynek. Nic z niego nie zostało! A przed wejściem porzucili kradziony samochód. Pamiętasz, skarbie, jak chodzilaś tam na lekcje?
- Pamiętam. - Wzdrygnęłam się.
- Mogę z tobą zostać, jeśli mnie potrzebujesz.
- Nie trzeba, mamo. Nic mi nie będzie. Edward się mną zajmie.

Zrobiła taką minę, jakby to jego osoba była właśnie powodem, dla którego wołałaby zostać.

- Wrócę wieczorem! - Zabrzmiło to nie tyle jak obietnica, ale jak ostrzeżenie. Wypowiadając te słowa, mama znów zerknęła na Edwarda.
- Kocham cię, mamo.
- Ja też cię kocham, Bello. Uwważaj na siebie, kochanie, patrz pod nogi, Nic chcę, żebyś znowu trafiła do szpitala.

Edward nie otworzył oczu, ale na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

Do pokoju wpadła energiczna pielęgniarka, żeby sprawdzić wszystkie moje kabełki i rurki. Przed wyjściem mama pocałowała mnie jeszcze w czoło i poklepała po zabandażowanej dłoni.

Pielęgniarka przejrzała wydruk z aparatu monitorującego pracę mojego serca.

- Denerwowałaś się czymś, złotko? Serce ci tu coś ostro przyspieszyło.
- Czuję się dobrze.
- Zaraz powiadomię siostrę oddziałową, że się obudziłaś. Za chwilę przyjdzie cię obejrzeć.

Gdy tylko kobieta zamknęła za sobą drzwi, Edward znalazł się przy moim boku.

- Ukradliście samochód? - spytałam, unosząc brwi ze zdziwienia. Uśmiechnął się łobuzersko.
- Był świetny, naprawdę szybko.
- Jak tam drzemka? Zrobił dziwną minę.
- Cóż, dowiedziałem się wielu ciekawych rzeczy.
- Na przykład? Wbił wzrok w podłogę.
- Zaskoczyłaś mnie. Ten dom na Florydzie, mieszkanie z matką... Myślałem, że właśnie o tym zawsze marzyłaś.

Nie wiedziałam, o co mu chodzi.

- Przecież na Florydzie musiałbyś cały dzień siedzieć w domu. Wychodziłbyś na dwór tylko w nocy, jak jakiś prawdziwy wampir.

Przez chwilę wydawało mi się, że jednak się uśmiechnie, ale nie. Spojrzał na mnie ponuro.

- Gdybyś się wyprowadziła, zostałbyś w Forks, Bello - oświadczył. - Albo przenieśliśmy się do innego miasteczka na północy. Jaknajdalej od ciebie, byle nie móc cię dłużej narażać na niebezpieczeństwo.

Z początku to do mnie nie dotarło, wpatrywałam się tylko w niego tępo. Stopniowo jednak słowa Edwarda zaczęły układać w mojej głowie w logiczną całość, przerażającą całość. Oszołomiona nie zwróciłam nawet uwagi na przyspieszone pikanie aparatury. Dopiero ostry ból w zębach uświadomił mi, że oddycham jak histeryczka, a serce mi oszalało.

Edward nie odzywał się, obserwował tylko czynie moją twarz, twarz wykrzywioną bólem, który nie miał nic wspólnego z polamanymi kośćmi. Czuję się coraz gorzej.

Do pokoju weszła zdecydowany krokami kolejna pielęgniarka. Edward nie ruszył się ani na milimetr, gdy lustrowała fachowym okiem moją zbolalą minę, a potem wszystkie monitory.

- Podać ci coś przeciwbólowego, kotku? - spytała ciepło, poklepując woreczek kroplówki.
- Nie, nie - wymamrotałam, starając się udawać, że nic mnie nie boli. - Wszystko w porządku. - Nie miałam najmniejszego zamiaru zasygnalizować w takiej chwili.
- Nie musisz być taka dzielna, skarbie. Lepiej nie nadwężać organizmu. Musisz odpocząć. - Czełała, aż zmienił zdanie, ale pokręciłam przecząco głową.
- Niech ci będzie - westchnęła. - Przywołaj mnie przyściskiem, jeśli się zdecydujesz.

Rzuciła jeszcze Edwardowi srogie spojrzenie i po raz ostatni zerknęła na aparaturę.

Gdy wyszła, Edward ujął moją twarz w swoje chłodne dłonie.

- Spokojnie, Bello, tylko spokojnie.
- Nie zostawiaj mnie - poprosiłam łamiącym się głosem.
- Nie zostawię - obiecał. - A teraz leż ładnie, bo zawołam pielęgniarkę i każę cię czymś nafaszerować.

Moje serce nie chciało się jednak uspokoić.

- Bello. - Edward pogłaskała mi po policzku z zaniepokojoną miną. - Nigdzie się nie wybieram. Będę tu tak długo, jak będziesz mnie potrzebować.
- Przyśpieszysz, że mnie nie zostawisz? - wyszeptalam. Próbowalam kontrolować swój oddech, ale bezskutecznie. Moje płuca pulsowały szpatmatycznie pod obolałymi zębami.

Znów ujął moją twarz i pochylił się nade mną.

- Przyśpieszysz - powiedział tonem pełnym powagi.

Jego oddech podzielał na mnie kojąco, ból w klatce piersiowej zęzał. Edward nie spuszczał ze mnie wzroku, czekając, aż zupełnie się odprężę, a tempo pulsowania aparatury wróci do normy. Jego oczy były dziś wyjątkowo ciemne

- nie złote, a niemal czarne.
- Lepiej ci już? - spytał.
- Lepiej - potwierdziłam.

Pokręciłam głową, mamrocząc coś pod nosem. Wydawało mi się, wychyćłam słowo „nadzrażliwa”.

- Po co to powiedziałaś? - odezwałam się cicho, opanowując drżenie w swoim głosie. - Zmęczyło cię już to, że ciągle musisz wybawiać mnie z opresji? Chcesz, żebym wyjechała?

- Nie, skąd, co za bzdure podejrzanie. Chcę być z tobą, Bello. I nie mam nic przeciwko wybawianiu cię z opresji - ty le że to wszystko przeze mnie, to dzięki mnie teraz tu jesteś.

- A tak dzięki tobie. - Zaczynał działać mi na nerwy. - To dzięki tobie leżą tu żywa!

- Ledwie żywa - szepnął zażenowany. - Cała jesteś w gipsie i bandażach, ledwie się możesz ruszyć.

- Nie miałam zresztą na myśli tego, co się ostatnio wydarzyło, tylko te wszystkie historie z Forks. Mam wylizać? Gdyby nie ty, już dawno gniliłabym na cementarzu.

Wzdrygnął się na sam dźwięk tych słów, ale widać było, że nie czuje się bohaterem.

- Ale to jeszcze nic. - Wrócił do swojej ponurej wylizanki, jakbym w ogóle się nie odzywała. - To nic, że widziałem, jak leżysz na podłodze w kałuży krwi - ciągnął zdławionym głosem. - To nic, że myślałem, że przybyliśmy za późno. Że straszale, jak krzyczyś z bólu. Całą wieczność będę pamiętał te okropne chwile. Najgorsze było to, że wiedziałem, że nie będę w stanie się powstrzymać. Że sam cię zabiję.

- Ale mnie nie zabiłeś.

- Tak niewiele brakowało.

Wiedziałam, że powinnam zachować spokój... ale przecież usiłowałam właśnie przekonać siebie samego, że musimy się rozstać. Strach ścisnął mnie za gardło.

- Obiecaj mi - szepnęłam.

- Co?

- Wiesz co. - Naprawdę mnie zdenerwowała twoja postawa. Czy musiał tak uparcie doszukiwać się dziury w całym?

Poznał po tonie mojego głosu, że się gniewam. Skrzywił się.

- Jak na razie wszystko wskazuje na to, że nie mam dość silnej woli, żeby trzymać się od ciebie z daleka, więc chyba postawisz na swoim... choćby miało cię to kosztować życie.

- Świetnie. - Nie uszło jednak mojej uwadze, że niczego mi w końcu nie obiecał. Nadal bałam się o naszą przyszłość, a nie miałam już siły kontrolować kipiącego we mnie rozdrażnienia. - Wspominałeś, że udało ci się pohamować instynkt - zaczęłam hardo. - Teraz chciałabym się dowiedzieć, po co się w ogóle fatygowałaś?

- Jak to: po co?

- Czemu nie pozwolił ci się na to, by jąd się rozprzestrzenił? Byłabyś teraz taka sama jak wy.

oczy mojego towarzysza w ułamek sekundy zrobiły się zupełnie czarne. Uświadomiłam sobie, że Edward zawsze starannie ukrywał przede mną prawdę o jądzie. To Alice zdradziła mi sekret pochodzenia wampirów, a najwyraźniej była ostatnio zbyt przejęta pozaniem faktów z własnej przeszłości, by zwierzyć się bratu ze swojej niedyskrecji. Być może nawet świadomie to przed nim ukrywała. W każdym razie dowiedział się dopiero teraz. Był równie zaskoczony, co rozwścieczony. Jego nozdrza drgały, a zaciśnięte szcękły wyglądały na wyciosane z kamienia.

Z pewnością nie miał najmniejszego zamiaru odpowiedzieć mi na pytanie.

- Nie kryję, że nie mam doświadczenia w relacjach damsko - męskich - odezwałam się śmiało - ale po prostu wydaje mi się to całkiem logiczne. W każdym związku konieczna jest pewna równowaga. Nie może być tak, że tylko jedna strona bez przerwy ratuje drugą. Obie muszą się ratować.

Edward podparł się łokciami o krawędz mojego łóżka, opierając brodę na splecionych dłoniach. Jego twarz rozpozogdziła się, gniew został pohamowany. Zdecydował widocznie, że to nie ja tu zawiniłam. Miałam nadzieję, że zdąży ostrzec Alice, zanim dobierze jej się do skóry.

- Raz mnie uratowałaś - powiedział cicho.

- Nie mogę zawsze grać roli ukochanej Supermana - upierałam się. - Też chcę być Supermanem.

- Nie wiesz, jak to jest. - Siedział tak, wpatrując się w brząg poduszki. W jego głosie nie było sły chać irytacji.

- Myślę, że wiem.

- Bello, wierz mi, nie masz pojęcia. Miałem prawie dziewięćdziesiąt lat na rozmyślania i nadal nie wiem, czy warto.

- Wolalbyś, żeby Carlisle cię nie ocalał?

- Nie, nie załuję, że tak się stało. - Zamilkł na moment. - Ale moje ludzkie życie dobiegało wówczas końca. Niczego i nikogo nie musiałem się wyrzec.

- To ty jesteś całym moim życiem. Tylko ciebie nie chciałabym stracić. - Rozkręcałam się. Zapewnianie go o tym, jak bardzo go potrzebuję, przychodziło mi z łatwością.

Nie robiło to jednak na nim wrażenia. Dawno powziął decyzję.

- Nie mogę, Bello. Nie zrobię ci tego.

- Czemu nie? - Z emocji dostałam chrypkę i nie udało mi się wypowiedzieć tych słów tak głośno, jak zamierzałam. - Tylko nie mów, że to cię przerasta! Po tym, czego dokonałeś dzisiaj... a raczej ileś tam dni temu. Mniejsza o to.

Po tym, czego dokonałeś, pójdzie ci jak płatka!

Patrzyłam na mnie spođe lba.

- A ból? - spytał. Zadrżałam. Nie umiałam się powstrzymać. Ale postarałam się, by moja mina nie zdradziła tego, jak dobrze pamiętam tamto uczucie... ogień w moich żyłach.

- To moja sprawa - odparłam. - Wytrzymam.

- Były już w historii takie przypadki, że odwaga przekraczała granicę szaleństwa.

- Ból mnie nie zraza. Trzy dni? Wielkie mi co.

Edward znów się skrzywił, bo przypomniałam mu, że wiem o wiele więcej, niżby sobie tego kiedykolwiek życzył. Sdumił jednak gniew i skupił się na wyszukiwaniu argumentów.

- A Charlie? - rzucił prosto z mostu. - A Renee?

Zamilkłam na długo, skłajając w głowie celnej riposty. Otworzyłam usta, ale nie wy dobył się z nich żaden dźwięk. Zamknęłam je zmieszana. Edward czekał cierpliwie z triumfującym wyrazem twarzy. Wiedział, że nie miałem się.

- Słuchaj no, to też nie jest problem - wy mamrotałam w końcu. Nie zabrniało to zbyt przekonująco, nigdy nie byłam dobrym kłamcą. - Renee zawsze postępowała tak, żeby to jej było wygodnie. Z pewnością nie miałyby nic przeciwko temu, żebym i ja poszła w jej ślady. A Charlie ma grubą skórę, szybko dojdzie do siebie, poza tym jest przyzwyczajony do mieszania w pojedynkę. Nie mogę robić wszystkiego pod nich, to moje życie.

- Właśnie - warknął. - A ja nie mam zamiaru cię go odbierać.

- Jeśli uważasz, że możesz mi to zrobić dopiero na łożu śmierci, to muszę ci przypomnieć, że kilka dni temu byłam umierającą!

- Byłaś, ale wyzdrowiejesz - poprawił mnie.

Wzięłam głęboki wdech, żeby się uspokoić, ignorując bolesną reakcję swoich żeber. Wpatrywałam się w siebie w milczeniu. Edward nie był gotowy na kompromis.

- Umrę - powiedziałam dobitnie. Zmarszczył czoło.

- Nie umrzesz, nie umrzesz. Może będziesz miała parę blizn, ale...

- Mylisz się - przerwałam mu. - Ja naprawdę umrę.

- Co ty wygadujesz, Bello? - zdenerwował się. - Wypiszą cię stąd za kilka dni, góra za dwa tygodnie.

Patrzyłam mu prosto w oczy.

- Może nie umrę tak od razu... ale kiedyś na pewno. Z każdym dniem jestem bliższa śmierci. Zestarzej się! Osiwiej, będę miała zmarszczki...

Spochmurniał, pojmuając z wolna, o co mi chodzi. Przyłożył sobie palce do skroni i zamknął oczy.

- Tak właśnie ma to wyglądać. Tak właśnie powinno być. I tak by się stało, gdybyś mnie nie spotkała, gdybym nie istniał, a nie powinienem istnieć.

Prychnęłam. Zdziwiony otworzył oczy.

To głupie. To tak, jakbyś podszedł do kogoś, kto wygrał w totka i właśnie odbiera pieniądze, i powiedział mu: „Zostaw to, wróć do dawnego życia. Taki jest właściwy porządek rzeczy. Tak będzie dla ciebie lepiej”. Ja tam tego nie kupuję.

- Trudno porównywać mnie do wygranej w totka.

- Masz rację. Jesteś czymś o niebo lepszym. Wzniósł oczy do góry.

- Starczy tej dyskusji, Bello. Nie ma mowy. Nie skazuję cię na życie w wiecznej nocy, koniec, kropka.

- Jeśli myślisz, że sobie odpuszczę, to się grubo mylisz! - ostrzegałam. - Nie zapominaj, że nie jesteś jedynym wampirem, którego znam.

Oczy Edwarda znów pociemniały.

- Alice się nie ośmieli.

Przez chwilę wyglądał tak przerażająco, że mu uwierzyłam - nie byłam sobie w stanie wyobrazić, że ktoś mógłby mieć dość odwagi, by mu się przeciwstawić. Ale zaraz potem uświadomiłam sobie, co jest grane.

- Alice miała wizję, prawda? Wie, że kiedyś będę taka jak wy. To dlatego denerwują cię jej różne komentarze.

- Alice się myli. Widziała też ciebie martwą, a przeżyłaś.

- Ja tam wolalabym się nigdy o nic nie zakładać wbrew jej wizjom.

Wpatrywałam się w siebie gniewnie przez ładny parę minut. W pokoju zapanowała cisza - względna cisza, bo coś nieprzerwanie brzęczało, pikało i skłapywało, a wielki ścienny zegar tykał głośno.

Edward pierwszy dał za wygraną.

- I co dalej? - spytałam, widząc, że patrzy na mnie łagodniej. Wzruszył ramionami.

- Impas. Tak to się chyba nazywa.

Westchnęłam. Znow się zapomniałam. Jęknęłam cicho z bólu.

- Wszystko w porządku? - Edward zerknął znacząco na guzik wzywający pielęgniarkę.

- Tak, tak - skłamałam.

- Nie wierzę ci - oświadczył spokojnie.

- Nie mam najmniejszej ochoty dalej spać.

- Musisz dużo odpoczywać. Te zażarte dyskusje ci tylko szkodzą.

- To mi ustap - zaproponowałam.

- Ach, jakaś ty sprytna. - Wyciągnął rękę w stronę przycisku.

- Nie! Zignorował mnie.

- Słucham - przemówił interkom.

- Pacjentka prosi o kolejną dawkę środków przeciwbólowych - oznajmił Edward, nie zwracając uwagi na moją rozwścieczoną minę.

- Już przysyłam pielęgniarkę. - Głos nieznamoj był bardzo zduszony.

- Nie wezmę do ust ani jednej tabletki - zagroziłam.

Mój towarzysz wskazał głową na wiszący nad łóżkiem podłużny woreczek - Nie sądzę, żeby kaźli ci cokolwiek połykać.

Serce zaczęło mi bić szybciej. Edward zobaczył w moich oczach strach i westchnął zmiecierpliwionym.

- Bello, wszystko cię boli. Żeby wyzdrowieć, musisz się zrelaksować. Czemu robisz trudności? Nie będą ci już nic wkluwać.

- Nie o igły mi chodzi - błąknęłam. - Boję się zamknąć oczy.

Uśmiechnął się najpiękniejszy ze swoich uśmiechów i po raz kolejny ujął moją twarz w obie dłonie.

- Już ci mówilem, że nigdzie się nie wybieram. Nie masz się czego bać. Tak długo, jak ci to sprawa przyjemność, będę tu siedział dzień i noc.

I ja się uśmiechnęłam, nie zważając na ból w policzkach.

- Twoja obecność zawsze będzie sprawiać mi przyjemność. Zawsze.

- Och, przejdzie ci. To tylko młodzieńcze zauroczenie.

Pokręciłam głową z niedowierzeniem. Świat na moment zawirował.



- Byłam w szkole, kiedy Renee wzięła moje słowa za dobrą monetę. Ale wiem, że ty znasz prawdę.

- Prawda jest taka, że ludzie mają pewną wspaniałą cechę. Zmieniają się. - I co, już się nie możesz doczekać?

Śmiała się jeszcze, kiedy do pokoju weszła pielęgniarka. W rękę miała strzykawkę.

- Pan wybacz - odpedziła go chłodno. Edward przeszedł na drugi koniec pomieszczenia, oparł się o ścianę i założył ręce. Nadal pełna obaw, nie spuszczałam go z oka. Spojrzał na mnie ze spokojem.

- Proszę bardzo. - Pielęgniarka uśmiechnęła się, wstrzykując mi medykament do jednej z rurek - Zaraz poczujesz się lepiej, złotko.

- Dziękuję - mruknęłam bez entuzjazmu. Lek zaczął działać szybko, niemal natychmiast ogarnęła mnie senność.

- Tyle chyba starczy - oceniła kobieta, widząc, że oczy same mi się zamykają.

Musiła wyjść z pokoju, bo na twarzy poczułam chłodną gładkość.

- Zostań. - Nie byłam już w stanie mówić wyraźnie.

- Będę przy tobie - obiecał. Miał taki piękny głos, brzmiał jak kółko sanki. - Tak długo, jak ci to sprawa przyjemność... Tak długo, jak jest to dla ciebie najlepsze rozwiązanie...

Próbowałam zaprotestować, ale moja głowa zrobiła się zbyt ciężka, by nią ruszyć.

- To nie to samo - wy mamrotałam z wysiłkiem.

Zaśmiał się.

- Nie myśl teraz o tym, Bello. Podyskutujemy sobie znowu, kiedy się obudzisz.

Chyba się uśmiechnęłam, a przynajmniej taki miałam zamiar.

- Okej.

Poczułam jego wargi na moim uchu.

- Kocham cię - szepnął.

- Ja też cię kocham.

- Wiem. - Znow się zaśmiała, cichutko.

Obróciłam głowę w stronę jego twarzy. Zgadł, o co mi chodzi. Pocałował mnie w usta.

- Dzięki - westchnęłam.

- Do usług.

Tak właściwie to już odpynęłam, ale mimo to resztką sił walczyłam ze snem, by coś jeszcze Edwardowi powiedzieć.

- I wiesz co? - Musiałam się bardzo namęczyć, żeby mówić wyraźnie.

- Co?

- Ja stawiam na Alice.

A potem zapadłam się w ciemność.

*Epilog: Wyjątkowy wieczór*

Edward pomógł mi wsiąść do swojego samochodu. Musiał bardzo uważać - na fałdy jedwabiu i szyfonu, na kwiaty, które dopiero, co samodzielnie wpiął mi w misternie ułożone loki, na moją nogę w gipsie. Zignorował jedynie moją zgąbnianą minę.

Kiedy w końcu usadził mnie w fotelu, zasiadł za kierownicą i zaczął wycofywać auto z długiego wąskiego podjazdu.

- Kiedy masz zamiar powiedzieć mi wreszcie, dokąd, u licha jedziemy? - odezwałam się zrzędlonie. Nienawidziłam niespodzianek. Dobrze o tym wiedział.

- Jestem zdumiony, że jeszcze się nie domyśliłaś. - Spojrzył na mnie z ironią. Zaparło mi dech w piersiach - czy kiedykolwiek miałam się przyzwyczaić do jego uroku?

- Mówiłam ci już, że bardzo fajnie dziś wyglądasz, prawda? - upewniłam się.

- Mówiłaś. - Uśmiechną się promiennie. Nigdy wcześniej nie widziałam go od stóp do głów w czerni, a musiałam przyznać, że kolor ten wspaniale kontrastował z jego jasną karnacją. Uroda Edwarda robiła kolosalne wrażenie. Był tylko jeden kłopot - to, że miał na sobie smoking, napawało mnie niepokojem.

Jeszcze bardziej denerwowałam się ze względu na suknię. No i but. But, nie buty, bo moja druga stopa nadal kryła się pod grubą warstwą gipsu. Cóż, szpilka wiązana w kostce na satynowe wstążeczki z pewnością nie zapewniała mi należytego oparcia, gdy próbowałam kuśtykać z miejsca na miejsce.

- Jeśli twoja siostra ma zamiar jeszcze kiedyś potraktować mnie jak lalkę Barbie, nigdy więcej nie przyjdę już do was w odwiedziny - warknęłam. - Nie jestem świniką morską dla kosmetyczek - amatorok.

Większą część dnia spędziłam w przytłaczającej swoimi rozmiarami łazience Alice, jej właścicielka zaś wyzywała się na mojej skórze i włosach. Za każdym razem, gdy próbowałam zmienić pozycję albo narzekałam na niewygodę, przypominała mi, że ani trochę nie pamięta, jak to jest być człowiekiem, i błagała o cierpliwość, bo tak świetnie się bawi. Na koniec przebrała mnie w wyjątkowo idiotyczną sukienkę - granatową, falbaniastą, odsłaniającą ramiona, z francuską metką, której nie potrafiłam rozszyfrować - sukienkę rodem z harlequina, a nie z Forks. Nasze wieczorowe kreacje nie zapowiadały niczego dobrego, co do tego byłam przekonana. Chyba, że... ale sama przed sobą bałam się przyznać, że snuję podobne przyrzeczenia.

Moje rozmyślania przerwał dzwonek telefonu. Edward wyciągnął komórkę z wewnętrznej kieszonki marynarki, a zanim odebrał, zerknął sprawdzić, kto dzwoni.

- Witaj, Charlie - przywitał mojego ojca, bacząc na każde swoje słowo.

- Charlie? - Skrzywiłam się.

Odadł wróciłam do Forks, Charlie był nieco... trudny w pozyciu. Na moją nieszcześliwą przygodę zareagował dwojako - z jednej strony wielbił wręcz teraz Carlisle, wdzięczny za uratowanie mi życia, z drugiej upierał się, że winę za wszystko ponosi Edward. Gdy by nie on, przede wszystkim nie wyjechałabym przeciw doPhoenix. Edward wysłał reszta podobnie. W rezultacie po raz pierwszy w życiu byłam kontrolowana przez rodzica: musiałam na przykład wracać do domu o określonej porze i o określonej porze wypraszać gości.

Coś, co powiedział Charlie, sprawiło, że na twarzy Edwarda pojawiło się niebotyczne zdumienie, a zaraz potem szeroki uśmiech.

- Zartujesz sobie ze mnie! - Parsknął śmiechem.

- O co chodzi? Zignorował moje pytanie.

- To może daj mi go do telefonu - zaproponował ojcu. Widać było, że trafiła mu się jakaś gratka. Odczekał kilka sekund.

- Cześć, Tyler. Tu Edward Cullen. - Zabrzniało to całkiem przyjaźnie, ale znałam Edwarda już na tyle dobrze, by móc wychwycić w jego głosie złośliwą nutkę. Co, u licha, Tyler robił u mnie domu? Nagle zaczęłam kojarzyć fakty. O nie, pomyślałam, zerkając na dziwaczną sukienkę, którą wiesnęła mi Alice.

- Bardzo mi przykro, zaszło tu chyba jakieś nieporozumienie. Jeśli chodzi o dzisiejszy wieczór, Bella jest już zajęta. - Im dłużej Edward mówił, tym wyraźniej było słychać, że ma zamiar delikatnie nastraszyć swojego konkurenta. - Szczerze mówiąc, ma już partnera na każdy wieczór w najbliższym czasie, a tym partnerem jestem ja. Bez obrazy. Jeszcze raz przepraszam za wszelkie wyniki niedogodności. Może jeszcze kogoś znajdziesz - dodał zdawliwie na pożegnanie i zamknął telefon.

Spurpurowiałam z oburzenia. Do oczu napłynęły mi łzy wściekłości.

Takiej reakcji Edward się nie spodziewał.

- Co, przesadziłem z tym ostatnim? Przepraszam, ciebie nie chciałem urazić.

Puściłam tę uwagę mimo uszu.

- Zabierasz mnie na bal absolwentów! - wydarłam się.

Tak mi było wstyd, że wcześniej na to nie wpadłam. Gdyby owo wydarzenie towarzyskie choć trochę mnie obchodziło, z pewnością zwróciłabym uwagę na datę widniejącą na rozwieszonych po szkole plakatach, nie podejrzewałam jednak, że Edward skarże mnie na podobne męczarnie. Skąd ten pomysł? Czyżby nic o mnie nie wiedział?

Sądząc po minie Edwarda, moja reakcja była mocno przesadzona. Zmarszczył czoło i zacisnął wargi.

- Uspokój się, Bello.

Wyjrzałam przez okno - przebyliśmy już połowę drogi do szkoły.

- Czemu mi to robisz? - spytałam przerażona i zła.

Włożyłam smoking. Czego się spodziewałaś, jeśli nie balu? Nie wiedziałam, co odrzec. Przegapiłam najbardziej oczywiste z powodów. Rzecz jasna, gdy Alice próbowała zmienić mnie w królową piękności, w mojej głowie zrodziły się pewne niejasne i budzące grozę podejrzenia, ale okazały się tak naiwne... Jak by nie patrzeć, wyszłam na idiotkę.

Wiedziałam, że szykuje się wyjątkowy wieczór. Ale bal absolwentów? Nawet nie przyszło mi to do głowy.

Po policzkach pociekły mi łzy. Przypominałam sobie z przerażeniem, że mam wytuszone rzęsy - nie byłam do takich rzeczy przyzwyczajona - szybko więc wytarłam oczy, żeby zapobiec ich rozmazaniu. Dłoń okazała się czysta

- Alice przewidziała widocznie, że przyda mi się wodoodporny makijaż.

- To śmieszne. Dlaczego płaczesz?

- Bo jestem wściekła!

- Bello. - Spojrzył mi prosto w oczy, wykrztując swój magnetyczny urok.

- Co? - mruknęłam zdekongcentrowana.

- Zrób to dla mnie - poprosił.

Pod wpływem jego złościgo spojrzenia ulatniał się cały mój gniew. Z kimś, kto miał w zanadru taką broń, nie dało się wygrać. Podałam się bez klasy.

- Niech ci będzie. - Naburmuszona wydełam usta. Chciałam patrzeć na niego nienawistnie, ale nie za bardzo mi to wychodziło.

- Usiądź sobie cichutko w łóżeczku. Ale ostrzegam! Od dłuższego czasu nie mi się nie przytrafiło. Jak nie złamię drugiej nogę. Spójrz tylko na ten pantofelek! To śmiertelna pułapka! - Wyciągnęłam obutą stopę przed siebie.

- Hm... - Wpatrywał się w nią dłużej, niż to było konieczne. - Alice nieźle się spisała. Muszę zaraz jej za to podziękować.

- To Alice też tam będzie? - Pocałowałam się nieco pewniej.

- I Alice, i Jasper, i Emmett - przyznał. - I Rosalie.

Dobry nastrój przyszył jak bańka mydlana. Rosalie nadal nie mogła się do mnie przekonać, choć jej „narzeczony” lubił moje towarzystwo. Cieszył się, gdy do nich wpadałam, bawiły go moje ludzkie zachowania - a może raczej to, że tak często się przewracałam... Rosalie traktowała mnie tymczasem jak powietrze. Mniejsza o nią, pomyślałam, odpędzając złe myśli. Zastanowiło mnie coś innego.

- Czy Charlie wiedział o wszystkim?

- Jasne. - Edward znow szeroko się uśmiechnął, a potem zachichotał. - Ale biedny Tyler najwyraźniej nie.

Pokręciłam głową z niedowierzaniem. Jak Tyler mógł być aż tak zaślepiiony? W szkole, dokąd nie sięgały macki Charliego, Edward i ja bylibyśmy nierozłączni - z wyjątkiem, rzecz jasna, owych rzadkich słonecznych dni.

Zajechaliśmy już na miejsce, na parking, rzucał się w oczy czerwony kabriolet Rosalie. Niebo było dziś przelśnionie jedynie cienką warstwą chmur, przez którą na zachodzie przebiło się kilka wiązek słonecznych promieni.

Edward okrążył auto, by otworzyć przede mną drzwi. Wyciągnął w moją stronę pomocną dłoń.

Splótłszy ręce na piersi, uparcie nie ruszałam się z miejsca. Miałam teraz dodatkowy powód, by obstać przy swoim, licznych świadków. Edward nie mógł wyciągnąć mnie bezpardono wo z samochodu, jak by zapewne uczynił bez wahania, gdy byśmy byli sami.

- Ciężko westchnął.

- Kiedy ktoś chce cię zabić, twoja odwaga nie zna granic, ale kiedy w grę wchodzi wyjście na parkiet... - Pokręcił głową.

Przełknęłam głośno ślinę. Brz. Taniec.

- Bello, nie pozwolę, żeby ktokolwiek zrobił ci krzywdę, żebyś sama sobie zrobiła krzywdę. Przyrzekam, że nie wypuszczę cię z objęć ani na sekundę.

Nagle poczułam się znacznie raźniej. Odgadł to szybko po mojej minie.

- No - dodał zachęcająco. - Nie będzie tak źle.

Złapałam go za rękę, a druga prztrzymała mnie w talii. Gdy już stanęłam o własnych siłach, objął mnie mocno ramieniem i tak podpierana połużyłam w kierunku szkoły. Wspierając się na Edwardzie całym ciężarem ciała, musiałam tylko pamiętać o przesuwaniu nogi do przodu.

W Phoenix na bale absolwentów wynajmowano sale balowe eleganckich hoteli, ale w Forks musiała wystarczyć sala gimnastyczna. Był to najprawdopodobniej jedyny zdatny budynek w okolicy. Gdy weszliśmy do środka,

parsknęłam śmiechem. Ściany przy odobiono pastelowymi mi girlandami z krepki i lukami z powiązanych ch ze sobą balonów.

- To wygląda jak scena z tandetnego horroru - zaszczylam.

- Tuż przed rzezią.

- Cóż - stwierdził Edward - na sali jest już aż za dużo wampirów.

Spojrzałam na parkiet. Na samym środku poza dwiema parami nie było nikogo. Czwórka tancerzy wirowała profesjonalnie z porażającą gracją - pozostali zbili się pod ścianami, nie mając ochoty z nimi konkurować. Wiedzieli, że nie mają szans. Jasper i Emmett w klasy cznych smokingach byli niedoścignieni. Alice wyglądała cudownie w czarnej satynowej sukni ze strategicznie rozmieszczonymi otworami, które odsłaniały spore trójką jej śnieżnobiałego ciała. A Rosalie... Cóż, widok Rosalie zapierał dech w piersiach. Jej obcisłą krwistoczerwoną kreację bez pleców kończył falbaniasty tren, a wąski dekolt sięgał samej talii. Żał mi było każdej dziewczyny na sali, że mną włącznie.

- Czy mam zabić deskami wшы skłie drzwi - szepnęłam - żebyście mogli bez przeszkód zmasakrować nie niepodjęrzewający ch gości?

- A ty do której ze stron się zaliczasz, co?

- To chyba oczywiste, że jestem z wami. Uśmiechnął się z oporem.

- Czego się nie robi, żeby trochę potańczyć.

- Właśnie.

Kupiwszy dla nas bilety wstępu w kasie zrobionej ze zwykłego biurka, Edward ruszył w stronę parkietu. Uczępiłam się kurczowo jego ramienia i zaparłam nogami.

- Mamy przed sobą cały wieczór - pogroził.

W końcu udało mu się dowiec mnie do swojego rodzeństwa. Tamci nadal wirowali wdzięcznie, co poniekąd zupełnie nie pasowało ani do tandetnych dekoracji, ani do nowoczesnej muzyki. Im dłużej się im przyglądałam, tym większy był mój lęk

- Edwardzie, uwierz mi. - Tak bardzo zaschło mi w gardle, że musiałam szeptać. - Ja naprawdę, naprawdę nie umiem tańczyć.

- Nie martw się, głupek - odparł. - Ważne, że ja umiem. - Położył sobie moje obie dłonie na szyi i uniósł mnie delikatnie, żeby wsunąć swoje stopy pod moje.

Ani się obejrzałam, a i my wirowaliśmy po parkiecie.

- Czuję się jak przedszkolak - wykrztusiłam z siebie po kilku minutach walca.

- Tyle że nie wyglądasz jak przedszkolak - zamruczał uwodząco, przy ciskając mnie na moment mocniej do siebie, przez co moje stopy wisiały przez chwilę kilkanaście centymetrów nad ziemią.

Przy padkowo spotkały się spojrzenia moje i Alice. Dziewczyna uśmiechnęła się do mnie dopingująco. I ja się uśmiechnęłam. Ze zdziwieniem zdałam sobie sprawę, że właściwie jest mi przyjemnie. No, dość przyjemnie.

- Nie jest tak źle - przyznałam.

Ale Edward patrzył w stronę drzwi. Coś go rozniewało.

- O co chodzi? - spytałam. Obracając się w kółko, miałam trudności z podążeniem wzrokiem za jego spojrzeniem, w końcu jednak mi się udało. Otóż szedł ku nam Jacob Black. Nie miał na sobie smokingu, jedynie białą koszulę z krawatem, a długie włosy jak zwykle związał w koński ogon.

Zaskoczyła mnie jego obecność na balu, ale zdumienie szybko wyparło współczucie. Indianin najwyraźniej nie czuł się zbyt pewnie - najchętniej wzięłby chyba nogi za pas. Miał skruszoną minę i jak ognia unikał mego wzroku.

Edward warknął cicho.

- Zachowuj się! - syknęłam.

- Chłopak chce z tobą pogadać - oświadczył pogardliwym tonem.

Jacob stanął koło nas. Widać było, jak bardzo jest skępowany. Tylko uśmiech Indianina był tak samo serdeczny co zawsze.

- Cześć, Bella. Miałem nadzieję, że cię tu zastane. - Zabrzmiało to jednak tak, jakby modlił się wcześniej, żeby mi jednaknie dotarla.

- Hej. - Odwzajemniłam uśmiech. - Jak leci?

- Mogę ją porwać na chwilę? - spytał niepewnie Edwarda. Dopiero teraz zauważyłam, że obaj są niemal równego wzrostu. Od naszego pierwszego spotkania na plaży Jacob musiał urosnąć kilkanaście centymetrów.

Edward zachował spokój, jego twarz nie wyrażała żadnych emocji. Wysunął ostrożnie swoje stopy spod moich i w milczeniu zrobił krok do tyłu.

- Dzięki - powiedział Jacob z wdzięcznością w głosie.

Edward skinął tylko głową i odszedł, rzuciwszy mi znaczące spojrzenie.

Kiedy Jacob schwyił mnie w tali, położyłam mu dłonie na ramionach.

- A niech mnie, Jake. Ile masz teraz wzrostu?

- Metr osiemdziesiąt osiem - poinformował mnie z dumą.

Mój gips uniemożliwiał nam normalny taniec - mogliśmy tylko chwiać się dziwacznie, nic odrywając stóp od podłogi. I dzięki Bogu bo mój nowy partner, nieprzyszwyczajony jeszcze do swoich zwiędzonych raptownie gabarytów, miał chyba kłopoty z koordynacją ruchową i był pewnie równie marnym tancerzem jak ja.

- Co cię tu sprowadza? - spytałam, znając już właściwie odpowiedź. Gwałtowna reakcja Edwarda mówiła sama za siebie.

- Ojciec dał mi dwadzieścia dolarów, żebyś przyszedł do was na bal - wyznał. - Uwierzyć sz? - Nadal był nieco tym faktem zażenowany.

- Wierz ci, wierz - mrugnęłam ponuro. - No cóż, mam nadzieję, że przy najmniej będziesz się dobrze bawił. Jakaś laska wpadła ci w oko? - prowokowałam go, wskazując głową rząd wystrykniętych dziewczyn pod ścianą.

- Tak - westchnął. - Ale jest już zająta.

Spojrzałam na niego zaciękawiona. Zerknął w dół i na chwilę nasze oczy się spotkały, ale zawstydzeni zaraz odwróciliśmy głowy.

- Tak w ogóle to ślicznie dziś wyglądasz - dodał Jacob nieśmiało.

- Eee, dzięki. Czemu Billy zapłacił ci, żebyś tu przyszedł? - rzuciłam szybko, chociaż i na to pytanie znałam odpowiedź.

Jacob nie wydawał się mi wdzięczny za zmianę tematu. Spojrzał gdzieś w bok. Wrócił skępowanie.

- Powiedział, że to „bezpieczne” miejsce na rozmowę z tobą. Mówię ci, na starość zupełnie traci rozum.

Zareagowałam, jakby był to niezły dowcip, choć nie było mi do śmiechu.

- Mniejsza o to. Obiecał, że jeśli ci coś przekaże w jego imieniu, załatwi mi ten cy linder, na którym mi tak zależy.

- No to wal śmiało. Też chcę, żebyś wreszcie wykończył to auto. - Uśmiechnęliśmy się do siebie. Użyło mi, bo wszystko wskazywało na to, że Jacob wciąż nie wierzy w plemienne podania.

Oparty o ścianę Edward obserwował bacznie mój wyraz twarzy - jego własna pozostawała nieprzenikniona. Jakaś dziewczyna z klasy niżej, w różowej sukience, stała nieopodal, zastanawiając się, czy czasem nie jest wolny, ale nie zdawała sobie chyba sprawy z jej istnienia.

Jacob znów się zawstydził i spuścił wzrok - Tylko się nie wściekaj, dobra?

- Cokolwiek powiesz, na pewno nie będę na ciebie zła. Nawet na Billy'ego nie będę zła. Po prostu wykrztuś to z siebie.

- Widzisz... Kurczę, to taki idiotyczny telst. Przepraszam. Widzisz, tata chce, żebyś zerwała ze swoim chłopakiem. Mam ci przekazać, że błaga cię, żebyś go posłuchała. - Chłopak pokręcił głową z zażenowaniem.

- Nadal wierzy w legendy?

- Tak Kiedy się dowiedział, co się stało w Phoenix... Jak on to przeżywał! Był przekonany, że... No wiesz.

- Naprawdę spadłam ze schodów - wycedziłam.

- Jasne. Ja tam z tym nie mam problemów.

- Billy myśli, że to przez Edwarda wróciłam taka pokiereszowana... - To nie było pytanie. Mimo obietnicy danej jego synowi, byłam na niego zła.

Jacob unikał mego mego wzroku. Przestał się już nawet kołysać, choć nadal trzy mał mnie w tali, a ja obejmowałam go za szyję.

- Posłuchaj mnie uważnie. - Spojrzał mi prosto w oczy, zaintrygowany energią w moim głosie.

- Wiem, że Billy i tak mi pewnie nie uwierzy, ale Edward naprawdę uratował mi wtedy życie. Gdyby nie on i jego ojciec, nie stałabym tu teraz przed tobą.

- Wiem - przytaknął. Moje żarliwe słowa wywarły chyba na nim jakieś wrażenie. Mogłam mieć tylko nadzieję, że zdoła przekonać ojca. Chciałam, żeby Billy zrozumiał, jaką rolę odegrali Cullenowie, niezależnie od tego, co istotnie wydarzyło się w Phoenix.

- Nie przejmuję się, już po wszystkim - pocieszałam chłopaka.

- I jeszcze dostaniesz swój cy linder, prawda?

Mrknął coś tylko pod nosem, kręcąc się niespokojnie w miejscu.

- To jeszcze nie koniec? - spytałam z niedowierzaniem.

- Zapomnijmy o tym - zaproponował. - Znajdź sobie robotę. Sam zdobędę te pieniądze.

Szukałam jego wzroku długo, aż nasze oczy się spotkały.

- Wyduś to z siebie - rozkazałam.

- Ale to taka głupota.

- Nic sobie nie pomyśl. No, śmiało.

- Niech ci będzie. Ech... - Pokręcił głową. - Ojciec mówi, ba, ostrzega cię nawet, że - i tu zwróć uwagę na liczbę mnogą - "będą cię mieli na oku". - Jacob zamarł w oczekiwaniu na moją reakcję.

Zabrzmiało to niczym pogróżka z jakiegoś filmu gangsterskiego. Parsknęłam śmiechem.

- Boże, Jake, współczuję ci, że musiałeś przez to przejść.

Odetchnął z ulgą.

- Już się balem, że mnie pogonisz - Uśmiechnął się i śmieiej przyjrzał mejej kreacji. - To co - spytał z nadzieją - mam mu przekazać od ciebie: „Spadaj na drzewo, dziadu”?

- Nie, skąd. Podziękuj mu za troskę. Wiem, że to wszystko dla mego dobra.

Piosenka dobiegła końca, zdjęłam więc ręce z jego szyi. Jacob zawałał się, a potem zerknął na mój gips.

- Chcesz zatańczyć jeszcze jedną? A może pomóc ci gdzieś przejść?

Wyńczył mnie Edward.

- Dzięki, Jacob. Przejmuję palecękę.

Indianin wzdrygnął się i spojrzał na Edwarda zdziwiony.

- Kurczę, zupełnie nie zauważyłem, kiedy podszedłeś. To do zobaczenia, Bello - zwrócił się do mnie. Zrobił krok do tyłu i pomachał mi nieśmiało.

- Do zobaczenia. - Pożegnałam go ciepłym uśmiechem.

- Jeszcze raz przepraszam - bąknął, zanim ruszył w stronę drzwi.

Przy pierwszym ch takach nowej piosenki Edward schwyił mnie talii. Miała nieco za szybkie tempo jak na tulenie się do siebie w parze, ale najwyraźniej mu to nie przeszkadzało. Z zadowoleniem oparłam głowę o jego pierś.

- I jak tam, użyło ci? - zaszotałam.

- Też coś - prychnął gniewnie.

- Nie złość się na Billy'ego - poprosiłam. - Tu nie chodzi o ciebie. Martwi się o mnie, bo jestem córką Charliego.

- Nie jestem zły na Billy'ego - wyjaśnił Edward cierpko - ale ten jego synalek działa mi na nerwy.

Odsunęłam się od niego na moment, żeby sprawdzić wyraz jego twarzy. Mówił na serio.

- Z jakiej to przyczyny?

- Po pierwsze, musiałem przez niego złamać daną ci obietnicę. Nie rozumiałam.

- Przyrzekłem, że nie wypuszczę cię dziś wieczór z objęć ani na sekundę.

- Ach, to. Wybaczam ci.

- Dzięki. Ale to nie wszystko. - Zmarszczył czoło.

Czekałam cierpliwie.

- Użył wobec ciebie słowa „ślizna” - przypomniał mi w końcu. Zmarszczył na jego ciele pogłębiły się. - Biorąc pod uwagę to, jak dźbisz wyglądasz, to praktycznie obelga. Nawet „piękna” nie oddaje twojej urody. Zachichotałam.

- Jako mój chłopak chyba nie możesz dokonać obiektywnej oceny.  
- Mogę, mogę. A poza tym mam doskonały wzrok.

Znów wirowaliśmy po parkiecie niczym pięciolatka z tatusiem.

- Czy masz zamiar mi wyjaśnić, czemu to zrobiłeś? - spytałam.

Z początku nie zrozumiał, o co mi chodzi, ale pomógł mi wskazując głową krepowe ozdoby.

Zamyślił się na moment, a potem, nie przerywając tańca, zaczął lawirować przez tłum w stronę tylnego wyjścia z sali. Przechwyciłam zdziwione spojrzenia Mike'a i Jessiki. Dziewczyna pomachała mi, ale zdążyłam tylko się uśmiechnąć. Nieopodal nich tańczyła Angela, na oko niebotycznie szczęśliwa w ramionach Bena Cheney'a - choć był niższy od niej o głowę, bezustannie patrzyła mu prosto w oczy. Lee i Samantha, Lauren i Conner - Lauren oczywiście przyglądała mi się zjadliwie - знаłam imiona wszystkich mijanych przez nas osób...

Wyszliśmy. Słońce już niemal skryło się za horyzontem. Zrobiło się chłodno.

Ledwie zdążyłam to zauważyć, gdy Edward wziął mnie na ręce i zaniósł przez ciemny trawnik ku stojącej w cieniu drzew ławce. Usiadłszy, przytulił mnie mocno do siebie. Na niebie nad nami widoczny był już księżyc, prześwitywał przez cienką warstwę chmur. W jego białym świetle twarz Edwarda wyglądała na bleśdzą niż zwykle. Miał też zacisnięte usta i zmartwione oczy.

- Co tobą kierowało? - przypomniałam.

Puścił moje pytanie mimo uszu. Wpatrywał się w tarczę księżycy.

- I znów zmierzch - zamruczał pod nosem. - Kolejny dzień dobiega końca. Choćby nie wiem jaki był piękny, jego miejsce zajmie noc.

- Niektóre rzeczy mogą trwać wiecznie - szepnęłam, nagle spięta.

Edward westchnął ciężko.

- Wzięłam cię na bal - zaczął wreszcie, starannie dobierając słowa - ponieważ nie chcę, żeby cokolwiek cię w życiu ominęło, ominęło przez to, że jesteś ze mną. Zrobię wszystko, żeby wynagrodzić ci jakoś moją odmiennność. Chcę, żebyś żyła tak jak inni ludzie. Żebyś żyła tak, jakby mój rzeczywiście zmarł w roku 1918, tak jak wypadło.

Wzdrygnęłam się na tę wzmiankę o śmierci, ale zaraz rzuciłam gniewnie:

- Ciekawa jestem, w której równoległej rzeczywistości z własnej nieprzymuszonej woli poszłabyś na bal absolwentów. Gdybyś nie był tysiąc razy ode mnie silniejszy, taki numer nie uszedłby ci na sucho.

Niemal się uśmiechnęłam.

- Nie było tak źle, sama mówiłaś.

- Tylko dlatego, że byłam z tobą. Przez minutę siedzieliśmy w ciszy: on wpatrywał się w księżyc, a ja w niego. Żalowałam, że nie umiem mu wytłumaczyć, jak mało interesuje mnie zwykłe ludzkie życie.

Edward zerknął na mnie z nieco filuterną miną.

- Odpowiedz mi na pewne pytanie? - zapytał.

- Czy kiedykolwiek ci odmówiłam?

- Obiecuję, że nie będziesz się wymigiwać - zażądał, szczerząc się w uśmiechu.

- Obiecuję. - I zaraz poczułam, że będę tego żalować.

- Wydałaś się szczerze zaskoczona, zorientowałeś się, dokąd cię wiozę.

- Bo byłam zaskoczona - wtrąciłam.

- No właśnie - przytaknął. - Musiałaś mieć jednak jakąś własną teorię, prawda? Jestem jej bardzo ciekaw. Myślałaś, że po co cię tak kazałem wystrzoić?

I po co się zgodziłaś na zwierzenia, pomyślałam. Zawahałam się, przygryzłam wargi.

- Nie powiem.

- Obiecałaś.

- Wiem, że obiecałam.

- W czym problem?

Myślał pewnie, że po prostu wstydzę się swoich domysłów.

- Boję się, że się wściekniesz - wyjaśniłam - albo, że będzie ci smutno.

Zastanawiał się przez chwilę.

- Mimo to chce wiedzieć. Proszę. Westchnęłam. Czekaj.

- Widzisz... Podejrzywałam oczywiście, że chodzi o jakiś... o jakąś szczególną okazję. Ale nie coś tak człowieczego, tak trywialnego jak bal absolwentów! - Prychnęłam.

- Człowieczego? - powtórzył sucho. Wychwycił słowokłucz.

Zapadła cisza. Ze wrokiem wbitym we własne kolana zaczęłam bawić się nerwowo luznym kawałkiem szyfonu.

- No dobra. - Postanowiłam powiedzieć całą prawdę. - Miałam nadzieję, że jednak zmieniłeś zdanie... że jednak zostanę jedną z was.

Przez twarz Edwarda przemknął tuż różny ch emocji, jedna po drugiej. Niektóre rozpoznawałam: gniew, ból... W końcu uspokoił się i spojrzał na mnie rozbawiony.

- Sądziłaś, że to okazja wymagająca strojów wieczorowych? - zasztydził, odychając wymownie poję swojego smokingu.

Zrobiłam nadaną minę, by ukryć zakłopotanie.

- Nie wiem, jak to jest. Odniosłam tylko wrażenie, że to wydarzenie poważniejsze niż taki bal. - Wyras twarzą Edwarda nie zmienił się. - To wcale nie jest zabawne - zaprotestowałam.

- Masz rację, to nie jest zabawne - przyznał poważniąc. - Wolę jednak myśleć, że żartujesz, niż że mówisz na serio.

- Kiedy ja nie żartuję. Westchnął ciężko.

- Wiem. Naprawdę jesteś taka chętna?

W jego oczach dostrzegłam ból. Pokiwałam głową.

- Chętna zakończyć swoje życie, nie zaznawszy dorosłości - szepnęłam, jakby do siebie. - Chętna uczyć się z młodości zmierzch swego życia. Gotowa wyrzec się wszystkiego.

- To nie koniec, to dopiero początek - mruknęłam.

- Nie jestem tego wart - powiedział ze smutkiem.

- Pamiętasz, jak mi powiedziałeś, że nie jestem zbyt świadoma własnych zalet? Widocznie cierpisz na ten sam rodzaj ślepoty.

- Wiem, jaki jestem.

Westchnęłam. Udzielił mi się jego ponury nastrój. Edward wpatrywał się we mnie badawczo, z zacisniętymi ustami.

- Naprawdę jesteś gotowa? - spytał po dłuższej chwili.

- Hm. - Przełknęłam głośno ślinę. - Tak. Z uśmiechem wolno przybliżył twarz do mojej szyi, by w końcu musnąć chłodnymi wargami skórę policzka koło ucha.

- Choćby zaraz? - Poczulałam na szyi jego zimny oddech i mimowolnie zdrząłam.

- Tak - Musiałam zniżyć głos do szeptu, żeby się nie załamała. Jeśli Edward myślał, że blefuję, miało spotkać go rozczarowanie.

Podjęłam już decyzję i nie miałam żadnych wątpliwości. Mniej niż o to, że cała zesztywniałam ze strachu, zacisnęłam pięści i zaczęłam spazmatycznie oddychać...

Zaśmiał się złowrogo i odsunął ode mnie. Na jego twarzy rzeczywiście malowało się rozczarowanie.

- Chyba nie uwierzyłaś, że poddałbym się tak łatwo. - Naigrywał się ze mnie, ale z nutką goryczy.

- Każda dziewczyna ma prawo do marzeń. Uniósł brwi.

- O tym właśnie marzyś? Żeby zostać potworem?

- Niezupełnie - sprostowałam niezadowolona z jego doboru słów. Ładny mi potwór. - Głównie marzę o tym, by już nigdy się z tobą nie rozstawać.

Szczery ból w moim głosie sprawił, że Edward spowaźniał i posmutniał.

- Bello. - Przesunął mi palcami po wargach. - Nie opuszczaj cię. Czy to ci nie wystarcza?

Uśmiechnęłam się pod jego dotykiem.

- Na razie tak.

Zirykował go nieco mój upór. Tego wieczoru nikt nie miał zamiaru ustąpić. Po raz kolejny westchnął ciężko, tak ciężko, że niemal warknął.

Dotknęłam jego twarzy.

- Pomyśl - odezwałam się - kocham cię bardziej niż wszystkie inne rzeczy na świecie razem wzięte. Czy to ci nie wystarcza?

- Wystarcza - odpowiedział z uśmiechem. - Starczy na wieczność. - I pochylił się, by raz jeszcze pocałować mnie w szyję.

## PODZIĘKOWANIA

Z całego serca dziękuję moim rodzicom Steve'owi i Candy za miłość i wsparcie, które okazali mi przez te wszystkie lata, za to, że kiedy byłam małą, czytali mi fantastyczne książki, i za to, że są przy mnie we wszystkich trudnych momentach.

Dziękuję mojemu mężowi Pancho i moim synom Gabiemu, Eliemu i Sethowi za to, że pozwalają mi spędzać tak dużo czasu z moimi wymyślonymi znajomymi.

Dziękuję moim przyjaciółom z Writers House Genevieve Gagne - Hawes za danie mi szansy i agentce Jodi Reamer za urzeczywistnienie moich najbardziej nieprawdopodobnych marzeń.

Mojej redaktorce Megan Tingley za to, że dzięki jej pomocy ta książka jest lepsza niż na początku.

Moim braciom Paulowi i Jacobowi za eksperckie odpowiedzi na wszystkie pytania związane z samochodami.

I wreszcie mojej internetowej rodzinie, czyli wszystkim pracownikom i pisarzom z [fansofrealitytv.com](http://fansofrealitytv.com), a zwłaszcza Kimberly „Shaz - zer” i Collinowi „Mantennic” - za rady, pomysły i słowa otuchy.

- 
- \* Bohaterka pochodzi z Phoenix, stolicy pustynnej Arizony (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).
  - \*\* W Stanach Zjednoczonych jest to jedna szkoła, tzw. *high school*.
  - \* Najwybitniejszy pisarz angielski epoki średniowiecza.
  - \* W Stanach Zjednoczonych każdy uczeń ma indywidualny plan zajęć, taki sani na każdy dzień.
  - \* W Stanach Zjednoczonych wszyscy uczniowie zaczynają i kończą lekcje o tej samej godzinie.
  - \* Na bal absolwentów, organizowany niekoniecznie na samo zakończenie roku mogą przyjść także uczniowie innych klas.
  - \* Bruce Wayne to Batman, Peter Parker - Spiderman.
  - \* Kryptonit to kosmiczny minerał stosowany przez Supermana. Pająk z kolei ugryzł Spidermana.
  - \* Montague Summers (1880 - 1948). brytyjski duchowny katolicki, autor wielu publikacji o wampirach.
  - \* Znana firma bieliźniarska.
  - \* Francesco Solimena (1657 - 1747), malarz włoski, przedstawiciel późnego baroku.
  - \* Inna nazwa góry McKinley na Alasce, najwyższego szczytu Ameryki (6194 m).
  - \* T of the Sun - lokalna nazwa konurbacji Phoenix.

# Spis treści